

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U R S A W Y I P O W O D Z E

1 (13) 1987

*Borges
Czajkowski
Głowiński
Grynberg
Jarzębski
Kucyluk
Mitosz
Warhol*

KWARTALNIK **ARTYSTYCZNY**

Zespół: JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK, STEFAN CHWIN,
ALEKSANDER FIUT, MICHAŁ GŁOWIŃSKI,
JULIAN KORNHAUSER, JANUSZ KRYSZAK,
LESZEK SZARUGA

Redakcja: KRZYSZTOF MYSZKOWSKI (redaktor naczelny)
GRZEGORZ MUSIAŁ (sekretarz redakcji)
GRZEGORZ KALINOWSKI

Wydawca: Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy

Miejski Ośrodek Kultury w Bydgoszczy
Adres redakcji: ul. Toruńska 30, 85-023 Bydgoszcz, skr. pocz. 32
tel. (0-52) 71 91 56 wew. 118, tel./fax (0-52) 71 91 58
Internet: *Kwartalnik Artystyczny* www.wok.bydgoszcz.pl
E-Mail: wok@cps.pl
Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser

Na okładce: fotografie Jerzego Zegarlińskiego

Redakcja *Kwartalnika Artystycznego* serdecznie dziękuje za pomoc finansową w wydaniu numeru 1/1997 Ministerstwu Kultury i Sztuki, Wydziałowi Kultury, Sportu i Turystyki UW w Bydgoszczy oraz Wydziałowi Kultury i Sportu UM w Bydgoszczy

Prenumerata roczna

krajowa: 25 PLN (4 numery wraz z kosztami wysyłki);

zagraniczna: 35 \$ USA (4 numery wraz z kosztami wysyłki).

Cena numeru archiwalnego (wraz z kosztami wysyłki): 5 PLN (8 \$ USA)

Wpłaty prosimy kierować na KONTO:

Wojewódzki Ośrodek Kultury PBKS II O/Bydgoszcz

11001034-902 779-2101-111-0 *Kwartalnik Artystyczny*

Nr indeksu 36294

PL ISSN 1232-2105

Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.

© Copyright by KWARTALNIK ARTYSTYCZNY KUJAWY I POMORZE, Bydgoszcz 1997

Skład: FUP, Bydgoszcz, tel. 41 18 79

Druk: Merxgraf, Bydgoszcz, tel. 22 65 03

Spis rzeczy

Poezja

- CZESŁAW MIŁOŚZ Osobny zeszyt – kartki odnalezione / America / 3 *** / 3
*** / 3 *** / 4 *** / 4 *** / 5 Z okna u mego dentysty / 5 *** / 5
- BOGDAN CZAYKOWSKI Bo w końcu byłam / 11
- EWA KURYLUK Od Kardamili do Kytery / 19
- PIOTR ROGUSKI *** / 35 Raczej dobra rada niż przesłanie / 35
Wielu jest zbrojnych / 37 Figlarny ślad nieobecności / 37
O mądrej zasadzie proporcji / 38 Zapytała tylko czy zostanie na noc / 39
Odmienny kształt dzbanka / 39 Kocha lub szanuje / 40
- JORGE LUIS BORGES Poemat o darach / 51
- JORGE LUIS BORGES Drugi poemat o darach / 58
- JORGE LUIS BORGES Cudzoziemiec / 67 Do tego, kto mnie czyta / 68
- ANDRZEJ APPEL Przystanek / 70 U kresu / 70 Łazienki / 71 Głos / 71
- AMERYKAŃSKIE HAIKU w przekładzie Andrzeja Szuby / 77
- DONALD P.A. PIRIE Yves: Le Saut dans le Vide / 83 Mark Rothko / 84
Elegia dla siebie / 84

Po co piszę

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI *** / 6
- BOGDAN CZAYKOWSKI *** / 7

Proza, esej

- HENRYK GRYNBERG Pomnik / 13
- JERZY JARZĘBSKI Gombrowicz i Wittlin – dwaj spiskowcy / 25
- MAJA JURKOWSKA Kolekcja / 41
- JORGE LUIS BORGES Impresje z podróży / 53
- JORGE LUIS BORGES Notatka na temat Walta Whitmana / 61
- PAWEŁ PROCKI Pintura Negra Wałbrzyska / 72

Plastyka

- AGATA SMALCERZ Andy Warhol w Bielsku-Białej / 87
- GALERIA JEDNEJ STRONY Cisza czułości / 93
- JEDNOOSOBOWE POLE DZIAŁANIA – z Jerzym Zegarlińskim rozmawia
Grzegorz Kalinowski / 94

Varia

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI Rudy Jasio / 97
- GRZEGORZ MUSIAŁ Dziennik z Iowa (IX) / 100
- JULIAN KORNHAUSER Post Scriptum (4) / 110
- LESZEK SZARUGA Tym Czasem (7) / 113
- JAROSŁAW KLEJNOCKI Matnia / 120
- MIROŚŁAW DZIEŃ O Kadmosie, Eco i pisaniu Mitologii / 125
- MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB Rozpieszczone dziecko Pana Boga / 129

Recenzje

- GRZEGORZ KALINOWSKI Rozpraszenie mroku / 137
- KATARZYNA KLEJNOCKA Poszukiwanie dowodów / 139
- HENRYK DUBOWIK Eseje Artura Hutnikiewicza o Polsce / 140
- LESZEK SZARUGA Wyjście z PRL / 143
- MIROŚŁAW DZIEŃ Aneks do *Chwilowego zawieszenia broni*
czyli uwagi o Arystotelesie i *Nowym turnieju pokoleń* / 147
- WOJCIECH TOMASIK Pan Barbarus. / 150

Noty o książkach / 153



Czesław Miłosz w Bydgoszczy, 8 czerwca 1995 r.

Fot. Archiwum „KA”

Osobny zeszyt – kartki odnalezione

A M E R I C A

Płowy i ołowiany jest nurt bystrej rzeki,
Nad którą mężczyzna i kobieta przychodzą prowadząc zaprzęg wołów,
Żeby założyć miasto i zasadzić pośrodku drzewo.
Pod tym drzewem siadywałem nieraz w południe
I patrzyłem na niski brzeg po drugiej stronie:
Tam rozlewiska, szuwary, sadzawka zarosła rzęsą
Błyszczą jak wtedy kiedy żyło tych dwoje nieznanego imienia.
Nie myślałem, że mnie tak wypadnie: nad tą rzeką, w tym mieście,
I nigdzie indziej i tylko tu, ławka i drzewo.

* * *

26 IX 1976. Wieczór. Jakaż ulga! Jakie szczęście! Życie przeżyte i ta
męka zawiniona twoją głupotą jest już przeszłością.

Podziwiam siebie? Że znosiłem? Prawie tak, ale daleko od
podziwu. Coś jak duma biegacza, który nie był dobry, gdzieś prawie
ostatni, ale biegl.

* * *

Katedra moich olśnień, wiatr jesienny.
Zestarzałem się w dziękczynieniu.

* * *

Nawet rzecz najmniej uroczysta odpowie, jeżeli zwrócimy się do niej z uszanowaniem. (Zdanie przyszło się 20 II 78 i nazajutrz zanotowałem.)

* * *

Anioł śmierci powabny
Z niebieskimi oczami
Z włosiem kasztanowym
Nadbiega tańcząc.

Jego usta, radość,
Język w jego uszach, rozkosz,
Jego spojrzenie, światło
Pełnej wiosny.

I dotknął mnie
I pocałował mnie
I powróciłem
Do mego początku.

Nie być, nie cierpieć
Nie zadawać bólu.
Odwołać całe
Jedno istnienie,

Żeby nie zostało
Nawet wieści po mnie,
Ani pamiątki,
nic.

Żeby świat był dalej
Jak ten anioł śmierci,
Doskonały, pogodny
I błogosławiony.

1976

* * *

Aby uśmierzona była ciemność. Wybieram się wcześniej,
Idę, bo jestem udręczony snami,
Które mnie zatrzymują w tym, co kiedyś było
Na gorzkie i grzeszne rozpamiętywanie.

Trudzę się pod górę, wdycham zapach liści,
Brnę przez cierniowe krzaki i suche trawy,
Ale ciągle daleko do szczytu. I nieuśmierzona ciemność
Dogania mnie i co dzień zaczynam na nowo.

1976

Z OKNA U MEGO DENTYSTY

Nadzwyczajne. Dom. Wysoki. Otoczony powietrzem. Stoi. Pośrodku
niebieskiego nieba.

* * *

O przedmioty mego pożądanja, dla których zdolny byłem do
ascezy, żarliwości, heroizmu, jaka litość kiedy myślę o waszych ustach
i rękach i piersiach i brzuchach oddanych gorzkiej ziemi.

Ja wspominam stecki, drożki
Gdzie chodzili twoje nożki.

(Piosenka wileńska)

Czesław Miłosz

Po co piszę

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza (*Kwartalnik Artystyczny* nr 4 /8/ 1995), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera (nr 1 /9/ 1996), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Żakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka (nr 2 /10/ 1996), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakonieckiego (nr 3 /11/ 1996), Tadeusza Różewicza, Urszuli Koziol (nr 4 /12/ 1996), zamieszcza-
my kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze (red.).

Michał Głowiński

* * *



For. Monika Sokolowska-Kościółek

Najprościej byłoby odpowiedzieć: nie wiem. Zawierałaby się w tym jakaś część prawdy, ale byłby to także unik. Już w latach licealnych domyślałem się, że coś będę pisał, ale nie wiedziałem co. Jednego byłem pewien: nie będą to wiersze, szybko bowiem spostrzegłem, że w tej dziedzinie nie mam żadnych szans. Skończyłem studia, zostałem profesjonalnym historykiem literatury, pisanie o pisaniu innych stało się moim obowiązkiem zawodowym. Wypełniałem go skrzętnie i – mam nadzieję – będę wypełniał nadal, odpowiada mi ten rodzaj działalności. Ale to pisanie, z którego musiałem się co roku wyliczać w sprawozdaniach, jakie się przedstawiało w moim Instytucie i wciąż przedstawia, bo ustroje się zmieniają, ale procedury biurowe – nie, jakoś mi nie wystarczyło. Wciąż myślałem o pisaniu czegoś więcej, czegoś innego... W połowie lat sześćdziesiątych postanowiłem: będę pisał do szuflady o PRL-owskich nadużyciach językowych. W tym przypadku dobrze wiedziałem, po co to robię: chciałem, by powstało świadectwo, które byłoby odpowiedzią na panoszące się kłamstwo. Ale kryła się za tym także potrzeba całkiem subiektywna, to pisanie miało sprawić, bym się czuł człowiekiem wolnym i niezależnym, takim, który pisze to, co chce i to, co myśli również o tym, o czym publicznie wypowiadać się nie może (nie przypuszczałem, że zapisy te ogłoszę za życia).

To także mi nie wystarczyło, myślałem wciąż o pisaniu czegoś innego, co również wykraczałoby poza studia, rozprawy, recenzje, będące głównymi formami

wypowiedzi historyka i teoretyka literatury. W połowie lat siedemdziesiątych zdecydowałem się na krótkie kawalki o różnym charakterze, są bowiem wśród nich przypowieści, alegorie, charaktery, sceny z życia, a także inna literacka drobnica – i nazwałem małymi szkicami. Kilkanaście z nich ogłosiłem w dwumiesięczniku *Teksty*, zlikwidowanym w stanie wojennym, w latach siedemdziesiątych sporą ich liczbę napisałem do szuflady, piszę je nadal – i od kilku lat publikuję w gdańskim *Tytuł*.

Ale o projekcie najdawniejszym dotąd nie wspomniałem. Jeszcze za młodu pomyślałem, że powinienem napisać coś o swoich doświadczeniach z czasów okupacji. I postanowiłem: zabiorę się do tego, gdy będę miał pięćdziesiąt lat (wtedy wydawało mi się, że to strasznie dużo). Pięćdziesiątka nadeszła, minęła, nie napisałem ani słowa. Przesunąłem datę: wezmę się do tej pracy, gdy osiągnę sześćdziesiątkę. Zdałem sobie jednak sprawę, że jeśli nie wypracuję jasnej koncepcji, nie przystąpię do pisania nigdy. Z początku myślałem o obszernej ciągłej relacji. W pewnym momencie upewniłem się, że nie sposób jej sporządzić, kiedy chce się pisać o tym, czego się zaznało w dzieciństwie, przypadającym na czas zbrodniczy. Mogę pisać wyłącznie o tym, co sam przeżyłem, co było moim niepowtarzalnym doświadczeniem, a gdybym chciał stworzyć ciągły tekst, musiałbym nieustannie odwoływać się do rzeczy znanych i już opowiedzianych. Kiedy zdecydowałem, że będą to krótkie opowieści o moich przypadkach z lat Zagłady, zacząłem pisać, zacząłem z treścią, bo się obawiałem, że nie zapanuję nad formą narracyjną, którą dotąd się nie posługiwałem. Spróbowałem. Po co to piszę? Może dlatego, by swoje doświadczenia, najstraszniejsze i dla mnie wciąż najważniejsze w życiu, uporządkować i wreszcie z siebie wyrzucić. A może dlatego, że uważam, iż pamięć jest obowiązkiem.

Warszawa, 18 stycznia 1997 rok.

Michał Głowiński

Bogdan Czaykowski

* * *

1. Po co piszę? A więc nie: dlaczego piszę? Na to drugie pytanie odpowiedź bodaj łatwiejsza. Przychodzą frazy, zdania, obrazy, myśli, rytmy, intonacje, i kiedy proces rozpoczął się, wtedy się już tak jakby pracowało nad czymś, co już zaistniało, chociaż jeszcze nie ma pełnego kształtu, a gdy już zaistniało, to trudno odmawiać mu pełni istnienia. Ona niekoniecznie daje się osiągnąć, ale

się jej pragnie (chce). Kiedy długimi okresami nic nie przychodzi, wtedy zdziwienie, zmartwienie, czczość, poczucie przegrywania z sobą i z istnieniem. Bo ten rodzaj pisania jest zarówno sposobem istnienia, jak i aktem suwerenności wobec świata. „Aby po śmierci pożyć jeszcze trochę”.

Dlaczego przekształca się w *po co* prawie niepostrzeżenie. *Jak* się przekształca zależy w jakimś sensie od tego, *co* się pisze. Wiersz chce po prostu być, i to jest jego prawo i radość. Oddać mu sprawiedliwość słowną, formalną, semantyczną i być szczęśliwym, to już cel bardzo wyraźny. Borykać się z nim, przegrać, odrzucić, to stwierdzić pośrednio, że ma się świadomość istnienia czegoś w rodzaju form platońskich. Form zarówno wyrazu, jak i zrozumienia. Że nie uznaje się ich skrytości za dowód nieistnienia.

*W śnie nadśnionym
przerwami w mrokach obłokach
wzrastającym głodem nienasyceciem
sięgał głębiej dalej
po skrytość*

W próbach docierania, dociekania, poznawania przez formę, poznawania możliwości formy zawiera się najistotniejsza część autokreacji. Przez odkrywanie zarówno tego, co jest, jak i tego, co potencjalne. Tak powstaje tożsamość, kim się stajesz dla celów zbawienia (nawet jeśli jest to jedyna jego forma), czym się broniś przed lękiem, bólem i nijakością, przed niedobrą ciszą. I tak powstają formy słowne przymierzane do doskonałości (dzisiaj mówi się o nich – teksty!).

Nie powinno się zawęzać tej dążności, tego sięgania tylko do twórczości artystycznej. Akty dobroci, akty mądrości, akty szczęścia, miłości, lubienia, akty czaru i powagi rzeczywistej, współczucia i zrozumienia, wyrzeczenia i przebaczenia, bezinteresownych darów, uśmiechu i radości należą do dziedziny poezji w jej rozciągłości najszerszej. Nie jest dobrze, kiedy tworzymy ją tylko w słowach. Być chłonnym, czułym, słuchającym i słyszającym, patrzącym i widzącym, to już dużo.

2. Jest ważne, żeby ci, co piszą, mieli świadomość, że można żyć pięknie, ładnie, dobrze, twórczo, ciekawie, odkrywco bez pisania. I że nawet najświetniejsza twórczość nie usprawiedliwia łajdactwa, nie rekompensuje krzywdy wyrażonej jednostce, czy społeczeństwu (jak w okresie Stalinizmu). Wierszem krzywdy konkretnej nie odrobisz, nie naprawisz. To, że pisaniem można krzywdzić, nie wymaga dowodu (sorealizm, polrealizm, pornografia, kicz, turpizm).

„O Boże, jeśliś mało wart, człowieka zbaw przez wiersze” – ta modlitwa z wiersza Jerzego Pietrkiewicza winna być zestawiona z linijkami z wiersza innego emigracyjnego poety, Tadeusza Sułkowskiego:

*Na wadze położą garstkę prochu.
Cóż do tego prochu pisanie dorzuci?
Ptaku sztuki, odfrun,
Jeśli mam tyle tylko ważyć, ile dźwięk lutni.
Tu w porządek obraca się to nawet, co upadło
I w piękne gruzy rzeźbi kamień kłęski,
Który we wnętrzościach utworu leży jak światło,
Ale od którego popiół po mnie będzie ciężki.*

A ten wiersz z kolei przypomina, że z pisarzy polskich świadomość najgłębszej próby poety miał chyba Norwid.

3. Z wielu prób harmanizowania ciszy, jak to określa Czerniawski, wybieram trzy, dwa wiersze i fragment wiersza, poety chińskiego i dwóch poetów kanadyjskich:

CZYM JEST POEZJA?

*Więc czym jest poezja?
Jeśli twierdzisz, że znajduje się w słowach,
odpowiem: „Dobry poeta odrzuca słowa”.
Jeśli powiesz, że to sprawa znaczenia,
odpowiem: „Dobry poeta odrzuca sens”.
Jakże to, powiadasz, bez słów i sensu,
gdzież jest poezja?
Odpowiadam: „Odrzuć sens i słowa,
a ciągle jest poezja”.*

Yang Wan-Li

WIERSZ O KRYSZTALE

*Przypatrz się mu, wpatrz się
w kryształ, a on ci wyjawia
nie przyszłość, nie,
lecz jakość
kryształu,
rdzeń
jasności,
nauczy cię
węźlić
nieskazitelnie
czyste
światło.*

Robert Bringhurst

*Myslistwo, to rzeczywiste, jest sztuką miłości, nie gwałtu,
sprawą umiejętności, trudu czekania, wiedzy zyskanej z przypadku
z procentem od, a i wbrew, chociaż wzdłuż cierpliwości włókien,
tęsknoty, nieraz znużenia, a także z łaski
tych co swą miłość i doświadczenie nam przekazali;
sztuką w której myśliwy
tylko czasami może dać dowód wypraw w bory, na morza,
albo z muzami na górskie szczyty, sam wśród obecnych, przeszukujący
ślady istnienia – łajno, błysk skrzeli, echo umarłych,
aż w końcu stajesz się tym coś upolował po prawdzie...*

Iain Higgins

4. Więc nie piszesz dla czytelnika? dla sławy? dla zarobku? Nie, nie piszę ani dla czytelnika, ani dla sławy, ani dla zarobku. Ale jeżeli zarabiasz piórem, to piszesz także dla zarobku. Jeśli zastanowisz się nad etymologią słowa „sława”, to piszesz także dla sławy. A to, że piszesz dla czytelnika, jest aż żenująco oczywiste. Przecież ty sam chociażby jesteś swoim czytelnikiem. A przy tym masz czytelników bliższych, a z dalszych chcesz mieć bliższych.

Czy aniołowie, czy diabły czytają? Jeśli czytają, to na głos Panu Bogu.

5. Gdyby mi to było dane, komponowałbym muzykę. Ale nie jest wykluczone, że wtedy chciałbym być poetą.

Bogdan Czaykowski

Bogdan Czaykowski

Bo w końcu byłam

Bo w końcu byłam
świat miałam
świat bronił się
nie chciał mnie
groził
uwodził
pochłaniał
mówił: jestem wieloryb
jestem kosmaty chaos
jestem kosmos

Bo w końcu byłam
nie da się zaprzeczyć
istnieniu nie da się zaprzeczyć
ono nie słowem ani wierszem słowa
ani powieścią choć się opowiada
ani formułą praw symboli cyfr
ono a to jest właśnie mit jego istoty
jest

bo w końcu byłam
jak cień w słońcu drzewa
czasem co tylko teraz jest już
czasem przeszłym

i kołowały nade mną księżyc
słońca i gwiazdy
a pode mną ziemia



* * *

Fot. Jerzy Zegarliński

Bogdan Czaykowski, ur. w 1932 r. w Równem na Wołyniu, poeta, historyk literatury, tłumacz. W 1949 r. zesłany w głąb Rosji; od 1950 r. w Anglii, redaktor emigracyjnego *Mercuriusza Polskiego* i *Kontynentów*. Współpracownik paryskiej *Kultury* i londyńskich *Wiadomości*. Od 1962 r. wykładowca literatury polskiej na Uniwersytecie Brytyjskiej Columbia w Vancouver (Kanada). Autor licznych zbiorów wierszy, m.in. *Trzcinyczonek* (1957), *Sura* (1961), *Point – No – Point* (1971), *Wiatr z innej strony* (1990) (red.).

z dotyku liścia ust na kropli rosy
warg rozpętanych bursztynami piersi
spojrzeniem oczu z ukosa i wprost
błyskawicznym zygzakiem jaszczurki
jedwabiem wody warstwami jej chłodu
cieplem kamienia kolcem jeżozwierza
szumami muszli z zaprzeszłego conu
płomieniem tlenu krwawnikami nieba
i tak misternie zmarszczonym jeziorem
że kryje lustro a pod lustrem wodę
a pod wodą dno

a pod dnem wodę a nad wodą lustro
po tamtej stronie zmarszczki świata

z dotyku skóry źrenic membran czucia
jest prawda której nie znam którą byłam jestem
że w końcu byłam
że więc zawsze
jestem

że jeszcze jestem

Bogdan Czaykowski



Fot. Jerzy Zęgarliński

Henryk Grynberg

Pomnik



Fot. Elżbieta Lempp

Walentynie Nikolajewnie

Urodził się w Snowsku, 70 km od Czernihowa, najstarszy z pięciorga braci i siostr. Jego ojciec, Białorusin z pińskich błot, był maszynistą kolejowym. Imię matki, Aleksandra, mało mówiło, ale jej brat był Kazimir, a siostra Zosia, co wskazywało na polskie pochodzenie. Kazimir, trochę rewolucjonista, trochę marzyciel, usiłował skonstruować latającą maszynę, ale mu się rozpadła – na ziemi. W 1905 wywił się policji, ale w 1914 pognali go w kajdanach na Sybir. Nikołaj skończył czteroletnią szkołę cerkiewną, w której była biblioteka. Czytał o Siczy, jej pułkownikach, atamanach. Swój pierwszy pułk nazwał imieniem Bohuna. Matka umarła na gruźlicę, kiedy miał 12 lat. Ojciec był ciągle w drodze, dzieci nie miały opieki, ożenił się po raz drugi. Dwóch najstarszych, Nikołaja i Konstantina, zawiózł do Kijowa, do Wojskowej Szkoły Felczerskiej, gdzie dzieci kolejarzy przyjmowano bezpłatnie. Tam Nikołaj zachorował na medycynę. Nie chciał być wojskowym, tylko lekarzem. Po szkole skierowano go do wileńskiego okręgu wojskowego i służył w rezerwowym pułku, który pozostawał w osobistym odwodzie cara. Kiedy wybuchła wojna, car skierował swój rezerwowy pułk do Połtawy i zapomniał o nim. Cały rok tam stali, a w Połtawie znajdowało się Seminarium Duchowne z dobrze zaopatrzoną biblioteką. Po rewolucji, kiedy przemieniono je na technikum sielsko-chazijskie, komsomolcy usuwając z biblioteki niewłaściwą literaturę, znaleźli w jednej z książek rewers na nazwisko Szczors. Później moja matka znalazła w jego papierach atestat. Okazało się, że stacjonując w Połtawie zaliczył cztery kursy w tym seminarium jako ekstern. Po co? Bo to uprawniało do wstąpienia na studia medyczne. O seminarium duchownym nigdy nie wspomniano w jego biografii. Kiedy przyszedłam na uniwersytet, wzywa mnie któregoś dnia archiwista – staruszek, małutki, czyściutki. Wy Szczors? Tak, Szczors. Nikołaj Aleksandrowicz wasz ojciec? Tak, ojciec. Pokazuje mi podanie. Do Rektora Uniwersytetu Moskiewskiego

Henryk Grynberg, ur. 1936 r. w Warszawie, powieściopisarz, poeta. Po wojnie mieszkał w Łodzi. W grudniu 1967 r. podczas tournée artystycznego Teatru Żydowskiego im. Idy Kamińskiej wystąpił o azyl polityczny w USA. Współpracował m.in. z paryską *Kulturą* i londyńskimi *Wiadomościami*, w kraju m.in. z *Tygodnikiem Powszechnym*, *Res Publicą*. Opublikował m.in. opowiadania: *Antygona* (1963), powieści: *Żydowska wojna* (1965), *Zwycięstwo* (1969), *Kadisz* (1987) oraz tomiki poetyckie m.in. *Święto kamieni* (1964), *Antynostalgia* (1971), *Wśród nieobecnych* (1983), *Pomnik nad Potomakiem* (1989), prozę dokumentalną *Dzieci Syjonu* (1994). Mieszka w Mc Lean w USA (red.).

* Część opowieści ze zbioru *Drohobycz, Drohobycz...*, który ukaże się w kwietniu br. nakładem warszawskiego wydawnictwa W.A.B.

– Proszę o przyjęcie mnie zaraz po zakończeniu działań wojennych na fakultet medyczny – Nikołaj A. Szczorsa.

Wtedy oficerami mogli być tylko odpowiednio urodzeni, ale na wojnie szybko giną młodzi oficerowie i musiano dobierać z ludu. Skończył wileńskie Strójwoje Uczyliszcze, szybko, bo nie było czasu i posłali go w pińskie błota. W błotach, ziemiankach, okopach dostał otwartej gruźlicy. Trzymali go osiem miesięcy w szpitalu wojskowym w Symferopolu i wrócił do Snowska z białym biletem jako niezdalny do służby wojskowej. Macocha nie chciała go z gruźlicą w domu, roboty też dla niego nie było. Kiedy władzę w Snowsku przejęli czerwoni, musiał kryć się przed czekistami, bo oficer. Wujek Kazik wyperswadował czekistom, że on nie żaden oficer, tylko swój. W ten sposób naraził go stronie przeciwnej. Któregoś dnia przychodzą do niego koledzy i mówią, Nikołaj, ty lepiej uchodź, bo twoja macocha opowiada, że tyś czerwony bandyta. Ponieważ do Snowska zaczął zbliżać się austriacki pociąg pancerny, więc uciekli i inni w wieku wojskowym. A także wujek Kazik i jeszcze jeden były zesłaniec, Kazimierz Kwiatek, Polak rodem z Warszawy o wąskich, tatarskich oczach. Kierowali się na Unieczę, przez którą szła główna ewakuacja i po drodze ludzie przyłączali się do nich. Był wśród nich jedynym oficerem i sami mu zaproponowali dowództwo. Prowadził rotę, później batalion, a w Unieczy sformował pułk.

W Unieczy Ukraina stykała się z Rosją i Białorusią. Tam moja matka, Fruma Rostowa, z domu Chajkina, czyhała w pogranicznej Czece na przemytników, przeważnie Żydów. Pochodziła z pobliskiego Nowozybkowa. Jej ojciec i matka handlowali naftą, oboje zmarli na gruźlicę. Jej bracia zarazili się rewolucją, a ona od nich. Jej pierwszą miłością była Natasza Rostowa z „Wojny i pokoju“ i przybrała sobie jej nazwisko. Miała bujne czarne loki, błękitne oczy, delikatnie rysy. Niemieccy żołnierze fotografowali ją i wysyłali odbitki jako pocztówki do domu. Zobaczyła Szczorsa – młodego, przystojnego, na czele pułku, to rzuciła Czece i poszła za nim. Umiała pięknie szyć, mundur mu uszyła. To było we wrześniu 1918. W listopadzie miał już dwa pułki. W styczniu zajął Czernihów, w lutym – Kijów. W marcu został dowódcą Pierwszej Ukraińskiej Dywizji Sowieckiej. Wziął z marszu Żytomierz i Winnicę – konno i na saniach – i rozbił główne siły Petlury w rejonie Sarn, Równego i Brodów. Bohuncami dowodził jego przyjaciel, Kwiatek. Założył szkołę dowódców. Widziałam program: taktyka, topografia, fortyfikacja i – tanki.

– Tanki? Może taczanki? Przecież oni nie mieli tanków?

Tanki to po ukraińsku tańce. Towarzyskie, jak w starej szkole oficerskiej. Nie mieli w co się ubrać, ani co jeść, ale oficer musiał umieć tańczyć. Założył leczniczą komunę dla rannych i inwalidów, mogli przebywać tam wraz z rodzinami. On pierwszy urządził zbratanie z Niemcami. Posłali go przeciw Czechom, byłym jeńcom, którzy urządzili powstanie. Jechał z dziesięcioma dowódcami przez Moskwę. Zatrzymali się tam, żeby złożyć wizytę Leninowi, ale w księdze, gdzie zapisywano wszystkich holdowników, znalazły się tylko nazwiska dziecięciu, Szczorsa wśród nich nie było. Dlaczego? Bo zamiast iść na Kreml

i złożyć hold Leninowi, poszedł na uniwersytet i złożył podanie na medycynę. Zatrzymał się również w Samarze, nad Wołgą, bardzo mu się tam podobało i mówił potem mojej matce, że chętnie by tam został na zawsze. Walczył z Niemcami, Czechami, Polakami, petlurowcami i białogwardzistami – i z gruźlicą, gorączka nigdy go nie opuszczała.

To zwycięskie wojsko wydawało się zbyt niezależne, a i błyskotliwa kariera dowódcy budziła niepokój wśród bolszewików, którzy zawsze się bali wybitnych. Latem 1919 miał przed sobą Hallera i Petlurę, a z tyłu Denikina. Brakowało mu amunicji, odzieży, butów i tracił ludzi. Jak to w wojnie domowej – przechodzili do tego, kto miał odzież, buty i brał górę. Przegrali bitwę, nie mieli gdzie się podziać, to powracali, ale kiedy mijali znajomą wieś, to w opłotki, do chaty i znów ich nie ma. Z wielkim trudem odbił Berdyczów i bronił węzła korosteńskiego ubezpieczając ewakuację Kijowa, a w Wojensowicie chcieli, żeby się oderwał i poszedł na odsiecz Donbasu. Nie zrobił tego, bo to oznaczałoby pełny odwrót i katastrofę. Nalegali, żeby ruszył na Kijów, a on wiedział, że ma za mało sił i jeśli pójdzie, to wszystko straci. Był wojskowym po szkole, a nie partyjnym maniakiem. Zażądali, żeby dał im rotę swoich kursantów. To najlepsze, co miał, co sam sobie wychował. A właśnie wtedy stracił dowódców obu brygad – Czerniak padł od skrytobójczej kuli w Równem, a Bożenko w Żytomierzu od trucizny. Żołnierzy mógł dobrać wszędzie, ale nie dowódców. Zarzucali mu *partyzanszczyznę*, niesubordynację. Przyjechali, żeby im pokazał pozycje. Pojechał z nimi. Towarzyszył mu jego zastępca, Dubowoj. Z jakiejś szopy zaterkotał kulomiot i wywiązała się strzelanina. Dostał kulę w tył głowy. Powiedzieli, że obejrzał się zobaczyć, kto strzela, dlatego w tył głowy. Miał 24 lata. Matka miała 21.

Powstał problem, gdzie go pochować. Bożenkę pochowali z honorami w Żytomierzu, a wkrótce potem weszli petlurowcy, odkopali, przywiązali do końskiego ogona i dwa dni go włóczyli po mieście. To była wojna domowa z wszystkimi – i z żywymi i z umarłymi. Matka przypominała sobie, że bardzo mu się podobała Samara i w Samarze nikt go nie znał. Powiozła go w cynowej trumnie. Matka i jej siostry, nikt z jego rodziny – bo czerwony. Jego brat Konstantin przystąpił do atamana Skoropadskiego, wujek Kazik umierał, albo już umarł w Klincach na gruźlicę. Jechali czterdzieści trzy dni, dookoła, bo wszędzie wojna domowa, nie było prostej drogi. Pochowali go na cmentarzu koło zakładów metalowych, żeby bliżej klasy robotniczej. Kiedy wojna się skończyła wrócili, żeby postawić pomnik, ale nie zastali ani grobu, ani cmentarza – wszystko zabudowały zakłady metalowe. Został tylko jeden grobowiec, gdzie sprzątacze miotły i wiadra trzymali. Kopali, wzdłuż i wszerz, cynowej trumny nie było.

Ja się urodziłam w kilka miesięcy po jego śmierci, w Klincach, w tej lecznicy, którą założył. Matka zostawiła mnie z Duniaszą, wiejską dziewczyną, a sama pojechała do Moskwy na *raboczyj fakultet* – uczyć się, uczyć się i jeszcze raz uczyć się, jak przykazał Lenin. Po rab-faku studiowała w Instytucie Baumana, gdzie były najlepsze siły. Energetykę, bo Lenin uczył, że komunizm to władza plus elektryfikacja. Studiowała z Malenkowem i synem Trockiego, była pierw-

szą kobietą w tym instytucie. Przez rok praktykowała w Niemczech, u Siemensa i Schuckerta. Wołchowska – pierwsza sowiecka elektrownia – była jej pracą dyplomową. Była konsultantem na Dnieprogesie, montowała w Noworosyjsku i Nowosybirsku – wszystkie elektrownie to jej robota. W 1937 została naczelnikiem czelabińskiego TEC-u, *Tiepło-Elektro-Centrali* – całej budowy, nie tylko montażu. Przepływała tam rzeczka Mius. Kiedy wszystko już stało gotowe, okazało się, że wody w tej rzeczce wróblom po kolana. A do chłodzenia bojlerów trzeba dużo wody. Były górskie jeziora, ale je uważano za święte – nie wolno ruszać. Pod obstawą wojska obniżyli poziom jeziora o półtora metra i musiała chodzić z osobistą ochroną, ale elektrownia ruszyła. I działa do dziś.

Kwiatek był wysokim *wojenaczalnikiem* w Winnicy. Jeździłam tam na wakacje, przyjaźniłam się z jego synem Wołodią. W 1937 Kwiatka wezwano do Moskwy. Wziął walizkę, poszedł na stację i skoczył pod koła, ale tak nieszczęśliwie, że tylko stracił nogę. Z jedną nogą zabrali go do Łubianki i postawili pod ścianą. Dubowej postradał zmysły przed śmiercią. W Czelabińsku aresztowano dyrektora fabryki traktorów, dyrektora kolei, sekretarza garkomu. Do mojej matki przyszedł naczelnny inżynier Winogradow, arystokrata z zagranicznym wykształceniem. Ja jestem stary i niewiele mam do stracenia, ale wy lepiej stąd wyjeżdżajcie. Matka wzięła wyjazd służbowy do Moskwy, a mnie Winogradow umieścił w szpitalu, na dwutygodniowe badania. Do Moskwy jechało się cztery dni. W czasie podróży matce odjęło nogi, nie mogła chodzić, paraliż. Chcieli ją wynieść z pociągu, ale się nie zgodziła, dopóki nie dojechała do Moskwy. Na wiadomość, że moja matka jest w Moskwie chora, Winogradow zabrał mnie ze szpitala i odwiózł służbowym autem na stację, razem z Duniaszą, która zwinęła dla nas trochę rzeczy w tobołek. Matka leżała w szpitalu, a ja i Duniasza mieszkaliśmy u jej starszej siostry, która skończyła med-instytut. Wiele miesięcy trwało, zanim matka zaczęła chodzić, ale się uchowala.

Po aresztowaniach brakowało bohaterów, bo same *wragi naroda*. Zaczęli wyciągać tych, co w porę zginęli. Nakręcili film o Czapajewie. Ale Czapajew to Rosja, a gdzie Ukraina? To Stalin mówi, dlaczego nie ma filmu o Szczorsie? Powierzyli film najlepszemu ukraińskiemu reżyserowi, Dowżence. Matka pomagała wybierać materiały. Samojłow bardzo przypominał Szczorsa, tylko za dużo krzyczał o Leninie. Mnie Lenin powiedział to, mnie Lenin powiedział tamto, a Lenin jemu nie powiedział, bo on nigdy Lenina nie widział. W filmie dawali do zrozumienia, że to trockiści go popychali na Kijów. I nie ma gruźlicy, ani żydowskiej żony. Był wybitnym dowódcą, ale zawsze chciał być lekarzem, chciał leczyć, a nie zabijać i to najważniejsze, co mogę o nim powiedzieć.

Jak w Kijowie się dowiedzieli, że film, to napisali operę, zawsze mieli świetnych śpiewaków. Zaproсили matkę na konsultacje, a że to były wakacje, wzięła mnie z sobą. Opera miała wielką pracownię krawiecką i szyjąc kostiumy, postawiono przy okazji przyrodzić także matkę i córkę głównego bohatera, które od dawna nie miały co na siebie włożyć. Wystawienie opery i uszycie sukienek wymagało czasu, a lato było gorące. Umieszczono mnie w Worzlu, podkijowskiej miejsco-

wości wypoczynkowej. Przesiedziałam w domu wypoczynkowym dwa turnusy i miałam już wracać, kiedy przybył z Dniepropietrowska przodujący student fizyki Isaak Chałatnikow, któremu właśnie przyznano Stypendium Stalinowskie. Przyjeżdżał później do Moskwy, do słynnego fizyka Landaua – i do mnie.

Kiedy wybuchła wojna Isaaka zabrano wraz z innymi absolwentami matematyczno-fizycznego fakultetu, do Moskwy, do Akademii Wojskowej. Jego rodziców i siostrę skierowano na południe, ale szybko zorientowali się, że to niewłaściwy kierunek, zostawili w wagonie bagaże i wcisnęli się do eszelonu, który szedł na wschód. To ich uratowało. Gdy Niemcy podeszli do Moskwy, Akademię Wojskową ewakuowano do Penzy. Fizycy, których było tam dwustu, nie musieli się długo uczyć i skierowano ich do artylerii przeciwlotniczej. Isaak znalazł się wśród trzydziestu najzdolniejszych, których przeznaczono do obrony Moskwy i tylko oni ocalili. Pozostali zginęli w Stalingradzie. Ja miałam zaliczone dwa lata biologii, kiedy uniwersytet ewakuowano do Taszkontu. Matka mnie nie puściła. Nikogo prócz ciebie nie mam, mówiła, chciała mnie mieć przy sobie. Ewakuowano nas z nomenklaturą do Kujbyszewa, byleż Samary, wybranego miasta mojego ojca. Matka miała zapewnić ewakuowanym zakładom energię elektryczną. Brakowało ludzi. Na pięć fabryk samolotów, tylko jedna przyjechała z załogą. Do pracy trzeba było wlec się pociągami, dwie godziny w jedną stronę, a pracowało się dwanaście godzin.

– Dobrowolnie?

– Co znaczy „dobrowolnie”? Przecież byliśmy robotnikami... Prócz chleba kartkowego sprzedawano na oddziałach trochę komercyjnego. Pieniądzy nie brakowało, bo przekraczaliśmy normy – te dowojenne były bardzo niskie. Półtora roku stałam przy frezarce. Kiedy wróciłam do Moskwy, biologia już mnie nie interesowała. Tylu rannych było, tylu okaleczonych. Poszłam na przyspieszony kurs lekarski. W lutym 1944 wzięliśmy z Isaakiem ślub w nie ogrzewanym, nie sprzątanym ZAGS-ie i w ten sposób wyciągnęliśmy jego rodzinę z Taszkontu, gdzie ludzie padali od głodu i epidemii. Na front nie zdążyłam, bo zaszłam w ciążę.

Isaak był szefem sztabu pułku przeciwlotniczego. Potem został dowódcą pułku. Wojna z Niemcami się kończy, a on mówi, że zostaje w kadrach – tak mu się spodobało. W wojsku płacą, mówi, a na aspiranturze co, 400 rubli? Można z głodu zdechnąć. Ja nigdy nie ingerowałam w jego zawodowe sprawy, ale tym razem musiałam. Nie chciałam, żeby został wojskowym. A jeszcze trzeba było na wschód, z Japończykami się bić, tam też wytracili narodu. Poszłam prosto do Kapicy. On mówi, wy piszcie jako żona, a ja jako dyrektor instytutu. Oba pisma poszły gdzie trzeba i go zwolniono. To on do mnie z kułakami, coś ty narobiła, dlaczego mnie zwalniają z wojska? A ja mówię, boś uczony, a nie wojskowy.

Stworzył, wspólnie z Landauem, teorię cieczy kwantowych. Pracował z Landauem, Abrikosowem i Pomeranczukiem nad podstawami elektrodynamiki kwantowej, z Lifszycem i Bielinskim nad kosmologią relatywistyczną. Dostał Nagrodę Państwową. W 1965 utworzył Instytut Fizyki Teoretycznej imienia Landaua. W 1984 został wybrany do Akademii Nauk.

- Dlaczego dopiero w 1984?
- Bo wybierano co cztery lata, a było wielu kandydatów...
- A nie dlatego, że Żyd?
- Większość fizyków to byli Żydzi...

Jego Instytut wychował znakomitych uczonych. Większość wykupili Amerykanie. Nie żalowali pieniędzy, bo po co inwestować w nie wiadomo co, jeśli ma się gotowe? Isaak przyjął pięcioletni kontrakt do Izraela.

W 1949 przyjechała komisja z Ukrainy, przepytывali starych robotników i jeden sobie przypomniał, że w tamtych czasach przelazł z kolegami przez murek, żeby spokojnie wypić na cmentarzu i pewnego dnia widzieli, że przywieziono kogoś ważnego, w cynowej trumnie i *nieobyczajna* jakaś rodzina go odprowadzała. A zakopali właśnie koło tego grobowca, gdzie miotły i wiadra. I tam go znaleziono. Przychodziły setki listów. Od żołnierzy, młodzieży szkolnej i małych dzieci, bo już w czwartej klasie uczono o wojnie domowej. Przedtem matka się tym zajmowała, po jej śmierci, na mnie się to zważyło. Daragaja Walentina Nikolajewna, nasz oddział ubiega się o imię Waszego Ojca i bardzo byśmy prosili, żebyście nam przysłali fotografie, dokumenty, czy inne przedmioty osobiste. Ja tych *sledopytów* nie cierpiałam. Mój Boże, żeby mnie tak ktoś przysłał coś po nim, przecież myśmy wszystko straciły uciekając wtedy z Czelabińska.

W polu, gdzie go zabili, postawili samotny obelisk. W Kijowie pomnik – na koniu, z naganem w kaburze, prawą ręką wskazuje kierunek – na pięknym starym skwerze, gdzie przedtem stał Aleksander, nie pamiętam który. Snowsk przemianowali na Szczorsk. W każdym ukraińskim mieście była ulica Szczorsa. W Winnicy urządzali spartakiady szkolne pod jego wezwaniem. Na stulecie jego urodzin zaprosili mnie do Szczorsa – który wciąż nazywa się Szczorsk – ale byłam już wtedy z Isaakiem w Izraelu i pismo przyszło za późno. Samara, gdzie został dwukrotnie pochowany, znów się nazywa Samara i nie wiem, czy stoi jeszcze w Kijowie jego pomnik, ale powinni zostawić tamten obelisk w polu.

W Moskwie stał chram Chrysta Spasiciela. Na pamiątkę zbawienia od Napoleona. Nad rzeką, koło Muzeum imienia Puszkina, które założył profesor Cwietajew, ojciec poetki Mariny, bardzo cenna kolekcja. Chram był wielki, rozległy. Zburzyli go w latach trzydziestych, żeby postawić tam Pałac Sowietów z 30-metrową statua Lenina. Ale ni czorta nie wychodziło, fundamenty się obsuwały. Chram stał, a to nie chciało. Krwia pluli, a nie mogli dać rady. Pakowali najprędniejszą stal, setki tysięcy ton – nic z tego. W czterdziestym pierwszym Żukow kazał tę stal wyciągnąć i zrobili z niej pancerze dla czołgów, które nie wpuścili Hitlera do Moskwy. Po wojnie długo nic tam nie było, a później urządzili wielką pływalnię z podgrzewaną wodą. Ale para szkodziła drogocennym obrazom w muzeum i musieli ten basen zasypać. Teraz z powrotem postawili chram Chrysta Spasiciela. Taki sam jak przedtem, według tych samych planów – i stoi.

Henryk Grynberg

Ewa Kuryluk

Od Kardamili do Kytery

Piotrowi

I

Powraca rytm krymskich sonetów
ruchomy żwir pamięci
rachunek wydrapany w murze
ibiskus
i spotniałe róże
po prętach pną się w Kardamili

pragnienia – ptaki z kruchej gliny
pragnienia – ptaki wydmuchane
polewa syci się farbami
wzrok mami
mszczą się zjawy

plecy olejkim smarowane
lśnią tłuste palce
i balsamem
jest morze
pociągnięte bladą
patyną

katarynki grają
i konik goni
w kręgu karuzeli
mysikróliki z utraconym berłem
na dnie
mulistym dnie

o Kardamili
w akrostychu

Ewa Kuryluk, ur. w Krakowie; malarka, poetka, powieściopisarka; współpracuje z nowjorską galerią *Art in General*, członek zespołu *Zeszytów Literackich*. Ostatnio opublikowała powieść pt. *Wiek 21* (Gdańsk 1996). Od 1981 r. mieszka w Nowym Jorku (red.).

śpi sens ucichłych kołysanek
blaszane tony
nakrapiana
działwa kuropatw trwoży się

o Kardamili
Karol Maria
i miłych gości zjazd przy stole
spotkanie w wieczornej agorze
głos trąbki
na baszcie w Krakowie
w ogrodzie botanicznym
spacer z opiekunem

II

pierzchnął znad czoła kariatydy
i w muszli ucha spoczął wiatr
stróżyje żółt w szczelinie akropolu
w szalasię śpią bliźniaczy bracia

metopy wymoszczone winem
w amforach mech i morska trawa
po spiekłych bruzdach stąpa Kastor
za rękę wiedzie smutną matkę

minione pory letnie przemierzają
gorycz orzechów zerwanych przed czerwcem
jaselki jaśmin sukienki z perkalu
arkana kobiet i sekrety dziewcząt

i skubie stara srebrne listki mięty
skubie wspominki ponad siwym sadem
ojciec odpłynął łabędzia żaglami
w podcieniach serca laszą się i czubią
na łonie Ledy opierzone dzieci

i ciurkiem ciurkiem
jak paciorki – myśli
ku kresom myśli nizają
ku wodzie
i giną – w lodzie
w krze północnych trosk



Fot. Jerzy Żegarliński

III

Polideuksie
o mój płochy bracie
gdy rzucą cię na metalową szalę
uśmiechnij się

bliźniak dom ci postawi
na żyłkę złapie lukrowaną rybę

w obłoku śmiga żuraw
okręt płynie
w codziennym świetle kąpie się
staw świata

staruszka – Baucis
przeprowadza straca
na drugą stronę stromej ścieżki
życia

zmierzch
ściera na pył
dwa oblicza
zaczynają tkanki żżera rak

przez korty kraju
pełnie gąsienica
pancernych aut
alianci grają w karty

Polideuksie
ocknij się po raz ostatni
Kastor
wie już o tobie
więcej niżli śniesz

w ścieg twoich stóp na wodzie
kroki składa
w niebieskie palce
na zranionej łące



Fot. Jerzy Zegarliński

IV

pachną jaśminy jesienią
jesienią
sączą się sączą
skośną zmarszczką Niobe
rowkami skruchy
sączą

fosą Troji
kłosy przed żniwem
statki bez sterników

Kalwarii omijają rafy
kurhany ukraińskich chanów

już dni ze sobą zgodzić się nie mogą
już noce z bólu gryzą palce
dokoła siebie wirują jak w walce
delfin i morze
łowca i wieloryb

przewodni wążek w osnowie i płomień
nie spoją w tęczę pyłu dwóch motyli
nikogo już nie zmyli starty owal
w glinianą maskę stroi się twarz stara
a stara ręka niezdarnie nakłada
łopatką dziecka popiół do dwóch urn

V

plyń ze mną plyń
delfinem stylem zwinnym
plyń ze mną plyń
niebieskiej dotknij fali
zabawy dzieci
rząd piaskowych panien
zabawy dzieci
w oceany ziemie

plyńmy
na firmamencie chorej gwiazdy czoło
czołga się myśl

ku spustoszonej portom
i gaśnie gaśnie
przed czasem w domowej
gaśnie w domowej przystani
żyjątko

płynmy
zostawić trzeba za plecami
darniowe brzegi
brzemienne letargi
nasenne leki na szpitalnej tacy

w sobotni wieczór splucze nas nurt obcy
wodą spojonym wolno dryfującym
spocząć pozwoli
dopełnionej doli
w ciepłej magnolii
na ciele magnezu

VI

plusk tak łagodny
blask tak czysty
opadły mgły i tafla wody
konturem łączy się okrągłym
z spokojnym niebem
skrajem konchy

kropla spokoju
nie przenika
w wilgotne oko
kruche ścianki
w schronienie dla zmęczonej plazmy
i dla spazzonej osi światła

tu na Kyterę
z kłębka nici
dosnuła się niteczka jedna
pęta wspomnienia – jak źrebięta
puszczone w podwodne ogrody
i poleruje srebro chwili
utracone

tu na Kyterę
zwijają okręty
zwolnione z kotwic lotnisk podwarszawskich
tabuny twarzy
rysy raz na zawsze
wytarte z szarych reliefów
pamięci

prąd utrudzony
prąd Mojrom uległy
z dna nie dobędzie
piędzi zatopionej

VII

przystanie porty
porty i przystanie
oblicza wody dotykane wiatrem
i smugi statków
drzazgi stromych żagli
żał – zatok cieśnin
żał – igła kompasu

mijają się strapieniem sterowane łodzie
nie mącą fali wyprzedzają wiosła
mnie się materiał na stroskanych krosnach
przystańmy – to łódź ojca wpływa w zachód słońca

*Kardamili – Kytera
lipiec – sierpień 1975*

Ewa Kuryluk



Fot. Archiwum „KA”

Gombrowicz i Wittlin – dwaj spiskowcy

Swoiste przymierze ideowe, jakie zawarli w latach powojennych Wittlin i Gombrowicz, długo jeszcze intrygować będzie badaczy epoki. Trudno zaprzeczyć: wywodzili się z najzupełniej odmiennych tradycji, osobowości ich były tak różne, że na pozór nie sposób znaleźć im jakąś wspólną płaszczyznę porozumienia. Pierwszy z nich wychował się na wielkich polskich romantykach¹, nie mówiąc o klasykach starożytności, a pochodził z pokolenia poetów ekspresjonizmu i Skamandra – pełnych jeszcze nabożeństwa dla poetyckiego słowa, wierzących w jego wagę i sprawczą moc. Drugi z mitem poezji i poetów rozprawiał się bez ceremonii, wietrząc w ich kulcie coś nieautentycznego, wytworzonego sztucznie, narzuconego w trybie pedagogicznym jednostkom i społeczeństwom². Pierwszy był erudytą i pochłaniaczem książek – drugi dzieła innych autorów traktował z pewną nonszalancją, kartkował niedbale, próbując – jak mawiał – uchwycić tylko pewien „styl”, sposób pisania czy filozofowania, nie myśląc zaś – broń Boże! – o jakichś drobiazgowych studiach. Jeszcze wyraźniejsze były chyba różnice w domenie charakteru: o ile naczelną cechą osobowości Wittlina zdawała się być skromność i niechęć do narzucania innym swego „ja” – o tyle w przypadku Gombrowicza było dokładnie na odwrót: zaboczne *Ego* pisarza dążyło do pochłonięcia i podporządkowania sobie całego świata. W efekcie żywiołem Gombrowicza była nieustanna gra, współzawodnictwo, szermierka słowna, Wittlin znówu zdawał się organicznie niezdolny do takiego wiecznego ścierania się z innymi, przyjmowania wciąż nowych masek czy kostiumów. I choć nie brakowało mu humoru, to był on raczej dobrotliwy, w żadnym razie nie obliczony na zranienie czy choćby odsłonięcie słabości partnera-przeciwnika.

W 1941 Gombrowicz napisał do Wittlina do Nowego Jorku list z Buenos Aires, prosząc go dość natarczywie o pomoc w uzyskaniu pieniędzy z emigracyjnych instytucji zapomogowych. Przez z górą rok te finansowe kwestie dominowały wymianę listów. Wznowiona została 18 listopada 1950 – i choć

Jerzy Jarzębski, ur. 1947 r. w Bytomiu, pracuje w Instytucie Filologii Polskiej UJ, historyk literatury i krytyk. Opublikował m.in.: *Grę w Gombrowicza, Powieść jako autokracja, W Polsce czyli wszędzie*; stały współpracownik m.in. *Tekstów Drugich, Znaku, Tygodnika Powszechnego*. Mieszka w Krakowie (red.).

Tekst niniejszy wygłoszony został jako referat na sesji *Józef Wittlin (1896-1976). New Perspectives*, którą zorganizowała Anna Frajlich-Zajac na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku (26-27 września 1996).

¹ Por. Z. Yurief, *Joseph Wittlin*, New York: Twayne Publishers, Inc., 1973, s. 16-20.

² Witold Gombrowicz, *Przeciw poetom*, w: *Dziennik (1953-1956)*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986.

motyw finansowy wracał w niej jeszcze nie raz, to przecie głównym tematem listowej konwersacji stała się odtąd literatura.

W pierwszym liście Gombrowicz skarży się, że powstałe niedawno *Ślub* i *Trans-Atlantyk* – mimo prywatnych zachwyty Iwaszkiewicza czy Kuncewiczowej – nie mogą przebić sobie drogi do odbiorców, a ich twórca jest „chyba najmniej znanym ze współczesnych autorów polskich”. „Wiem, że jeśli Pan uznał, że to co napisałem jest warte zachodu, to nie odmówi mi Pan pomocy, za co niezmiernie będę Panu zobowiązany”³.

Wittlin odpowiada entuzjastycznie: „dopiero dziś mogę Panu wyrazić mój absolutny zachwyty *Ślubem* [...]. To «dutkanie» narzuca się z równie sugestywną siłą, jak «upupienie» *Ferdydurke*. Sztuka jest kapitalna i działa ożywczo. Winszuję serdecznie. Przedmowa do *Transatlantyku* – pierwszorzędną, w samej powieści obok pysznych scen – są niestety miejsca, które po angielsku nazywa się «repetitions», ale samo ujęcie tematu i niezależność a raczej wspaniale niespętanie niczym [...] jest zaletą, jakiej nie spotyka się często w obecnej literaturze”⁴.

Od tej chwili listy na linii Nowy Jork – Buenos Aires zaczynają krążyć regularnie, a w lipcowo-sierpniowym numerze „Kultury” z 1951 ukazuje się artykuł *Apologia Gombrowicza*, w którym Wittlin bierze w obronę autora drukowanych w dwu poprzednich numerach pisma fragmentów *Trans-Atlantyku* przed spodziewanymi atakami emigracyjnych czytelników. Przymierze dwóch odmiennych duchów zostało zatem przypieczetowane. Pozostaje spytać: na jakiej płaszczyźnie owo przymierze ustanowiono? Wittlin w swej *Apologii* wychwala Gombrowicza przede wszystkim za twórczy, nowatorski charakter jego dzieła, za śmiałość w obnażaniu śmieszności czy podłości swych ziomków, wreszcie za umiłowanie prawdy, dla której autor *Trans-Atlantyku* waży się na niejedną bolesną autodemaskację. Pada w tym artykule wiele nazwisk i zaiste towarzystwo, w jakim się tam pojawia, mogło zadowolić Gombrowicza: Witkacy, Kafka i Céline, Daumier i Picasso, Stendhal, Lautréamont i Gide – czegoż chcieć więcej? Wittlin nie waha się jednak przed bardziej jeszcze patetyczną paralelą. Wspominając Chrystusa mówiącego Pilatowi, iż «przyszędł, aby dać świadectwo prawdzie», powiada w końcu, że: „każdy uczciwy apokaliptyk, choćby trzymał się jak najdalej od prawdy Krzyża – już przez samą trawiącą go pasję szukania prawdy i odkrywania rzeczy zatajonych – jest jak gdyby drażniony drzazgą z tamtego Drzewa. Może to być zatwardziały profan, bluźnierca, ikonoklasta, rozbijacz fetyszów, przed którymi padają plackiem całe narody. To może być – Witold Gombrowicz”⁵.

³ List Gombrowicza do Wittlina z 18 IX 1950, w: *Gombrowicz – walka o sławę. Korespondencja część pierwsza: Witold Gombrowicz – Józef Wittlin, Jarosław Iwaszkiewicz, Artur Sandauer*, Układ, przedmowy, przypisy Jerzy Jarzębski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996, s. 17-18.

⁴ List Wittlina do Gombrowicza z 9 I 1951, tamże, s. 18-19.

⁵ Józef Wittlin, *Apologia Gombrowicza*, cyt. za: *Pisma pośmiertne i inne eseje*. Wybór, opracowanie i przedmowa Jan Zieliński, Bibl. „Więzi” – Tom 69, Warszawa 1991, s. 273-274.

Nieco jaśniejsze światło na to krańcowe uwznioślenie Gombrowicza rzuca zakończenie *Apologii*, ścięte zresztą w połowie nożycami cenzora w pierwszej krajowej edycji tekstu⁶:

„Witold Gombrowicz nie jest pisarzem budującym. A jednak nie brak mu cech wzniosłości, gdyż uparte dążenie do prawdy, choćby droga do niej wiodła przez cuchnące bagna – jest wzniosłym dążeniem. Gombrowicz jest artystą świadomym skutków swego odosobnienia. Pierwszym takim skutkiem jest niepopularność. W krainach, gdzie sztukę obowiązuje optymizm, w pepiniarach soc-realizmu, będą zapewne wskazywali na Gombrowicza, jako na jaskrawy przykład indywidualistycznego zwyrodnienia. Na to nie ma rady. Ale dla tych, co korzystają z gorzkiego dobrodziejstwa emigracyjnej swobody – twórczość Gombrowicza stanowi cenną pozycję, którą możemy pochwalić się wszędzie, gdzie jeszcze szanują polot samotnej myśli i grę nieskrępowanej wyobraźni”⁷.

Podkreślamy to „odosobnienie”, „niepopularność” i „polot samotnej myśli”, bo tu – jak się wydaje – leży punkt ciężkości cytowanego fragmentu. Wittlin doszukał się wspólnoty z Gombrowiczem nie na gruncie poglądów czy podobieństwa poetyki. Znalazł ją, odnajdując się wraz z autorem *Trans-Atlantyku* wśród tych, którzy „korzystają z gorzkiego dobrodziejstwa emigracyjnej swobody”. Byłoby to odkrycie banalne, gdyby nie szczególne sensory i wartości przypisywane przez Wittlina emigracyjnej kondycji. Przypomnijmy jego głośny esej: *Blaski i nędze wygnania*, gdzie pisarzom-emigrantom przypisuje niejako potrójną banicję – tę, która dotyka najpierw wszystkich ludzi, jako pozbawionych Raju u zarania świata „wygnańców, synów Ewy”, następnie tych, którym zabrano ojczyznę, i na koniec tych, którym samotność wśród ludzi przynosi piarska profesja. Pisze Wittlin:

„Nieraz nam mówiono, że każdy, naprawdę oryginalny, artysta jest cudzoziemcem we własnej ojczyźnie. Już sam fakt jego odrębności i przekornego niesolidaryzowania się z *common sense*’m, fakt, że wszystko, co ów artysta ze sobą przynosi, jest niezwykle, niekiedy dziwaczne i przeważnie obce nawet najbliższemu otoczeniu, czyni go wygnańcem. (...) Skoro więc każdy człowiek, póki żyje, jest wygnańcem, a co drugi artysta, poeta czy pisarz jest wygnańcem, dlatego że na swój własny sposób widzi i wyraża świat, w takim razie my, członkowie Międzynarodowego P.E.N.-Klubu na Wygnaniu, oddział amerykański, po trzykroć jesteśmy wygnańcami. W moim skromnym mniemaniu jest to nie tyle nieszczęście, może to również być przywilej. Nikt chyba nie zaprzeczy, że na wiele spraw ziemskiego bytu jedynie artyści, a więc wygnańcy, umieją rzucać właściwe światło, jedynie poeci umieją spojrzeć na *condition humaine* z odpowiedniego dystansu”⁸.

⁶ Por. Józef Wittlin, *Apologia Gombrowicza*, w zbiorze: *Gombrowicz i krytycy*. Wybór i opracowanie Zdzisław Łapiński. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984, s. 92.

⁷ Józef Wittlin, *Apologia Gombrowicza*, w: *Pisma pośmiertne...*, s. 278.

⁸ Józef Wittlin, *Blaski i nędze wygnania*, w: *Pisma pośmiertne...*, s. 321.

Zatem nie fakt wspólnego przebywania na kontynencie amerykańskim łączył Wittlina z Gombrowiczem, a coś więcej – co wiąże się z ich stosunkiem do innych pisarzy, czytelników, współziomków. Tu obaj wybrali samotność – choć w każdym przypadku inaczej motywowaną i nacechowaną. Samotność Wittlina zrodziła się, można mniemać, w czasie pierwszej wojny i była samotnością człowieka, który za żadną cenę nie chciał przystać na cierpienia i śmierć innych – choćby to byli żołnierze wrogiej armii. Pacyfizm Wittlina zderzał się tu z wojenną mobilizacją emocjonalną, z natężeniem uczuć stadnych wiodącym do odrzucenia codziennej etyki, za szczególnym zrzeczeniem się suwerenności jednostki na rzecz państwa czy narodu. „Ta dziwna, tchórzowska zaiste transfiguracja – pisze w szkicu *Wojna, pokój i dusza poety* – dokonywa się prawie zawsze w duszach cywilizowanych ludów z chwilą rozpoczęcia wojny i jest najniezawodniejszą właściwością ludzkiego charakteru. Ze zbrodni zabijania rodzi się w oka mgnieniu cnota żołnierska”⁹.

Ciekawe: w Gombrowiczowskim *Testamencie* znajdziemy passus na podobny temat: „sposobiąca się do wojny Europa – pisał – zwłaszcza środkowa i wschodnia wchodziła w okres demonicznej mobilizacji formalnej. Hitlerowcy, komuniści, fabrykowali sobie groźne, fanatyczne, oblicze, fabrykacja wiar, entuzjasmów, ideałów, dorównywała fabrykacji armat i bomb”¹⁰.

Czy zatem obaj pisarze spotkali się na gruncie powojennego pacyfizmu? Nie sądzę. Walczący o autentyczność jednostki Gombrowicz daleki był od pacyfistycznego moralizmu. Płaszczyzna porozumienia posadowiona jest tu głębiej. Wittlinowski pacyfizm rodzi się także, jak mniemam, z poszanowania dla ludzkiej osoby, jej prawa do odrębności, z niezgody na stereotyp, na wtopienie indywidualnego człowieka w statystyczną masę i „narodowy obowiązek”. Wszak stąd właśnie, z tej niezgody narodził się bohater *Soli ziemi*, Piotr Niewiadomski – „nieznany żołnierz”, któremu artysta nadał żywą twarz i rzeczywiste losy. Zoya Yurieff pisała o fascynacji śmiercią u Wittlina, o pasji „odkrywania tajemnic śmierci i piekła”¹¹. Nie wydaje się to ścisłe; w cytowanym przez badaczkę szkicu, pisarza interesuje bardziej odkrycie własnej twarzy:

„Poblize śmierci może [...] uintensywnić i uszlachetnić pieśń, napęlniając ją transcendentalnym natężeniem i promieniowaniem. [...] Piszmy więc i już za życia ogłaszajmy nasze utwory «na zasadzie» pism pośmiertnych. [...] A jeśli dzieło literackie istotnie ukazuje twarz autora, niechże to będzie jego prawdziwa twarz, a nie gęba zniekształcona grymasem pychy, próżności lub samouwielbienia.

Podobno tylko maska pośmiertna może ukazać prawdziwą twarz człowieka. Często maska ta bywa jedynym dowodem, iż człowiek ów miał własną twarz.

⁹ Józef Wittlin, *Wojna, pokój i dusza poety*, op. cit., s. 26.

¹⁰ Witold Gombrowicz, *Testament. Rozmowy z Dominique de Roux*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996, s. 54, 55.

¹¹ Zoya Yurieff, op. cit., s. 16: „Dla każdego, kto obznajmiony jest z dziełem Wittlina, oczywiste jest, że to właśnie Śmierć i człowiek zmarły najbardziej zawsze fascynowali Wittlina i że już we wczesnej twórczości udało mu się «zżyć» z nimi. Ta fascynacja nadzwyczaj pełny wyraz znalazła w jednym z jego esejów, zatytułowanym *Pisma pośmiertne*, w którym odkrycie tajemnic śmierci i piekła nazywa jednym z najważniejszych zadań poety”.

Toteż każde uczeniwe dzieło literackie jest właściwie pośmiertną maską autora, zrobioną już za życia¹².

Poblize śmierci jest więc dla Wittlina „miejszem prawdy” definiowanej w terminach całkiem Gombrowiczowskich („gęba”, „twarz”, „maska”). Pisarz usadawia się jakby na granicy pomiędzy życiem a śmiercią – i jest w tym tyleż wypełnienie obowiązku wobec zmarłych, poddanych nieuniknionemu procesowi zapomnienia, co próba własnego „ja”, ujrzanego *in articulo mortis*, a więc w samotności, która przystoi tym, co mierzą się z umieraniem. Bycie na granicy zawsze fascynowało Wittlina – czego dowody w reportażowych szkicach z Cieszyna i z międzywojennej granicy polsko-niemieckiej w okolicach Działdowa¹³ – oznacza to bowiem najczęściej: bycie na skraju wspólnoty, w miejscu, gdzie konfrontuje się ona z Innością, a więc odsłania wyraziściej własne swe cechy i ograniczenia.

Przypatrzmy się teraz Gombrowiczowi. Ten o śmierci wspomina bardzo rzadko, a w prozie i dramatach organizuje ją, jak się rzekło, na podobieństwo obrzędu, odbierając realizm rytuałom przejścia z bytu w niebyt. W miejsce śmierci jako granicznego „obszaru prawdy” pojawia się u Gombrowicza punkt styku pomiędzy odgrywanymi przez jednostkę rolami, moment, w którym „przełamuje się forma” i na ułamek sekundy ukazuje się spod niej prawdziwa ludzka twarz. Ten moment przełamania formy jest jednocześnie momentem, w którym jednostka staje na chwilę ponad i poza społeczeństwem, niedefiniowalna w jego kategoriach i suwerenna. Jeśli więc śmierć dla Wittlina jest tym ostatecznym i definitywnym „wygnaniem” – ze świata żywych – to dla Gombrowicza jest ona w gruncie rzeczy emblematyczna i nierzeczywista. Odsłaniający prawdę o człowieku dramat rozgrywa się cały po stronie doczesnej egzystencji, która jest domeną nieustannej „ucieczki” – przed zniewoleniem.

Wittlin-moralista doskonale zrozumiał i rozgrzeszył Gombrowiczowską apoteozę dezercji w *Trans-Atlantyku*. Rzecz bowiem w tym, że figura „ucieczki” zajmuje u Gombrowicza miejsce figury „wygnania”, jest jego – wygnania – repliką i dopełnieniem w tonacji buffo. Tragiczność emigracji nie może więc Gombrowicza dotyczyć – stąd atak na słowa Ciorana o wygnaniu, które tchnąć mają „piwnicznym chłodem i stęchlizną grobu”¹⁴, stąd też patetyczna diatryba do braci emigrantów:

„Nauczcie się dźwigać własne przeznaczenie. Przestańcie opiewać mdlawo piękności Grójca, Piotrkowa lub Biłgoraja. Wiedźcie, że ojczyzna wasza to nie Grójec, ani Skierniewice, nawet nie kraj cały, i niech krew uderzy wam na policzki rumieńcem siły na myśl, że ojczyzną waszą wy sami jesteście! Cóż z tego, że nie przybywacie w Grodnie, Kutnie lub Jedlińsku? Czy kiedykolwiek człowiek przebywał gdzie indziej, niż w sobie? Jesteście u siebie, choćbyście znaj-

¹² Józef Wittlin, *Pisma pośmiertne*, w: *Pisma pośmiertne i inne eseje...*, s. 22-23.

¹³ Por. *Siesta w obcym mieście* i „*Jenseits*”, w: *Pisma pośmiertne i inne eseje...*

¹⁴ Witold Gombrowicz, *Diary*, Volume I, general editor J. Kott, transl. by L. Vallee, Quartet Books, London – New York 1988, s. 39.

dowali się w Argentynie lub w Kanadzie, ponieważ ojczyzna nie jest miejscem na mapie, ale żywą istnością człowieka¹⁵.

A tragizm?

„Niedziela

Tragedia.

Chodziłem po deszczu w kapeluszu nasuniętym na czoło, z kołnierzem palta podniesionym, z rękami w kieszeniach.

Po czym wróciłem do domu.

Wyszedłem jeszcze raz, żeby kupić coś do zjedzenia.

I zjadłem¹⁶.

Tak, tak, rozumiem całą prowokacyjność tych fragmentów, gdzie wzniosłość ludzkiego losu zamieniła się w emocjach miejscami z banałem potocznej egzystencji, czyż jednak obraz negatywny nie pozostaje w silnym i nierozzerwalnym związku z pozytywnym? I któż w końcu rozpozna treść gestu, skoro – jak w finale *Bankietu* – „SROMOTNA UCIECZKA KRÓLA STAJE SIĘ ATAKIEM JAKIMŚ i już nie wiadomo czy to KRÓL UCIEKA, czy też KRÓL PĘDZI W PRZESTRZENI NA CZELE BANKIETU!”¹⁷ W ten sam sposób „ucieczka” i „wygnanie”, patos i zgrywa stają się awersem i rewersem tej samej monety.

Splęćmy na powrót dwa personalne wątki. Zasadnicze, głębinowe porozumienie pomiędzy Wittlinem a Gombrowiczem ufundowane zostało na wspólnym dla obydwu pragnieniu wyzwolenia się spod dyktatury grupy, wspólnoty, zbiorowych wmówień i uprzedzeń¹⁸. W jakiś sposób zresztą obydwaj byli na to wyobcowanie skazani: Gombrowicz – urodzony outsider, zawsze obcy i nie na swoim miejscu w każdej zbiorowości; Wittlin – Żyd z wychrzczonej rodziny ze wschodnich kresów, któremu rozplenieni w latach trzydziestych nacjonalistyczni krytycy i bojówkarze dawali do zrozumienia, że żadne jego zasługi dla polskiej kultury nie uczynią go w ich oczach „prawdziwym Polakiem”¹⁹. Emigracja jako los przyjęty i przemyślany, jako figura „wygnania”/„ucieczki” była niejako gotową formą czekającą na obydwu pisarzy, zanim jeszcze wydarzenia historyczne uczyniły ją rzeczywistością. Emigrację ową traktowali wszakże jako zadanie, jako pracę duchową, która osobistą klęskę zamienić może w zwycię-

¹⁵ Ibidem, s. 59.

¹⁶ Ibidem, s. 71.

¹⁷ Witold Gombrowicz, *Bankiet*, w: *Bakakaj*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957, s. 248.

¹⁸ Por. fragmentu listu Wittlina do Gombrowicza z 27 VIII 1951: „Polacy to tchórze: raczej dadzą się wymordować na «polach bitew» – i pozwolą na spalenie Warszawy – niż przyznają, że podoba im się coś – co według rządzących nimi mistrzów i fetyzów – nie powinno im się podobać. Ponieważ Pan tak świetnie odsłonił właśnie ten kompleks – musi Pan się liczyć z tchórzliwą reakcją «ogółu»” (*Gombrowicz – walka o sławę*, s. 34).

¹⁹ W liście z 28 XII 1951 pisze Wittlin w związku z napastliwym wobec *Trans-Atlantyku* i jego obrońcy, nacjonalistycznym w tonie listem do redakcji *Kultury* niejakiego Tadeusza Drobnika: „Ze ja się tym listem przejąłem bardziej od Pana – proszę się nie dziwić. Po długim milczeniu odczuwałem się znów po polsku i znów powiał w moją stronę tak dobrze znany wietrzyk, który sprawił, że jeszcze przed wojną wyjechałem z kraju” (*Gombrowicz – walka o sławę*, s. 38).

stwo. Jakiż to więc spisek zawiązali Wittlin z Gombrowiczem w 1951 roku?

Ci dwaj emigranci zeszli się zapewne w pragnieniu reformy polskości, choć pewnie różnie ją rozumieli. Polska lat międzywojennych to był przecie kraj szukający wciąż swej tożsamości po 123 latach zaborów. Owa tożsamość wspierać się mogła na zasadzie narodowej, na kulcie posłuszeństwa wobec pewnych wzorców – kulturowych, religijnych, językowych. Wyzwalało to demona nacjonalistycznego puryzmu, który szukał „polskości prawdziwej”, tępił odstępstwa od arbitralnie ustalanych norm itd. Inny model, który w grubym uproszczeniu można nazwać „jagiellońskim”, był nieporównanie mniej określony – „Polska” była w nim ideą nie tyle etniczną, co polityczną, oznaczała przynależność do wspólnoty wolnych obywateli, stanowiących o sobie w ramach demokratycznych procedur, kochających swe państwo nie jako mieszkanie jednej, wyróżnionej nacji, ale jako przestrzeń politycznej wolności, w której żyją ludzie różnych kultur i obyczajów. Łatwo stwierdzić, że obaj – Wittlin i Gombrowicz – skłaniali się ku tożsamości drugiego rodzaju: Wittlin w imię cnót tolerancji, poszanowania inności i walki z zakrzepłym stereotypem, Gombrowicz – jako piewca sarmackiej swobody i suwerenności jednostki.

Nie sposób jednak zredukować porozumienia pomiędzy pisarzami do spraw polityki. „Polskość” jest ostatecznie pojęciem szerszym, jest pewnym spletem ideałów ze „sposobem bycia”, powagi z poczuciem komizmu, zaangażowania z dezynwolturą itd. Chodzi tu, jednym słowem, nie tylko o zasady, ale o styl postępowania i stosunek do owych zasad, o to, jak w konfrontacji z nimi manifestuje się ludzka osoba. W tym punkcie idea Gombrowicza była jasna: budował w swych pismach apoteozę jednostki, która jest na tyle silna, by wobec zasad zachować suwerenność. Siła osobowości realizuje się u Gombrowicza nie w jakimś jednym, wyraźnie określonym kształcie, ale przeciwnie – w postaci stalego napięcia pomiędzy „ja” a jego realizacjami na użytek społeczny: maskami, kostiumami, rolami. Demonizm ludzkiej natury na tym się zasadza, że nie może ona nigdy odsłonić źródeł swych postępów – maski pokrywają mroczne, niepoznawalne wnętrza.

Ten osobliwy „demonizm” staje się u Gombrowicza programem – nie tylko utylitarnie pojętym programem osobistym, ale też programem dla Polaków. W jednym z najważniejszych listów do Wittlina takie oto wygłasza *exposé*:

„oprócz tego Gombrowicza, na którego Pan położył nacisk [...], istnieją [...] inni Gombrowiczowie. Mam tu na myśli Gombrowicza Demonicznego, tj. Ciemnego, tj. Niedojrzałego, tj. Niższego i Metafizycznego, Instynktownego oraz Gombrowicza Niepoważnego.

Mój «demonizm» jest dla mnie niezmiernie ważny, gdyż czuję, że na ciemności zajdę dalej i głębiej, ona jest bardziej «genialna». Ta myśl wspiera się na innej, a mianowicie, że zdaniem moim Polacy dotychczas nie urzeczywistnili się w sztuce, nie «stali się» – ponieważ nie zdobyliśmy się nigdy na dość bezwzględną afirmację naszej natury, nie byliśmy dość kategoryczni w grzechu, w wadze, a właśnie grzech i wada są twórcze i płodne. [...]

Myślę jednak, że bodaj najistotniejszą cechą moją jest niepowaga, która wyraża się dwojako. Primo: ja właściwie tylko udaję pisarza. Jestem mistyfikacją. Nie mam tego, co się nazywa autentycznym stosunkiem do kultury. Jestem aktorem i w tym jestem prawdopodobnie bardzo polski, gdyż Polacy są aktorami do szpiku kości. Secundo: ja bawię się. Ta żądza zabawy jest we mnie niesłychanie silna i jest chyba podstawą mojego stylu, tj. iż najwyższą racją mojego pisania jest to, że piszę dla przyjemności. [...] Ta «niepowaga» położyłaby mnie jako pisarza, gdybym nie zdołał znów na dalszym planie ująć jej «poważnie», tj. gdybym nie był przeświadczony, że człowiek «poważny» jest właśnie autentyczny, że niepowaga jest konieczna i uzasadniona, że mistyfikacja i aktorstwo są zasadniczymi czynnikami życia²⁰.

Rzecz osobliwa: wydaje się, że i tutaj – jak w przypadku „wygnania”/„ucieczki” – program Wittlina jest negatywowym dopełnieniem programu Gombrowicza. Po pierwsze dlatego, że nie jest programem sformułowanym, istnieje jakby milcząco, manifestuje się wprost. Kto wie, może to obecność w diasporze polskiej, gdzie nie brakło wciąż hurrapatriotów, którzy radzi by egzaminować każdego z umiejętności „czucia po polsku”, wstrzymywała pióro Wittlina przed wyraźniejszymi deklaracjami. Po drugie: Gombrowiczowskiej niepowadze podszytej powagą przeciwstawiał Wittlin swą głęboką powagę wobec ludzi i wartości, której nie brak na dnie poczucia dystansu i ukrytej autoironii. Na dowód przytoczmy zakończenie artykułu, w którym gromił polskie zamilowanie do pustostłowa:

„W tej chwili np. dużym wzięciem cieszy się w języku polskim na obczyźnie słowo demokracja. Nie: narodowa demokracja, nie: socjalna demokracja i nie: chrześcijańska demokracja, tylko sama: demokracja. Słowo to bez poprzedzających je przymiotników, dla wielu ludzi w Polsce przedwrześniowej było po prostu synonimem wyznania moźeszowego. Dla Hitlera też. Dziś jawi się to słowo w sensie afirmatywnym na ustach wykrzywionych źle ukrytym grymasem wzgardy nie tylko dla ludzi tego wyznania, ale i dla wszystkich konsekwencji, jakie wiara w ten wyraz o nieskażonej treści pociąga. Co do mnie, starego, choć nie bezkrytycznego demokrata (bez przymiotnika), miałbym w takich wypadkach ochotę sparafrazować słynne powiedzenie bohatera pewnej kiepskiej sztuki niemieckiej: «Gdy słyszę słowo: demokracja, odbezpieczam...». Ale co ja właściwie odbezpieczam? Moją bronią jest tylko bezbronne słowo, którym strzelam do słów pustych, pustość wyrażających, czyli że strzelam w próżnię²¹».

Dziwna to więc para – Gombrowicz z Wittlinem: ożywiłi podobną intencją walki o polskość mądrzejszą i bardziej otwartą na świat, zgadzający się co chwila w sprawach istotnych (stosunek do Miłosza, Sienkiewicza²²), a przeciwko sobie różni do szpiku kości. Stąd wątek „towarzyskich”, by tak rzec, nieporozumień, powracający wciąż w listach. Drażliwy Wittlin skarży się, że Gom-

²⁰ List Gombrowicza do Wittlina z 4 IX 1952, w: *Gombrowicz – walka o sławę*, s. 53-54.

²¹ Józef Wittlin, *Puste słowa*, w: *Pisma pośmiertne i inne eseje*, s. 256.

²² Por. List Wittlina do Gombrowicza z 13 VII 1953, w: *Gombrowicz – walka o sławę*, s. 62-63.

browicz nie poświęca mu należnej uwagi²³ – ten odpowiada niesłuchanie zabawnym lamentem w stylu bodaj celowo szmoncesowym, który domaga się przytoczenia – tak demonstracyjna jest w nim literacka zabawa formą:

„To piękne, że Pan jest moim obrońcą ciągle i zawsze, i nie wiem, jak Panu dziękować za to systematyczne poparcie, ale okropne jest, że Pan umie też być oskarżycielem, niczym sam prokurator Wyszyński, niezmordowanym w budowaniu aktu oskarżenia, Pan jest Kafka, Pan osaczył mnie jakimś strasliwym procesem i wiem, że to będzie ciągnąć się przez wszystkie instancje i że nie ma mowy, abym się z tego wykaraskał i, naturalnie, ten mój list stanie się jednym więcej dowodem obciążającym, o czym dowiem się za rok lub dwa z jakiegoś zdania Pańskiego, wtrąconego, gdzieś mimochodem, ha, Pan nie zna litości, Pan jest jak Erynie. Oczywiście to, że Giedroyc napisał, że Pan wspomniał, że od dłuższego czasu nie pisałem (choć ja pisałem), już stało się «interwencją» Giedroycia i na próżno bym przysięgał na kolanach, że nie było żadnej interwencji. Pan jest Husserl, Pan mnie pomawia o jakąś świadomość «intencjonalną», ale Bóg widzi, że moja świadomość jest taka sobie, bo ja wiem, jak wszystkie. Ciarki mnie przechodzą na myśl, co byłoby, gdyby ten list się zapodział gdzieś na poczcie, bo wtedy będzie powiedziane, że nie odpisałem. Ale jeśli list dojdzie, to też będzie okropność, bo wiem, że każde słówko zostanie poddane badaniu i że wydusi Pan z niego nowego węża oskarżeń, które będą tym strasliwsze, jeśli pozostaną nie wyznane. Na próżno błagam o litość. Bo Pan nawet gotów ulitować się nade mną i przebaczyć, ale to przecież będzie nowym potwierdzeniem mej winy, więc nie ma ratunku, piekło, rozpacz, klęska.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień

Witold Gombrowicz²⁴

Rzut oka na pierwsze zdania odpowiedzi musiał Gombrowiczowi uświadomić, że ten rodzaj – dość okrutnych – gier literackich nie jest z Wittlinem możliwy: „Proszę Pana gorąco: niech Pan ze mnie nie szydzi, nazywając Kafką i Husserlem, i nie obraża, nazywając Wyszyńskim. Doprawdy w złym momencie przyszedł ten Pański list i nie wiem, czy sobie zasłużyłem na tyle definitywnych określeń mojego charakteru...”²⁵ Gombrowicz, wbrew pozorom nader czuły na cudze cierpienie, reaguje natychmiast: „niech Pan się nie gniewa – ja muszę koniecznie bawić się trochę ludźmi, tylko z takimi dobrze się czuję, z którymi mogę także – tj. poza czymś innym – bawić się. Otóż znam Pański dramat, przynajmniej w ogólnych zarysach, i wcale go sobie nie lekceważę, ale jednocześnie jest Pan dla mnie dziwnym demonem anielsko-diabelskim, kimś nader wyrazistym, kogo żywcem można by wsadzić w sztukę. Nie mogę wytrzymać czło-

²³ Por. List Wittlina do Gombrowicza z 6 V 1956, tamże, s. 72-74.

²⁴ List Gombrowicza do Wittlina z 24 V 1956, tamże, s. 75.

²⁵ List Wittlina do Gombrowicza z 29 V 1956, tamże, s. 75.

wieka w jego powadze (zresztą życia także nie), bronię się przed tym [...], szukam jakiegoś «odciążenia»²⁶

Gry z Wittlinem Gombrowicz już w korespondencji nie podejmie, powróci jednak do prób nakreślenia jego postaci – w *Dzienniku* – i znów skończy się to nienajlepiej. Obraz Wittlina jako tworu ducha mieszczańskiego, któremu historia odebrała kulturowe podłoże, demona złożonego ze sprzeczności i wiszącego nad przepaścią²⁷, zdecydowanie nie przypadł portretowanemu do gustu. I choć list z jego protestami nie zachował się, musiały być one na tyle zasadnicze, że Gombrowicz zamieścił w następnym odcinku *Dziennika* swoiste sprostowanie swych sądów²⁸, nigdy już więcej nie puszczając się na te zdradliwe wody. I na tym kończą się bodaj Wittlina z Gombrowiczem „rozmowy istotne”. Czując wzajem do siebie podziw i sympatię, doceniając siłę i wartość swych osobowości, nie potrafili zarazem porozumieć się w sferze stylu, dobrać sobie odpowiedniego języka konwersacji, pozwalającego na swobodną wymianę myśli i emocji. A przecież dla dzisiejszego czytelnika korespondencji Wittlin – Gombrowicz ich najeżone trudnościami (nie)porozumienie działa krzepiąco. Dowodzi bowiem, że Gombrowiczowska reforma polskości nie była ani imprezą „towarzyską”, ani pokoleniową prowokacją kierowaną przeciw starszej generacji pisarzy i czytelników – że wspierać ją mógł bezinteresownie przedstawiciel starszego kręgu twórców – i to należący do tak różnej duchowo parafii. Działał więc ów „spisek” nie w porządku „grup sytuacyjnych” lub generacji, ale w porządku wartości trwalszych niż okresowa moda, a wyzwanie rzucone przez „spiskowców” w początkach lat pięćdziesiątych tradycyjnym stereotypom narodowym, dziś także brzmi aktualnie.

Jerzy Jarzębski

²⁶ List Gombrowicza do Wittlina z 5 V 1956, tamże, s. 77-78.

²⁷ Por. Witold Gombrowicz, *Dziennik 1961-1966*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, s. 61-65.

²⁸ Tamże, s. 80.

Piotr Roguski



Fot. Archiwum „KA”

Zalóżmy że
otworzysz na oścież duszę serce kieszeń
wroga nazwiesz bratem
przyjacielem przechodnia
żebraka zaprosisz na wystawną kolację
chlebem się podzielisz z zawodowym złodziejem
prześladowcom przebaczysz
za morderców po kościołach świeczki palić będziesz

Nie jest wykluczone jednak że
wróg odrzuci propozycję brata
przechodzień nie znajdzie czasu słowa nie zrozumie
nędzarzem zostawi cię znajomość ze złodziejem
mordercy nie zadrży powieka ni ręka

Raczej dobra rada niż przesłanie

Przemkowi

Nie, nie daj sobie odebrać radości
pieszczoty pocałunku świata
nie przespanej nocy syna
starości bezbronnej

Piewcy martwego łona
kopulacji jednogatunkowej
zimnego łóżka w przytulku

Piotr Roguski, ur. 1945 r., poeta, tłumacz, krytyk literacki, historyk literatury – wykładowca w Instytucie Sławiistyki na Uniwersytecie J. W. Goethego we Frankfurcie nad Menem. Opublikował cztery książki poświęcone związkom polsko-niemieckim w literaturze w XIX wieku. Mieszka we Frankfurcie nad Menem (red.).

apologeci cynizmu
ostrych narkotyków przemocy i śmierci
szturmują nie tylko ulice
już wkradli się do naszych skrzynek na listy
rozmów przy niedzielnym stole
wygodnego odpoczynku przed telewizorem

Próbują wmówić poczciwym
że czas na zmianę
świat zmienia skórę
oddycha innym powietrzem
obrona przyzwoitości nie ma sensu

Nie, nie daj się zapędzić w mrok
bez szansy na powrót

Ten ból będzie twoim jedynie udziałem

Wszystko jedno
czy zawieszysz na krzyżu
zostaniesz rozstrzelany
podadzą ci napój śmierci
rozerwą na części
będzie to finał sprawy
którą przegrałeś w sądzie ziemskim

Okazało się że
byłeś dość nierozważny
nie słuchałeś rozsądnych rad
mówiłeś słowa od których
trzęsły się mury świątyni
a miłościwie panującym
spędzały sen z powiek

Owszem
znajdą się i wierni
dołączą do uczniów
wśród których nie ludź się
nie zabraknie twojego Judasza

Gdy będzie już po wszystkim
i opadnie jak kurz zgiełk sali sądowej
zostaniesz sam

pozostali
rozejdą się na pewno do domów
w końcu to ty wytrąciłeś ich
z ciepła urzędu
wygodnej pewności świata
lenistwa na rogu ulicy

Wielu jest zbrojnych

To prawda Janie

Wielu jest zbrojnych
w habit klasztorny
w lancet
rakiętę
gaz czuły i palkę
nadmiernie pewnych tajemnicy rzeczy
butnych i dufnych
że wiedzą najlepiej
że wolni od strachu
i że wszystko mogą

Figlarny ślad nieobecności

pamięci Ojca

Już lustro zdradza podobieństwo cienia
wpadnięte oczy wystające kości
czasem przeleci jak strwożony wróbel
uśmiech figlarny
ślad nieobecności

Zatrzymuję się widzę
za mną postać trzecia
rozpoznaję ją dobrze
krew z krwi kość z kości
obserwuje uważnie
jeszcze nie wie czeka
co się zdarzy gdy pójdę
jak ojciec
poświęcą księżycą

O mądrej zasadzie proporcji

XXI sędzi
że nie jest trudno
napisać wiersz

składniki do jego przyrządzenia
powtarzają się
jak potrawy w książce kucharskiej
należy WYŁĄCZNIE pamiętać
o proporcjach
nierozwaga w operowaniu
pastelami z dzieciństwa
czy cieniem drzew
zawsze kończy się zapaścią wiersza

XXI doradza więc pamiętać
o mądrej zasadzie proporcji
o której tyle
w każdej starej pocziwej
książce kucharskiej

Zapytała tylko czy zostanę na noc

Matce

Bunt nie zważa na nic

Uciekałem
by wolność smakowała inaczej

W Piśmie znajduję usprawiedliwienie
dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę

Odnalazłem ją
gdy była już bardzo stara
zapytała tylko
czy zostanę na noc

Odmienny kształt dzbanka

Uzbrojeni w ideę
wyposażeni w rozkaz
nawiedzeni słowem
słowem uwiedzeni
zbierają się w grupy
czasem wędrują z miasta do miasta
najczęściej maszerują
by zmienić stare w nowe lub na odwrót
odmówić posłuszeństwa bogom
ulepić innych jak glinę
zawsze na swój obraz
i podobieństwo
co logicznie wyklucza zgodę
na odmienny kształt dzbanka
inny owal twarzy
dźwięk obcej mowy

Kocha lub szanuje

Odpowiedź nadesłana

Zapytany przez tygodnik telewizyjny *Na pierwszy rzut oka*, jaki rodzaj poezji lubi, XXL nadesłał odpowiedź wierszowaną.

Kocham
cienkie tomiki skąpców epitetu
czytelatorów słowa
rzeźbiarzy znaczeń
to oni
czuwają przy świętym ogniu poezji
prowadzą dysputy w cieniu cyprysowych gajów
mają odwagę powiedzieć „dosyć“

Szanuję
bez zastrzeżeń prawie
nieustraszonych kapitanów wypraw w nieznane
fantastów bez opamiętania
lekkoduchów
i prostaczków pańskich
wszechpotężnych mocarzy wyobraźni
bez których
jedzenie miałoby smak trawy
a wino – zapach wody

Lubię wszakże
aż do łez
ironistów
prześmiewców
pogodnych zgryźliwców
i kpiarzy
bez nich
groziłaby nam nuda rozsądku
niewola umiaru
paraliż powagi

Piotr Roguski



Fot. Archiwum „KA”

POKÓJ

Cisza. Cisza małego pokoju o zmierzchu. Cisza u początku nocy. Cisza przedświt – końca nocy. Czas trwogi, zamknięcia i bezruchu. Słyszy tylko tykanie zegarka i szum wiatru za oknem. Siedzi nieruchomo. Wsłuchuje się w szelest przewracanych kartek. Tadzio już śpi. Ktoś w rozmowie powiedział mu kiedyś, że zamknięta przestrzeń powoduje fobie. Być może... Pali się tylko mała lampka przy biurku. Od ściany do ściany zaledwie kilka kroków. Kaszlnął. Teraz chrząka. To dziwne uczucie – wsłuchiwać się w swoje wewnętrzne odgłosy. Uwolnił się nareszcie od jęków Tadzia, a teraz nie może oderwać uwagi od swoich wewnętrznych bulgotów. Pada deszcz. Odwraca głowę w stronę okna. Patrzy nieruchomo w ciemność. Na schodach nie słychać żadnych kroków. Na pierwszym piętrze trzasnęły drzwi. Dotknął ręką do kaloryfera. Letni. Wstał i zaczął powoli, na palcach skradać się do drzwi. Wskazującym palcem uchylił delikatnie wizjerek. Ciemno. Jeszcze chwilę nasłuchiwał, przyklejał ucho. Odszedł. Usiadł na krześle. Znowu zaczął przewracać kartki. Wziął lupę i przybliżył oko do ryciny. Pozostał tak przez chwilę pochylony. Piętro niżej znowu trzasnęły drzwi. Poruszył się. Położył palce na książce i zaczął przyglądać się żyłom, a potem odwrócił dlonie i oglądał pod lupą linię życia. Dość wyraźna, na końcu rozczapierzona. Zacisnął rękę. Tadzio poruszył się na łóżku. – Aaa. – Najpierw cicho. Nie oderwał oczu od dłoni. I znowu Tadzio. Charkot i jęk, rżenia z małej piersi dziecka. Uderzył pięścią w biurko. Mały ucichł. Odwrócił się i patrzył przez chwilę na twarz kaleki. Ledwo widział ją w półmroku. Ktoś za ścianą spuścił wodę w łazience. I znowu mlaskanie. Wydawało się jakieś irytujące i monstrualne w tej ciszy pokoju. W półmroku. Nieludzkie. Znowu poruszył się na krześle. Zdawało mu się, że jest przywiązany. Sparaliżowany jak Tadzio. Każdy mały ruch kosztował go wiele wysiłku. Przypatrywał się tym oznakom życia. Gdy nie poruszał się, ogarniał go lęk. Był jak umarły. Życie to takie małe poruszenia, a raczej ich możliwość. Tadzio śpi, ale w każdej chwili może znowu zacząć mla-

Maja Jurkowska, ur. w 1959 r. Publikowała esaje, opowiadania i artykuły m.in. na łamach *Twórczości*, *Akcentu*, *Zeszytów Literackich*, *Znaku*, *Odry*, *Kresów*, *Kwartalnika filmowego*. 1991, główna nagroda w konkursie literackim *Odry* (*Notatnik stanu wojennego*). 1994, wyróżnienie za opowiadanie *Kolekcja* w konkursie *BruLiomu*. 1995, wyróżnienie za powieść *Czarna maska* w konkursie Fundacji *Wyzwanie*. W 1997 r. ma ukazać się nakładem *Czytelnika* jej debiut powieściowy. Mieszka we Francji (red.).

* Część I opowiadania pod tym samym tytułem.

skać, jęczeć, walić nerwowo palcami po pościeli. Bał się go. Uśpionego. Drze-
mał dziki i upiorny. Żywy. Z całym swoim wewnętrznym, niepojętym szaleń-
stwem. Dlatego tak bardzo zaintrygował go teraz ruch własnych palców na książce.
Żyją. Otwierał i zamykał dłoń. Coraz szybciej. Żyły naprężały się. Powiedział
cicho – A. Potem głośniej – Aa. Jeszcze głośniej. Krótko krzyknął. Nikt go nie
słyszał. Był sam, nie licząc oczywiście Tadzia. Mógł się przekonać, że jest. Że-
by żyć, należało pokonać drobny wysilek ugięcia palca i otworzenia ust. Wysu-
nął język i zaczął oblizywać wargi. Spojrzał na różowy czubek przesuwany się
w lewo i w prawo, a potem znowu odwrócił się i wlepił wzrok w twarz śpiące-
go dziecka. – Czego mu trzeba więcej, żeby mógł żyć? – pomyślał. Chłopiec
przesuwał nerwowo palce po pościeli. Coraz szybciej. Znowu drgawki. Zaci-
skał powieki, uderzał głową o poduszkę. Rozwarł usta. Jęczał. Z kącika warg
wypływała ślina. Prężył się. Ustalo szeleszczenie kartek. Nasluchiwał. Nie od-
wrócił głowy. – Czy rzuca się jeszcze? Jaką ma teraz twarz? Znowu ten potwor-
ny grymas? – Słyszał walenie rąk Tadzia. Gwałtownie wstał i podszedł do
łóżka. Chłopiec rozwarł przerażone oczy, jęczał, o coś prosił. – No czego
chcesz, nie możesz wydusić z siebie? Wiem, nie możesz. – Podreptał do kuch-
ni. Odkręcił kran. Szum wody zagłuszył na chwilę samotność w pokoju.
Z pełnym kubkiem podszedł do łóżka. Przyklęknął. Uniósł plecy chłopca i pod-
sunął naczynie do ust. Tadzio uderzył głową o poduszkę i wytrącił kubek. Wo-
da rozlała się po pościeli. – Czego chcesz? Jeść? – Znowu podreptał do kuchni.
Po chwili przyniósł jakąś papkę. Malec zaciskał wargi i patrzył się na niego błą-
galnym wzrokiem. Odwracał głowę. Nagle dostał drgawek. Uderzał pięściami
o pościel. Z łyżki kapąła papka na twarz, na szyję. – Masz! – wrzeszczał. Dźgał
prosto w usta. – Masz! – Po policzkach Tadzia spływały łzy. Chciał coś powie-
dzieć. Belkotał tylko – Czego? Nie chcesz już jeść? No dobrze, już dobrze. –
Wytrzeł chusteczką policzki chłopca. – Już dobrze, dobrze. – Tadzio miał twarz
wykrzywioną w bolesnym grymasie. Jęczał, domagał się czegoś – Umiesz po-
wiedzieć, wiem – Tadzio wyteżał się. Pragnął wymówić całym ciałem. Opadł
ciężko na poduszki. – Dllaa, dllaaa... – Już dobrze, dobrze, bądź cicho. Nie
trzeba. – Dlaaczego... – Co dlaczego? – Dlaaczego – krzywił się Tadzio. –
Nie wiem – wzruszył ramionami. – Dlaaczego nigdy się nie uśmiechasz? – wy-
rzucił z siebie. Nagle osłupiał. Zamilkł. – Nie wiem – powiedział cicho. Tadzio
zamknął oczy. Odwrócił twarz do okna. Momentalnie zasnął. – Nie wiem – od-
szedł od łóżka powtarzając w kółko. Usiadł nad książką. Starł przypomnieć
sobie twarz bratanka sprzed wypadku. Był żywym wesołym chłopcem. Lubił
pluskać się w rzece. Dla brata przejażdżka łódką zakończyła się tragicznie. Ta-
dzia odratowali, ale za długo był pod wodą. Miał już nieodwracalne zmiany w mó-
zgu. Leżał na brzegu. Siny. Ktoś szybko zawiązał go w koc. Spojrzał na ściany.
Potem w czarne okno. Zaczął przypatrywać się reprodukcji. Tadzio poruszył
się. Pochylił się bardziej nad kartką. Dwie postacie na pierwszym planie. Sfał-
dowana, bogato zdobiona materia sukien. Siedzą nieruchomo naprzeciwko
sobie. Ona ma lekko uniesione ręce, złożone jak w modlitwie. Na kolanach Pi-

smo Święte. Wzrok zapatrzony w jej bladą twarz, opuszczone skromnie oczy. Nieruchomi. Dzieciątko jak mała figura woskowa z krucyfiksem w ręku. Zamknięci między kolumnami. Na malej przestrzeni marmurowej posadzki. W mroku ścian. A w oddali prześwit. Za kolumnami światło. Znowu spojrzal w czarne okno i znowu pochylił się bardziej nad reprodukcją. Przyłożył lupę do fragmentu krajobrazu za arkadami. Wpatrywał się w niego długo. Tylko tak długo wpatrując się, można odkryć zawrotną rozległość przestrzeni. Przez szczelinę wdzierał się w daleki świat, podglądał go jak dwaj kupcy pochyleni na moście. Przestrzeń piętrzy się, nawarstwia. Za mostem, luk następnego. Postacie i konie jak owady. Dalej wyspa z bajecznym zamkiem. Brzegi porośnięte drzewami. Gdzieniegdzie misterne budowle. Mikroskopijne łodzie i żagle. Dalej wzgórze. Wzgórze nakładające się na siebie aż do wysokości, w której stają się mgłą. Samym niebem. Miniatura świata w szczelinie arkad. Konstrukcja przestrzeni. Porządek, precyzja i bajeczne pole dla imaginacji. Ucieczka, wędrówka marzeń. Obraz realny i mistyczny jak „Widok z okna” Friedricha. Cień pokoju. Mrok. Uchylony lufcik. A dalej statyczna i jasna przestrzeń krajobrazu. Wejście w inny świat. Tadzio znowu poruszył się. Zaczął mlaskać. Rozwarł usta. Jęczał. A on siedział nieruchomy. Pochylony. Z lupą blisko papieru. Nie patrzył już. Oczy miał zamglone. Raczej nasłuchiwał tego, co dzieje się za plecami. Bierność martwego rysunku i zawodzenie chłopca były irytujące. Znowu uderzył pięścią w biurko. Tadzio umilkł. Zapatrzyl się jeszcze raz w widok między arkadami. Siedział na krześle. Tu w pokoju. Nieruchomo. W mroku. Lufcik był otwarty. Siedział w mroku. Tu w pokoju. Podglądał przestrzeń za oknem. Marzył o okręcie płynącym spokojnie po rzece. Jedyne marzył. Tu gdzie siedział było ciasno, ale bezpiecznie. Odbывał podróż przesuwając nieznacznie lupę. Siedział cały spięty i nieruchomy. Odbывał wewnętrzną podróż. Zamierał z naprężenia nerwów. Paraliżował go ruch jaźni. Napięcie. Rozdrażnienie. I pragnienie. I lęk. Chwilami wychodził w otwartą przestrzeń jak w sennym marzeniu. Ulatywał gdzieś w stronę zamglonych gór. Widział w dole małych ludzi podobnych do mrówek, obserwował wieże pałaców, maszty żaglowców kolyszące się na wietrze. Był uwolniony. Żywa, wewnętrzna podróż, zmuszała go do paraliżującego pochylenia. Tadzio leżał już skulony bez strachu. Obrócił się i spojrzal na niego z nienawiścią jakby chłopiec był jego garbem. Jego kalectwem. Wrócił do analizowania reprodukcji. Powielanie obrazów. Kolejne odbicia wzgórz. Nieporuszona piękna miniatura. Przykladał do niej szkło. Wpatrywał się w powiększone fragmenty – kształty wieżyc, dziób statku, konary drzew. Nie patrzy na wykrzywioną twarz Tadzia. Na język wyprężony, rozwarłe oczy, ślinę wypływającą z ust. Usłyszał czkawkę. Potem charkot. Chłopiec zwisał głową w dół i wymiotował na podłogę. Poszedł. Chwycił go za włosy. Potrząsnął. Cisnął nim o poduszkę. Dyszał przy tym rozwścieczony. Poruszał tylko ustami ze złości. Podreptał do łazienki. Pochylił się za klozet. Obmacywał posadzkę. Szukał szmaty. Zerwał wściekle pajęczynę z rury. Pająk skulił się i natychmiast uciekł. Wyciągnął jakąś śmierdzącą ściere. Trzymał ją dwoma pal-

cami daleko od siebie. Potem rzucił ją przed łóżko. Położył na niej stopę i zaczął rozmazywać rzygowiny. Tadzio leżał wtulony w poduszkę w pokracznej pozycji. Jedna noga zwisała bezwładnie nad podłogą. Dłoń zakrywała twarz. Chłopiec nagryzał palce. Tarmosił je zębami. Kaleczył skórę. Ścisnął zakrwawioną pościel. Naraz zamknął powieki. Rozwarł spokojnie usta. Zasnął. Z kącika warg spływała strużka śliny. Przez sen odwrócił się na brzuch. Kaszłał w poduszkę. Zsunął z siebie bezwiednie kołdrę. Miał brudne i cuchnące pośladki. – Znowu? – wyciągnął gwałtownie spod chłopca prześcieradło i rzucił w kąt. Poszedł do łazienki. Przyniósł zwilżony ręcznik. Obcierał nim pośladki małego. Tadzio zaczął się wiercić i jęczeć. Obrócił się na bok. Otworzył usta. Wykrzywił je. Wysuwał do przodu wargi i język. – Cicho już, cicho. – Ko... kooo – Cicho, przestań. – Koocha... – wykrztusił. – Cicho. – Odwrócił się i odszedł. Brudny ręcznik wrzucił do wanny i wyplukał w zimnej wodzie ręce. Znowu usiadł przy biurku i nasłuchiwał. Tadzio krztusił się coraz bardziej. – Koo... – Koooch... – Znowu uderzył pięścią. Zaciśnął usta. Poruszał nerwowo nozdrzami i ścigał brwi. Trzaśnięcie drzwiami na pierwszym piętrze. Czuł, że ktoś go śledzi. Był pewien, że Tadzio wpatruje się w jego plecy. Żyje. Jest tam. Jest żywy. Nie da się tego zaprzeczyć. Nie może oderwać od niego wzroku. A on nie może oderwać się od myśli, że Tadzio go podpatruje. Nie zajmuje go już oglądanie pejzażu za arkadami. Obecność ukrytego spojrzenia jest nieznośna. Cała wola i nerwy skupiają się na tym spojrzeniu. Czy widok za kolumnadą nie jest absurdalny? A jednak wydaje mu się koniecznością. Martwą. Sztuczną koniecznością. Paranoidalnym marzeniem. W tym także żył. Naraz jakiś stukot za ścianą wyrwał go z odrętwienia. Wstał. Otworzył szafę i zaczął przyglądać się sobie w drzwiach z lustrem. Rozebrał się do naga. Połączył równo stopy. Uniósł wysoko głowę. Potem pochylił się nad szufladą, żeby wybrać bieliznę. Ubierał się powoli. Starannie. Nałożył świeżą koszulę, muszkę. Gładził palcami łańcuszek dewizki i uśmiechał się do siebie. Wyszczotkował jeszcze raz błyszczące buty. Prężył się. Obracał. Gładził się z uwielbieniem. Po klapach marynarki. Długą chwilę dobierał kapelusz. Powoli zapinał płaszcz. Byłby zapomniiał – jeszcze parasol. Spojrzał z roztargnieniem na śpiącego Tadzia i wyszedł. Trzasnął mocno drzwiami. Minął mroczny korytarz cuchnący uryną. Miał wrażenie wciskania ciała w oddalającą się przestrzeń. Z każdym krokiem pokonywał wysilek. Wbijał się w ciemność. Ona rozchyliła się przed nim, by ukazać nowe ciemne zakamarki. Jakaś wulgarnie umalowana dziewczyna uśmiechnęła się do niego i podciągnęła spódnicę aż do wysokości podwiązki. Oblizła wargi i wyprężyła język. Odwrócił głowę. Musnął tylko parasolem jej nagie łydki. Przebiegał przez wąskie, zabłocone uliczki. Zaułki jakby normalniały pod wpływem jego wysiłku. Ale stawiały opór. Ze wszystkich stron zaciskała się nad nim ciemność; wąska przestrzeń załomów, bram, korytarzy. Wchodził na schody. Przystanął przy odrapanych drzwiach. Zapukał. Drzwi otworzył mężczyzna w średnim wieku. Był rozczochrany. Na sobie miał brudny, niedbale zawiązany szlafrok. – Ma pan rysunki? – zapytał. – Tak, tak, z tym przyszedłem. – Niech pan siądzie,

panie Marceli. Przepraszam za balagan. – Usiedli w korytarzu. Wszędzie wisiały kotary. W kącie leżało koło od roweru. Nad stołem zaśmieconym papierami wisiała naga żarówka. – Próby zaczynamy już w tym tygodniu – mężczyzna mówił z roztargnieniem. Niccierpliwie rozglądał się dookoła. – No, niech pan pokaże te projekty. – Zatarł ręce, a potem drżącymi palcami zaczął rozsupływać tasiemkę teczki. Marceli siedział wyprostowany i pewny siebie. – No, no. To będzie bomba w naszym amatorskim teatryku. Piętnaście projektów. Cha, ten jest świetny. Uwzględnił pan oświetlenie tych barwnych zasłon? – Marceli kiwnął tylko głową. – Sekretarka nie powinna stać na środku. To jest utrudnienie dla aktorów. Zgadza się pan ze mną? Aaa... jak pan wyobraża sobie zmianę tych dekoracji w połowie drugiego aktu? – Zwyczajnie. Zaciemnienie, albo opuszczona kurtyna. – Raczej zaciemnienie. Zasłony muszą oznaczać koniec aktów. Jestem zadowolony. Wiele czasu kosztowała pana ta praca? – Nie... bąknął Marceli i wzruszył lekko ramionami. – Muszę już iść. – Nie zatrzymuję pana. Przystudiuję to w spokoju. Myślę, że zobaczymy się na próbie. Acha, kiedy mogę się spodziewać projektów kostiumów? – Niebawem. Tydzień. Półtora. – Świetnie. Świetnie. Tylko proszę się trzymać epoki. Żadnych fantazji. Wie pan, to by przeczyło mojej koncepcji. Niech pan zadba o szczegóły. Nasi krawcy staną na głowie, żeby wszystko grało. Będzie pan zadowolony, jak zawsze. – Tak, tak... – mruknął Marceli. – Będę na próbie za tydzień. Może już coś przyniosę. Ma pan zapalki? – Nie, ja nie palę. Kiosk jest zaraz za rogiem. Jak pan wyjdzie z bramy, to na lewo. – Dziękuję i do zobaczenia. – Najpierw schody. Potem brama. Znowu nieznośna ciasnota przestrzeni i mroku. Marceli rozluźnił muszkę. – Za rogiem. W lewo. – powtarzał. Kiosk zobaczył od razu. Stanął za przygarbionym mężczyzną w berecie. Obserwował jego nerwowo stukające palce. – Codzienną proszę. – usłyszał. – Coś jeszcze? – Nie, nic innego nie kupuję. To jest treściwe. Nie trzeba się rozdrabniać. Sama kwintesencja. Codzienną. Tylko Codzienną. – Usłyszał brzęk monet. Ekscentryczny mężczyzna odszedł kuśtykając. Marceli obejrzał się zdziwiony. – Normalny? – pomyślał. – Chyba jeszcze normalny. Ale na jakiejś dziwnej granicy bezwstydnego prądowomówności. To samo uderzało go w Tadzium. Chłopiec jękał, krztusił się. Wyrzucał z siebie rzeczy żenujące, takie jakich się mówi. – Dlaczego? – zapytał sam siebie. Jest chyba pewna wstydliva umowa między ludźmi, żeby za bardzo nie określać. Wystarczy przypatrywać się stukającym nerwowo palcom, pić herbatę, oglądać rysunki, podcierać Tadzium. Może tylko to wystarczy. I może w tym jest racja? – Zapalki poproszę. – Pospiesznie zapłacił i ścisnął w rękę pudełko. Mijał jakieś nieznane uliczki. Zaglądał do okien. Przystawał i znowu siedział przed siebie. Chodził już od godziny. Zaczął padać deszcz. Postawił kołnierz, skulił się. Rozejrzał się dookoła. Był dokładnie w tym samym miejscu, co przed godziną. Stał koło kiosku. Naraz przyszła mu ochota, żeby pójść na dworzec. Zawsze tam chodził, gdy czuł się samotny. Takie przejściowe i anonimowe miejsce odpowiadało mu. Obserwował godzinami zapyziałych podróżnych z tobołami, włóczągów śpiących na ławkach. Mógł ze spokojem i bezpiecznie podglądać

dać innych. Czasem wsiadał do autobusu i jechał nim aż na końcowy przystanek. Lubił patrzeć na ulice zza szyby. Siedział bezpiecznie wcisnięty w fotel. Mógł milczeć i patrzeć. Nikt mu się nie przyglądał. Był taki jak inni. Mieszał się z tłumem. Jakaś pani oparła siatkę o jego kolana. Przytulił twarz do okna. Ludzie tłoczyli się coraz bardziej. Wlepil wzrok w rozmazany obraz. Padał deszcz. Widać było tylko światła. Ktoś biegł przeskakując kałuże. Kulil nogi coraz bardziej pod fotel. Było wilgotno i duszno. Ludzie milczeli i patrzyli smutnym wzrokiem przed siebie. Autobus zatrzymał się na środku jezdni. Nie ruszał już od kilku minut. Widział przejeżdżające samochody. Nad jego głową wisiała czyjaś ręka. Odpiął kilka guzików płaszcza. Nadal odwracał wzrok od wnętrza autobusu. Właściwie już na nie patrzył. Rozmyślał. Autobus nadal stał na skrzyżowaniu. Usłyszał klaksony. Z przodu, koło kierowcy poruszenie. Odwrócił się. Kierowca wyskoczył z wozu i szarpał się z jakimś mężczyzną. Po chwili wcisnął go do środka. – Niech pan rusza! Nie interesują nas pana prywatne porachunki! – Tylko bez hysterii! – Niech pan nas przepuści! Chcemy wysiąść! – Na skrzyżowaniu nie mogę! – Pani z siatką coraz mocniej przyciskała jego kolana. Czuł tuż nad głową zwisającą rękę. Klótnia ucichła. Ludzie unikali spojrzeń. Patrzyli przed siebie niewidzącym wzrokiem. Zerknął na zegarek. Przeszło pół godziny. Zaczął liczyć mijające ich samochody. Znowu jakieś poruszenie. Krzyki. Ktoś zemdlal. – Nie mogę otworzyć drzwi na skrzyżowaniu! – Dlaczego to się zacina?! – śmiał się w duchu. Dusił się. Brakowało mu powietrza. Gładził nerwowo ręką po szyi. I śmiał się w duchu. Śmiech naprężonych nerwów. Śmiech z kompletnej absurdalności i niemożliwości. Dwaj chłopcy zaczęli opowiadać sobie dowcipy. Autobus nie ruszał. Zdrzemnął się przez kilka minut. Bezmyślnie wpatrywał się w gazetowe napisy sąsiada. Prawie godzina. Za plecami slychać płacz dziecka. Ktoś walil pięścią w drzwi. Ludzie zaczęli tłoczyć się do wejścia. Nadal siedział nieruchomo. Wreszcie wstał. Przcisnął się do drzwi i wysiadł. Deszcze ciągle padał. Postawił kolnierz i ruszył przez ulicę wymijając unieruchomione w korku samochody. Brodził w wąskich korytarzach ulic. Zdawało mu się, że widział je już kiedyś. Jakby we śnie? W nagłym stanie utraty przytomności? Rozpoznawał. W zmierzchu. W deszczu. Mury, znajome bramy. Jakieś wspomnienia brudnych, zagraconych podwórek jeszcze z dzieciństwa. Śmietniki. Mroczne kryjówki. Składzik na butelki. Przeskoczył kałużę. I ta sama dziewczyna z nagim udem, z zadartą wysoko spódnicą. Dotknął jej lekko parasolem. Uśmiechnął się. Obejrzała się za nim. Wyciągnęła rękę. Było zimno. Już z daleka widział ją siedzącą na balkonie. Była skulona. Ubrana w szare lachmany. Gryzła coś jak wiewiórka. Rozglądała się dookoła nerwowo. Demoniczna staruszka. Bał się trochę przechodzić pod balkonem nad bramą. Zawsze obawiał się, że naraz wychyli się i splunie na niego. Przyspieszał kroku. Gdy zbliżał się, przestawała jeść. Wpatrywała się w niego, przyklejała się do metalowych sztachetek. Jeszcze kilka kroków. Był już w cieniu bramy. Uratowany. Śmierdziało uryną. Miał już za plecami mgliste światło latarni. Wracal. Tadzio przesunął rękę. Szklanka spadła z krzesła i rozbiła się o podłogę.

Siedział jeszcze przez chwilę przy biurku. Wstał. Podszedł do łóżka. Spojrzał tylko z wyrzutem na chłopca. Był bezradny. Zwykle krzyczał. W zupełnej bezradności. Teraz jednak stał bez ruchu i wpatrywał się w potluczone szkło. Pokornie podreptał do kuchni po miotłę. Wrócił i zobaczył na podłodze zmiętą reprodukcję. – Dlaczego? zaczął tarmosić Tadzia. Uderzył pięścią w koldrę. – Dlaczego mi to zrobilesz? – Mały wykrzywił tylko twarz i odwrócił się do ściany. – Dobrze wiesz, co do ciebie mówię. Jak mogłeś? – spojrzał w okno. Zdawało mu się, że widzi w szybie groteskowe własne odbicie. Za plecami wyrastała mu czarna plama. Drgała. Taki komiczny garb, jakiś tłumok, czy zawiniątko z dzieckiem. Obraz poruszał się, był niewyraźny. Plama nie odklejała się od pleców. Więzła go. Poruszył się. Na nic. Był z nią zrosnięty. Tadzio zamknął oczy. – Trudno. – Zmiał papier i wrzucił go do kosza. – Nie chciałem, nie chciałem Tadziu. – Przytulił policzek do jego twarzy. Chłopiec nie ruszał się. Był wilgotny od potu. – Mój biedny. – Wrócił do biurka. Zaczął szkicować od niechcienia projekt kostiumu. Kapelusz. Nie za duży. Lorgnon. Zapięcie pod szyją. Drapowanie. Kokarda. Rękaw bufiasty spięty mankietem. Sprawdzał w albumie szczegóły. – Rewolucja Francuska, Cesarstwo, Biedermeier, nie, to nie, jest... Fin de siecle. – Jaki kapelusz dla mężczyzny? Coraz swobodniej mazał po papierze. Na głowie wyrastał malutki cylinderek. Pogrubiał nos. Wreszcie zdecydował. Zrobił strzałkę i napisał wielki nos, sztuczny, włosy podbarwione na niebiesko, usta – ostra czerwień, uszy malowane na mocny różowy kolor. – Albo nie. Będą ośle. – Twarz kredowo biała. Jeden getr białą. Jeszcze biczyk w ręku. Poruszył kartką. Dwie nogi. Dlaczego nie trzy? Kartka wirowała. Obracał nią na wszystkie strony. Trzy, cztery nogi. Jak u marionetki. Majtające się niepotrzebne. Zza pleców wychyla się demoniczna twarz półksiężycowa z rozwichrzoną głową. Zmiał kartkę i wyrzucił do kosza. Przetarł zmęczone oczy. Znowu spojrzał w okno. Było ciemno. Zobaczył odbicie uchylonych drzwi. Za nimi było jakieś mroczne, tajemnicze wnętrze. Nachylił się. Obraz drgał. Mógłby przekroczyć ten próg. Nie robił tego. Unikał przypadkowości. Niewiadome wzbudzało w nim obawy. Nie narażał się. Na życie. Był bezpieczny. Odgradzony szybko. Zaglądał tylko przez uchylone drzwi do mrocznego wnętrza własnego pokoju wpatrując się w odbicie na szybie. Przypomnił sobie dawną pijacką rozmowę w jakiejś kawiarni. Młody mężczyzna gestykulował mu tuż przed oczyma. – Nie udało ci się. A mnie tak. Ja się nie boję. Pewnie, egzamin na scenografię to wóz albo przewóz, ale ty jesteś bojaźliwy. Trzeba walczyć. – Daj mi spokój – odpowiedział Marcelli. – Właśnie, właśnie. O spokój ci chodzi. Zaszuj się w swojej kryjówce. Jesteś tam bezpieczny. Nie narażaj się. Trzeba odwagi stary, żeby żyć. Ty jesteś zdolniejszy ode mnie. Wiesz to. A jednak ty się nie nadajesz. Nie umiesz pokonywać oporu. Ruch jest konieczny. Rozwój. Nienawidzisz ruchu. Ruch kojarzy ci się z wysiłkiem. Rezygnujesz. – Przypomnił sobie. Tamten pracuje teraz w Teatrze Narodowym. Udało mu się. Marcelli chciał zasnąć. Na siłę gryzmolił coś na papierze. Bufiasty rękaw, mankiet, lorgnon. Tak, walczył z chęcią rezygnacji. Zasnąć – to było w nim stałą pokusą. Narażanie się na

życie, na wypadek było zbyt trudne. On miał rację. Dlatego mu się udało. Może Marceli nie zrezygnował jeszcze z marzeń, ale pragnienie snu zabija także marzenia. – Nie masz ambicji stary. Uciekasz od ludzi. Boisz się przypadku. – W kółko trujesz to samo. Nie pij już więcej. Tak, masz rację w jednym. Unikam przypadków, ale dlatego, że chcę być panem własnego losu, chcę wymyślać go sam. – Nie masz racji. Twoje uzasadnienie nie trzyma się kupy. To jest pseudoracjonalne tłumaczenie tchórzostwa. – Potrzebuję pewności. – Nie przekonam cię Marceli. Uciekasz po prostu trzęsiesz portkami przed życiem, przed szczęściem, przed sukcesem, porażką. Wolisz tkwić w miejscu. Szkoda gadać. Nie przekonam cię. Za bardzo jesteś obwarowany swoimi racjami. – Rozejrzył się po pokoju. Przygnębiała go ciasnota. A jednak było to wystarczające schronienie. Na miarę jego ambicji, obaw, odporności, lęków i pragnienia snu. Miejsce własne. Skrawek zaledwie. Wystarczający. A jednak Marceli miał także poczucie niewygody, gdy patrzył na szare ściany, korytarzyk prowadzący do kuchni, na wykrzywioną grymasem twarz Tadzia. To wszystko uwierało go. Był w istocie bezdomny. Wciąż napięty, czujny, wewnętrznie wędrujący. Zbuntowany. I siedzący nieruchomo na krześle. Jak uwięziony. Albo wypędzony. Skąd? Nawet nie wiedział. Wędrował. Istotnie, wędrował szaleńczo. Namiętnie wpatrywał się skrawek krajobrazu między arkadami. Z trudem rozpoznawał zarysy gór. Były zamglone. Nieokreślone. Wpatrywał się w coś, co nie miało kształtu. Było nieuchwytnie. Bez wyrazu. Mileżące. Jak przestrzeń za oknem. Jak dalekie niebo. Jak czarny, głuchy kosmos. A jednak za tym tęsknił. Za czymś nieuchwytnym. Jedyne to pragnienie było dla niego życiem. Jedyne tęsknota za wyjściem z zamknięcia, za ruchem, jest wolą życia. Nie decydował się na żaden ruch, bo wiedział, że wyjście jest nowym powieleniem tęsknoty. Gdyby był gdzie indziej, także tęskniłby za nieuchwytnym. A więc nie wychodził. Nie narażał się na iluzję. Wolął siedzieć bez ruchu w zamknięciu. To pozwalało mu nie mieć złudzeń. – Ruch jest dla mnie związany jedynie z pragnieniem – powiedział po cichu. Zdziwił go jego własny głos. Wydał mu się obcy. Nie powiedział mu wtedy wszystkiego w kawiarni. Marceli nie mylił się. Ruch, rozwój, dążenie, jest czysto mentalne. Każde doświadczenie rozczarowywało go. Wolął pozostawać bez doświadczeń. Stać z boku. Obserwować. I tak wiedział, że życie jest po stronie marzenia, tęsknoty. – Nie nadaję się do odnoszenia sukcesów – szeptał – po prostu nie nadaję się. – Bez przerwy szkicował projekt kostiumu. Laseczka. Kapelusz nie za duży. Spinka. Obraz między arkadami nie dawał mu spokoju, zanim Tadzio zniszczył kartkę. Przybliżył wtedy lupę. Dotykał palcem. Robił to z taką namiętnością, jakby chciał go uchwycić, zagarnąć, pojąć. Pragnął go jak nieosiągalnego kształtu przyszłości. Jeszcze raz rozejrzył się po pokoju. – Nie, te ściany nie są wystarczające. Przestrzeń, fizyczna przestrzeń, jest najważniejsza – myślał. – Już dłużej tu nie wytrzymam. Ruszę się. Chcę żyć. Wyjść stąd. – W chwilę później był już na ulicy. Stał pod latarnią. Tę ulicę znał od dziecka. Nic się tu nie zmieniło. Myślał ciągle o rozmowie w kawiarni. Podejrzewał, że wyjście poza, jest następnym wyjściem poza, jest ciągłym niezaspo-

kojeniem, żądzą. Czy miał tę żądzę, czy raczej chciał zasnąć? – Jemu się śni, że osiągnął sukces – uśmiechnął się do siebie Marcelli. – To ja mam rację. Wszystko wiem z góry bez pokonywania trudności. – Wracał zmęczony. Szedł powoli po schodach. Przystanął na półpiętrze. Powoli otwierał drzwi. Z niechęcią. Powoli się rozbierał. Odwrócił twarz od lustra. Przyciskał twarz do poduszki. Nie mógł zasnąć. Widział jak wychodzi z pokoju, ale za uchylonymi drzwiami, były następne uchylone drzwi. Zaczął biec. Następne drzwi, następne. Bez końca. Koszmar. Biegł zadyszany. Płakał. Bał się, że umrze, więc biegł. Chciał się wydostać. Nie godził się na śmierć. Wiedział, że musi biec. Nie miał już siły. Wiedział, że zatrzymanie się, choć na chwilę, grozi mu uwięzieniem na zawsze. Biegł bez opamiętania.

Maja Jurkowska

Kwartalnik „FA-art” 41-902 Bytom, ul.Chorzowska 43/24

CAŁOŚĆ MA SWOJE CENTRUM GDZIE INDZIEJ

Kwartalnik Literacki

CAŁOŚĆ MA SWOJE CENTRUM GDZIE INDZIEJ

FA

ART

Literacki

CAŁOŚĆ MA SWOJE CENTRUM GDZIE INDZIEJ

Kwartalnik „FA-art” 41-902 Bytom, ul.Chorzowska 43/24

CAŁOŚĆ MA SWOJE CENTRUM GDZIE INDZIEJ

Kwartalnik Literacki

CAŁOŚĆ MA SWOJE CENTRUM GDZIE INDZIEJ

Kwartalnik „FA-art” 41-902 Bytom, ul.Chorzowska 43/24



Jorge Luis Borges

Fot. Archiwum „KA”

Jorge Luis Borges

Poemat o darach

Dla Marii Esther Vazquez

Niech nikt nie poniża do łzy czy wyrzutu
Tego wyznania mistrzostwa Boga,
Który ze wspaniałą ironią
Dał mi jednocześnie książki i noc¹.

Właścicielami tego miasta książek
Uczynił oczy bez światła, które tylko
W bibliotekach snów mogą czytać
Bezsensowne ustępy, jakie zsyła

Świt ich pragnieniu. Na próżno dzień
Obdarza je swymi nieskończonymi książkami,
Trudnymi jak trudne manuskrypty,
Które zginęły w Aleksandrii.

Z głodu i z pragnienia (opowiada grecka historia)
Umiera król wśród źródeł i ogrodów;
Ja błędzę bez celu we wnętrzu
Tej wysokiej i głębokiej ślepej biblioteki.

Encyklopedie, atlasy, Wschód
I Zachód, wieki, dynastie,
Symbole, kosmosy i kosmogonie
Podają mi ściany, wszystko na próżno.

Powolny w moim cieniu, w pustym zmroku
Macam mą niepewną laską
Ja, który wyobrażałem sobie Raj
Jako rodzaj biblioteki.

Jorge Luis Borges (ur. 24 sierpnia 1899 w Buenos Aires, zm. 14 czerwca 1986 w Genewie) – wybitny pisarz argentyński, prozaik, poeta, eseista, tłumacz. Po upadku Perona w 1955 dyrektor Biblioteki Narodowej, wykładowca literatury angielskiej w Uniwersytecie Buenos Aires. W 1961 wraz z Samuelem Beckettem laureat prestiżowej nagrody wydawców Formentor. Autor m.in. tomów opowiadań *Powszechna historia niekczemności* (wyd. pol. 1976), *Fikeje* (wyd. pol. 1972), *Alef* (wyd. pol. 1972), *Księga piasku* (wyd. pol. 1980), *Zoologia fantastyczna* (wyd. pol. 1983), oraz tomików poetyckich m.in. *Twórca* (wyd. pol. 1974) (red.).

Coś, czego z pewnością się nie określa
Słowem *przyadek*, rządzi tymi sprawami;
Ktoś otrzymał już w zatartych wieczorach
Liczne książki i ciemność.

Krążąc po powolnych galeriach
Czuję czasem z niejasnym, świętym lękiem,
Że jestem kimś innym, zmarłym, który stawiał
Te same kroki w tych samych dniach.

Kto z tych dwóch pisze ten poemat:
Mnogi ja czy pojedynczy cień?
Co za znaczenie ma słowo, które mnie nazwie,
Gdy przekleństwo jest jedno i niepodzielne?

Groussac² czy Borges, patrzę na ten drogi
Świat, który się zniekształca i rozsypuje
W błady, niejasny popiół
Podobny do snu i zapomnienia.

Jorge Luis Borges

¹ Borges napisał ten poemat w roku 1955, gdy po obaleniu Perona został mianowany dyrektorem Biblioteki Narodowej w Buenos Aires, a jednocześnie stracił prawie całkowicie wzrok (przyp. tłum.).

² Paul Groussac, jeden z poprzedników Borgesa na tym stanowisku, był pod koniec życia również niewidomy (przyp. tłum.).

Jorge Luis Borges

Impresje z podróży

(fragmenty)

GALIJSKA BOGINI

Kiedy Rzym przybył do tych ostatnich ziem i ich nieokreślonego i być może nieskończonego morza o łagodnych wodach, kiedy przybyli Cezar i Rzym, te dwa dźwięczne i wyniosłe imiona, bogini z nadpalonego drewna już tu była. Nazwali ją Diana czy Minerva, na obojętny sposób imperiów, które nie pragną pozyskać prozelitów i wolą uznać i przyłączyć pokonane bóstwa. Dawniej zajmowała swoje miejsce w ścisłej hierarchii i była córką pewnego boga i matką innego, i była związana z darami wiosny czy z przerażeniem wojny. Teraz daje jej schronienie i pokazuje ją, ten ciekawy przedmiot, jakieś muzeum.

Dotarła do nas bez mitologii, bez słowa, co do niej należało, ale wraz z przytłumionym zgiełkiem dziś pogrzebanych pokoleń. Jest zniszczoną i świętą rzeczą, którą nasza bezczynna wyobraźnia może nieodpowiedzialnie wzbogacać. Nie usłyszymy nigdy modlitw tych, co ją wielbili, nie poznamy nigdy ich rytuałów.

IRLANDIA

Starożytne szlachetne cienie nie chcą, żebym dostrzegał Irlandię lub też chcą, żebym ją dostrzegał w przyjemny, historyczny sposób. Te cienie nazywają się Eri-gena, dla którego cała nasza historia jest długim snem Boga i w końcu powróci do Boga – doktrynę tę wyznaje również dramat *Back to Methuselah*¹ i sławny poemat *Ce que dit la bouche d'ombre* Victora Hugo; nazywają się też George Berkeley, który sądził, że Bóg drobiazgowo nas śni i gdyby zbudził się ze swego snu, znikłoby niebo i ziemia, jakby obudził się Król Czerwony; nazywają się Oscar Wilde, co po kolejach losu niepozbawionego nieszczęście i hańby pozostawił dzieło szczęśliwe i niewinne jak poranek czy woda. Myślę o Wellingtonie, który po bitwie pod Waterloo poczuł, że zwycięstwo jest nie mniej straszne niż klęska. Przychodzą mi na myśl dwaj najwięksi barokowi poeci, Yeats i Joyce, którzy używali prozy i wiersza dla tego samego celu: dla piękna. Przychodzi mi na myśl Geor-

¹ *Back to Methuselah* – dramat George'a Bernarda Shawa (przyp. tłum.).

ge Moore, który w *Ave Atque Vale* stworzył nowy gatunek literacki, co nie ma znaczenia, ale zrobił to w cudowny sposób, co stanowi wiele. Te rozległe cienie pojawiają się między licznymi rzeczami, jakie pamiętał, a tymi nielicznymi, jakie zdołałem dostrzec w ciągu dwóch czy trzech dni zaludnionych, jak wszystkie, przez okoliczności.

Spośród nich najmocniej przeżyłem Okrągłą Wieżę, której nie widziałem, ale której dotykały moje dłonie, gdzie zakonnicy, nasi dobroczyńcy, uratowali dla nas w trudnych czasach grekę i łacinę, to znaczy kulturę. Irlandia jest dla mnie krajem ludzi w sposób zasadniczy dobrych, w sposób naturalny chrześcijan, pochłoniętych ciekawą namiętnością bycia nieustannie Irlandczykami.

Chodziłem po ulicach, po których chodzili, i chodzą nadal, wszyscy mieszkańcy *Ulissesa*.

W E N E C J A

Skały, rzeki, co mają swoją kołyskę na szczytach, zlewanie się wód tych rzek z wodami Adriatyku, przypadki czy przeznaczenia historii i geologii, przypływy, piasek, stopniowe powstawanie wysp, bliskość Grecji, ryby, wędrówki ludów, wojny armorykańskie i bałtyckie, trzciniowe chaty, gałęzie splecione z błotem, nierozwikłana sieć kanałów, pierwotne wilki, napady dalmatyńskich piratów, delikatna terakota, tarasy, marmur, tabuny koni i włócznie Attyli, rybacy broniący własną biedą, Lombardowie, bycie jednym z punktów, gdzie spotykają się Zachód i Wschód, dni i noce dziś zapomnianych pokoleń, które były twórcami. Przypomnijmy też coroczne złote pierścienie, które Doża wrzucał z dziobu Bucentaury¹ i które, w półmroku czy w ciemnościach wody, są nieokreślonymi ogniwami jakiegoś idealnego łańcucha w czasie. Byłoby niesprawiedliwością zapomnieć tutaj o skrzytym poszukiwaczu papierów Asperna², o Dandolu³, o Carpacciu⁴, o Petrarce, o Shylocku⁵, o Byronie, o Bepie⁶, o Ruskinie i o Marcelu Prouście. Stoją wysoko w pamięci kapitanowie z brązu, którzy od wieków niewidzialnie patrzą na siebie z dwóch krańców długiej równiny.

¹ Bucentauro – statek galowy, na którym doża wenecki w dniu Wniebowstąpienia obchodził symboliczne zaślubiny z morzem (przyp. tłum.).

² Aluzja do opowiadania Henry'ego Jamesa z 1888 r. pt. *Aspern Papers* (przyp. tłum.).

³ Dandolo – rodzina wenecka, która dała Republice czterech dożów. Najslawniejszy to Andrea Dandolo (zm. 1354), który podbił stolicę Dalmacji Zareę (przyp. tłum.).

⁴ Vittore Carpaccio – malarz wenecki z XV w. (przyp. tłum.).

⁵ Shylock – postać z *Kupca weneckiego* Szekspira (przyp. tłum.).

⁶ Beppo – postać z napisanego przez Byrona w Wenecji w 1817 r. poematu *Beppo: A Venetian Story* (przyp. tłum.).

Gibbon zauważa, że niezależność starożytnej Republiki Weneckiej została ogłoszona mieczem i może być usprawiedliwiona piórem. Pascal pisze, że rzeki – to drogi, które chodzą; kanały Wenecji to drogi, którymi poruszają się gondole w żalobie, mające w sobie coś z odkrytych żalobą skrzypiec i przypominające też muzykę, gdyż są melodyjne.

Napisałem kiedyś w pewnym prologu: *Wenecja z kryształu i ze zmierzchu*. Zmierzch i Wenecja są dla mnie niemal synonimami, ale nasz zmierzch utracił światło i obawia się nocy, a zmierzch Wenecji to zmierzch delikatny i wieczny, bez przedtem i potem.

ŚWIĄTYNIA POSEJDONA

Podaję, że nie było żadnego Boga Morza, jak nie było też żadnego Boga Słońca; oba te pojęcia są obce prymitywnym umysłom. Było morze i był Posejdon, który był również morzem. Dużo później pojawiły się teogonie i Homer, który według Samuela Butlera uprządl z późniejszych baśni komiczne interludia *Iliady*. Czas i wojny zabrały nas wyglądu Boga, ale pozostaje morze, jego drugi wizerunek.

Moja siostra mówi zwykle, że dzieci są wcześniejsze od chrześcijan. Są tacy również Grecy, pomimo kopuł i ikon. Poza tym ich religia była nie tyle jakąś dyscypliną, co zbiorem snów, w których bóstwa mogą mniej niż Kery¹. Świątynia pochodzi z V wieku przed naszą erą, to znaczy z czasów, kiedy filozofowie we wszystko wątpili.

Nie ma ani jednej rzeczy na świecie, która by nie była tajemnicza, ale ta tajemnica jest bardziej oczywista w pewnych rzeczach, niż w innych. W morzu, w żółtym kolorze, w oczach starych ludzi i w muzyce.

¹ Kery – duchy zmarłych przynoszące nieszczęście, demony nieszczęścia i śmierci, czarne córki Nocy (przyj. tłum.).

POCZĄTEK

Dwaj Grecy rozmawiają ze sobą: może Sokrates i Parmenides.

Lepiej, żebyśmy nigdy nie poznali ich imion: w ten sposób opowiadanie będzie bardziej tajemnicze i spokojne.

Temat dialogu jest abstrakcyjny. Czasami nawiązują do mitów, w które obaj nie wierzą.

Racje, które przytaczają, obfitują w fałsz i nie znajdują swego celu.

Nie polemizują. I nie chcą przekonać ani zostać przekonanymi, nie myślą o zwycięstwie czy przegranej.

Zgodni są co do jednej tylko rzeczy, wiedzą, że dyskusja nie jest niemożliwą drogą, by dotrzeć do prawdy.

Wolni od mitu i od metafory myślą, czy usiłują myśleć.

Nie poznamy nigdy ich imion.

Ta rozmowa dwóch nieznanomych w jakimś miejscu w Grecji jest zasadniczym faktem Historii.

Zapomnieli o modlitwie i o magii.

SEN ŚNIONY W NIEMCZECH

Tego ranka przyśnił mi się sen, który mnie przytłoczył i który starałem się później uporządkować.

Twoi przodkowie powołują cię do życia. Na drugim krańcu pustyni są jakieś zakurzone sale wykładowe, czy też jakieś zakurzone składy, z równoległymi rzędami bardzo zużytych tablic, których długość mierzy się na mile, czy na mile mil. Nie wiadomo, jaka jest dokładna ilość składów, których z pewnością jest dużo. W każdym z nich jest dziewiętnaście rzędów tablic i ktoś zapelniał je słowami i arabskimi cyframi, zapisanymi kredą. Drzwi do każdej sali są rozsuwane, na sposób japoński, i zrobione są z zardzewiałego metalu. Napis rozpoczyna się przy lewym brzegu tablicy od jakiegoś słowa. Pod nim jest drugie, i wszystkie one ściśle przestrzegają porządku alfabetycznego słowników encyklopedycz-

nych. Powiedzmy, że pierwsze słowo to *Aachen*, nazwa pewnego miasta. Drugie, napisane bezpośrednio poniżej, to *Aar*, rzeka Berna. Na trzecim miejscu jest *Aaron*, z plemienia Lewi. Potem przyjdą *abracadabra* i *Abraxas*. Po każdym z tych słów ustalona jest dokładna liczba razy, ile je zobaczysz, usłyszysz, przypomnisz sobie czy wypowiesz podczas biegu twojego życia. Jest jakaś nieokreślona, ale z pewnością nie nieskończona cyfra na ilość razy, w których wymówisz, pomiędzy kołyską a grobem, imię Szekspira czy Keplera. Na ostatniej tablicy jakiejś odległej sali jest słowo *Zwitter*, które po niemiecku oznacza hermafrodytę, a niżej wyczerpiesz liczbę obrazów miasta Montevideo, która została ci dana przez przeznaczenie i będziesz żył nadal. Wyczerpiesz liczbę razy, jaką zostało ci dane wypowiedzieć taki czy inny heksametr i będziesz żył nadal. Wyczerpiesz liczbę razy, jaką zostało dane bić twojemu sercu, i wtedy umrzesz.

Kiedy to nastąpi, litery i cyfry wypisane kredą nie zatrą się od razu. (W każdej chwili twojego życia ktoś zmienia czy ściera jakąś cyfrę). Wszystko to służy pewnemu celowi, którego nigdy nie zrozumiemy.

LABIRYNT

To jest labirynt kreteński. To jest labirynt kreteński, którego centrum był Minotaur. To jest labirynt kreteński, którego centrum był Minotaur, którego Dante wyobrażał sobie jako byka z głową człowieka i w którego kamiennej sieci zagubiło się tyle pokoleń. To jest labirynt kreteński, którego centrum był Minotaur, którego Dante wyobrażał sobie jako byka z głową człowieka i w którego kamiennej sieci zagubiło się tyle pokoleń, jak zagubiliśmy się Maria Kodama i ja. To jest labirynt kreteński, którego centrum był Minotaur, którego Dante wyobrażał sobie jako byka z głową człowieka i w którego kamiennej sieci zagubiło się tyle pokoleń, jak zagubiliśmy się Maria Kodama i ja owego poranka, i zagubieni jesteśmy nadal w czasie, tym drugim labiryncie.

PUSTYNIA

O jakieś trzysta czy czterysta metrów od Piramidy nachyliłem się, podniosłem garść piasku, wysypałem ją w milczeniu nieco dalej i powiedziałem cicho: *Przekształcam Saharę*. Fakt ten był maleńki, ale te nie przemyślane słowa były ścisłe i pomyślałem, że było konieczne całe moje życie, żebym mógł je wypowiedzieć. Wspomnienie owej chwili jest jednym z bardziej znaczących z mojego pobytu w Egipcie.

Jorge Luis Borges

Jorge Luis Borges

Drugi poemat o darach

Dzięki chcę złożyć boskiemu
Labiryntowi skutków i przyczyn
Za różnorodność wszelkiego stworzenia,
Co tworzy ten szczególny wszechświat,
Za umysł, co nie przestanie śnić
O planie labiryntu,
Za twarz Heleny i wytrwałość Odysa,
Za miłość, co nam pozwala
Widzieć innych, jak ich wodzi bóstwo,
Za twardej diament i za luźną wodę,
Za algebrę, ten pałac ze ścisłych kryształów,
Za mistyczne monety Angela ze Śląska,
Za Schopenhauera,
Który być może rozszyfrował wszechświat,
Za blask ognia, na który żaden człowiek
Nie może patrzeć bez starożytnego zdziwienia,
Za Mahoń, za cedr i za sandał,
Za chleb i za sól,
Za tajemnicę róży,
Która szafuje kolorem i która go nie widzi,
Za pewne wigilie i dni 1955 roku,
Za twarde poganiaczy, co na równinie
Pędzą zwierzęta i świt,
Za ranek w Montevideo,
Za sztukę przyjaźni,
Za ostatni dzień Sokratesa,
Za słowa wypowiedziane o zmierzchu
Z krzyża do krzyża,
Za ów sen Islamu, który objął
Tysiąc nocy i jedną noc,
Za tę inną noc o piekle,
O wieży ognia, co oczyszcza
I o chwalebnych kręgach,
Za Swedenborga,

Co z aniołami rozmawiał na ulicach Londynu,
Za tajemne i niepamiętne rzeki,
Co zbiegają się we mnie,
Za język, którym, przed wiekami, mówiłem w Nortumbrii,
Za miecz i harfę Saksończyków,
Za morze, co jest blyszczącą pustynią
I cyfrą rzeczy, o których nie wiemy,
I epitańum Wikingów,
Za słowną muzykę Anglii,
Za słowną muzykę Niemiec,
Za złoto, co lśni w wierszach,
Za epicką zimę,
Za nazwę książki, której nie czytałem:
 Gesta Dei per Francos,
Za Verlaine'a, niewinnego jak ptaki,
Za szklany pryzmat, za brązową wagę,
Za pręgi tygrysa,
Za wysokie wieże San Francisco i wyspy Manhattan,
Za poranek w Teksasie,
Za owego Sewilczyka¹, co ułożył *List Moralny*
I którego imienia, jak sam by wołał, nie znamy,
Za Senekę i Lukana, z Kordoby,
Którzy przed językiem hiszpańskim napisali
Całą literaturę hiszpańską,
Za geometryczne i szlachetne szachy,
Za żółwia Zenona i za mapę Royce'a,
Za apteczny zapach eukaliptusów,
Za język, co potrafi udawać mądrość,
Za niepamięć, co znosi i przekształca przeszłość,
Za zwyczaj,
Co nas powtarza i potwierdza jak lustro,
Za ranek, co zsyła nam złudzenie jakiegoś początku,
Za noc, jej ciemność i jej astronomię,
Za odwagę i szczęście innych,
Za ojczyznę, odczuwaną w jaśminach
Czy w jakimś starym mieczu,
Za Whitmana i Franciszka z Asyżu, którzy już napisali poemat,
Za to, że ten poemat jest niewyczerpany
I myli się z sumą stworzeń

¹ Anonim z Sewilli - autor jednego z arcydzieł poezji hiszpańskiej pt. *List moralny* albo *List do Fabiusza*. Poemat ten przypisuje się obecnie pisarzowi sewilskiemu z końca XVI w. o nazwisku Andrés Fernández de Andrada (przyp. tłum.).

I nigdy nie dotrze do ostatniego wersu
 I przekształca się tak jak ludzie,
 Za Frances Haslam², która przepraszała dzieci,
 Że tak wolno umiera,
 Za minuty, co poprzedzają sen,
 Za sen i za śmierć,
 Te dwa ukryte skarby,
 Za intymne dary, których nie wymieniam,
 Za muzykę, tajemniczą formę czasu.

Jorge Luis Borges

The Ulysses

abasco

recuerdo

de tiempos,

Otra revolución

La Historia Natural

Persia

Juvénal

Habría

del Occidente

Pasigamos con la historia y llegamos

Haron

Jenior / Acaso

Esse elefante es un monstruo

fue llamado por Carmentis

muy germánico

Ovato

1.0

Poprawki druku odczytów J. L. Borgesa *Siedem wieczorów*

² Frances Haslam – angielska babka poety ze strony ojca (przyp. tłum.).

Notatka na temat Walta Whitmana

The whole of Whitman's work is deliberate.

R. L. Stevenson: *Familiar studies of men and books* (1882).¹

Uprawianie literatury może zrodzić ambicję stworzenia książki absolutnej, księgi ksiąg, która zawierałaby w sobie wszystkie inne, jak platoński archetyp; stworzenia przedmiotu, którego wartości nie umniejszyłyby lata. Ci, których ożywiała ta ambicja, wybrali sprawy wzniosłe: Apollonios z Rodos – pierwszy statek, jaki odważył się stawić czoło niebezpieczeństwu morza; Lukan – spór Cezara i Pompejusza, gdy orły walczyły przeciw orłom; Camoes – luzytański oręż na Wschodzie; Donne – okrąg wędrówek duszy, zgodnie z pitagorejskim dogmatem; Milton – najdawniejszy spośród grzechów i Raj; Firdausi – trony Sasanidów. Sądzę, że Góngora był pierwszym, który uważał, że ważna książka może się obejść bez ważnego tematu; niejasna historia, przekazana przez *Soledades*, jest świadomie banalna, jak wskazywali i potępiali Cascales i Gracian (*Cartas filológicas*, VIII; *El Criticón*, II, 4). Dla Mallarmégo tematy trywialne okazały się niewystarczające; poszukiwał tematów negatywnych: nieobecność jakiegoś kwiatu czy jakiejś kobiety, biel kartki papieru przed napisaniem poematu. Czuł, podobnie jak Pater, że wszelka sztuka dąży do muzyki, w której forma jest tłem; jego wzniosłe wyznanie wiary *Tout aboutit à un livre*² zda się uzupełnić homerską sentencję, że bogowie przędą nieszczęścia, aby przyszłym pokoleniom nie zabrakło tematów do opiewania (*Odyseja*, VIII, *in fine*). Yeats, około 1900, poszukiwał absolutu, posługując się symbolami, które miały obudzić pamięć gatunkową, czyli wielką Pamięć, jaka pulsuje pod indywidualnymi umysłami; warto byłoby porównać te symbole z późniejszymi archetypami Junga. Barbusse, w *L'enfer*, książce niesprawiedliwie zapomnianej, uniknął (usiłował uniknąć) ograniczeń czasu poprzez poetycką relację podstawowych czynów człowieka; Joyce, w *Finnegans Wake*, poprzez jednoczesne przedstawianie momentów pochodzących z różnych epok. Świadome posługiwanie się anachronizmami, dla stworzenia jakiegoś pozoru wieczności, stosowali również Pound i T.S. Eliot.

Wspomniałem o niektórych metodach; żadna z nich nie jest tak dziwna, jak zastosowana przez Whitmana w roku 1855. Przed omówieniem jej pragnę odnotować kilka opinii, które mniej lub więcej zapowiadają to, co powiem. Pierw-

¹ *The whole of Whitman's work is deliberate* – Cała twórczość Whitmana jest przemyślana (przyp. tłum.).

² *Tout aboutit à un livre* – „Wszystko na świecie istnieje po to, by skończyć się książką” – Stéphane Mallarmé, *Wybór poezji, rozdział Wariacje na pewien temat, część Książka, narzędziem duchowym*, w przekładzie Ewy Doroty Żółkiewskiej, PIW 1980 (przyp. tłum.).

sza należy do angielskiego poety Lascellesa Abercrombie. „Whitman – czytamy – wydobyl ze swego szlachetnego doświadczenia tę żywą i osobistą postać, która jest jedną z niewielu rzeczy wielkich w nowoczesnej literaturze: postać samego siebie”. Druga pochodzi od sir Edmunda Gosse. „Nie istnieje jakiś prawdziwy Walt Whitman... Whitman to literatura w stanie protoplazmy: to pewien organizm intelektualny tak prosty, że ogranicza się do odzwierciedlania tych, którzy się do niego zbliżają”. Trzecia jest moja. „Prawie wszystko to, co zostało napisane na temat Whitmana, jest zafałszowane przez dwa nieskończone błędy. Jeden to sumaryczna identyfikacja Whitmana – literata z Whitmanem – bohaterem, półboskim, z *Leaves of grass*³, podobnie jak identyfikuje się Don Kichota z *Don Kichotem*; drugi to niedorzeczne używanie stylu i słownictwa jego wierszy, czyli inaczej mówiąc tego samego zdumiewającego zjawiska, jakie pragnie się wyjaśnić”.

Wyobraźmy sobie, że jakaś biografia Odysusza (oparta na świadectwach Agamemnona, Laertes, Polifema, Calipso, Penelopy, Telemacha, pastucha wieprzy, Scylli i Charybdy) podawałaby, że nie opuścił on nigdy Itaki. Rozczarowanie, jakie wywołałaby w nas taka książka, na szczęście hipotetyczna, to rozczarowanie, jakie wywołują wszystkie biografie Whitmana. Przejście od rajskiego świata jego wierszy do mdłej kroniki jego dni jest przejściem melancholijnym. W paradoksalny sposób ta nieunikniona melancholila pogłębia się, kiedy biograf pragnie ukryć, że jest dwóch Whitmanów: „przyjazny i rozmowny dzikus” z *Leaves of grass* i ubogi literat, który go wymyślił⁴. Ten ostatni nigdy nie był w Kalifornii czy w Platte Canyon; tamten improwizował apostrofę w drugim z tych miejsc (*Spirit that formed this scene*⁵) i był górnikiem w pierwszym (*Starting from Paumanok, I*⁶). Ten, w 1859 roku, był w Nowym Jorku; tamten, dnia 2 grudnia tego samego roku, był obecny przy egzekucji starego abolicjonisty Johna Browna (*Year of meteors*). Ten urodził się w Long Island; tamten też (*Starting from Paumanok, I*), ale również w jednym ze Stanów Południa (*Longins for home*⁷). Ten był prawy, dyskretny i raczej małomówny; tamten wylewny i orgiastyczny. Łatwo mnożyć te rozbieżności; rzeczą ważniejszą jest zrozumieć, że zwykły szczęśliwy włóczęga, jakiego proponują wiersze z *Leaves of grass*, nie byłby zdolny do ich napisania.

Byron i Baudelaire udramatyzowali, w sławnych tomach, swój nieszczęśliwy los; Whitman podkreśla swoje szczęście. (Trzydzieści lat później, w Sils-Maria, Nietzsche miał odkryć Zaratustrę; ten pedagog jest szczęśliwy, a w każdym ra-

³ *Leaves of grass* – *Żądźbla trawy*, w przekładzie Juliusza Żulawskiego, PIW, 1966 (przyp. tłum.).

⁴ Uznają w pełni tę różnicę Henry Seidel Canby (*Walt Whitman*, 1943) i Mark van Doren w antologii domu wydawniczego Viking Press (1945). Nikt inny, o ile mi wiadomo (przyp. aut.).

⁵ Wiersz *Duchu, coś tę scenę tę zbudował* z cyklu *Od południa do gwiazdzistej nocy*, w przekładzie Juliusza Żulawskiego (przyp. tłum.).

⁶ Cykl *Od Paumanoku kształtu ryby wyruszam*, w przekładzie Stefana Napierskiego (przyp. tłum.).

⁷ Wiersz *Tęsknoty za domem*, nie tłumaczony na język polski (przyp. tłum.).

zie nakłania do szczęśliwości, ale posiada tę wadę, że nie istnieje). Inni romantyczni bohaterowie – Wasik⁸ jest pierwszym z tej serii, Edmond Teste nie jest ostatnim – rozwlekłe podkreślają swoje cechy wyróżniające; Whitman, z dynamiczną pokorą, chce być podobny do wszystkich ludzi. *Leaves of grass*, jak oświadcza, „to pieśń wielkiego zbiorowego ludowego indywiduum, mężczyzny czy kobiety” (*Complete writings*, V, 192). Czy też, jak nieśmiertelnie mówi w tych wersach (*Song of myself*, 17):

*Są one jak myśli wszystkich ludzi we wszystkich
epokach i krajach, nie pochodzą ode mnie,
Jeśli nie są tak twoje jak i moje, są niczym
lub prawie niczym,
Jeśli nie są zagadką i rozwiązaniem zagadki,
są niczym,
Jeśli nie są tak bliskie jak dalekie, są niczym,*

*Oto jest trawa, która rośnie wszędzie, gdzie jest
łąd i woda,
Oto jest wspólne powietrze, które spowija świat.⁹*

Panteizm upowszechnił typ zdań, w których twierdzi się, iż Bóg jest różnymi rzeczami sprzecznymi czy (jeszcze lepiej) pomieszanymi. Ich prototyp jest taki: „Rytualem jestem, ofiarą jestem, ofiarą ojców jestem, modlitwą jestem, libacją masła jestem¹⁰, ogniem jestem” (*Bhagavadgita*, IX, 16) Wcześniejszy, ale wieloznaczny, jest fragment sześćdziesiąty siódmy Heraklita: „Bóg jest dniem i nocą, zimą i latem, wojną i pokojem, nasyceniem i głodem”. Plotyn opisuje swoim uczniom niepojęte niebo, w którym „wszystko jest wszędzie, każda rzecz jest wszystkimi rzeczami, słońce jest wszystkimi gwiazdami i każda gwiazda jest wszystkimi gwiazdami i słońcem” (*Enneady*, V, 8, 4). Attar, Pers z XII stulecia, opiewa uciążliwą wędrówkę ptaków w poszukiwaniu ich króla, Simurga; wiele z nich ginie w morzach, ale te, które ocalały, odkrywają, że one same są Simurgiem i że Simurg jest każdym z nich i wszystkim¹¹. Retoryczne możliwości tego rozprzestrzeniania zasady tożsamości wydają się nieskończone. Emerson, czytelnik Hindusów i Attara, pozostawił poemat *Brahma*; z szesnastu wierszy, jakie się na niego składają, najbardziej godnym pamięci jest być może ten: *When me they fly, I am the wings* (Jeśli uciekają ode mnie, ja jestem ich skrzydłami). Analogiczne, choć o bardziej elementarnym wydźwięku, jest *Ich bin der Eine und bin Beide* Stefana George’a (*Der Stern des Bundes*). Walt Whit-

⁸ Wasik Bi-Allah, w angielskiej transkrypcji *Vatbek* – tytułowy bohater powieści Williama Beckforda (1760-1844) (przyp. tłum.).

⁹ Przekład Elżbiety Petraitis-O'Neill (przyp. tłum.).

¹⁰ Libacja masła – aluzja do składanej przez buddystów tybetańskich ofiary z mleka i masła jaków, himalajskich zwierząt (przyp. tłum.).

¹¹ *Si* (pers.) – trzydzieści; *Murgh* (pers.) – ptaki; *Simurg* (pers.) – Feniks (przyp. tłum.).

man odnowił ten proceder. Nie stosował go, jak inni, dla określenia bóstwa czy dla zabawy z „sympatiami i różnicami” wyrazów; chciał utożsamić się, za pomocą jakiejś drapieżnej tkliwości, ze wszystkimi ludźmi. Powiedział (*Crossing Brooklyn Ferry*, 6):

*Byłem uparty, próżny, chciwy, płytki, przebiegły,
tchórzliwy, złośliwy,
Nie brakło we mnie wilka, węża, świni...*¹²

A także (*Song of myself*, 33):

*Jestem człowiekiem, cierpiałem, byłem tam.
Pogarda i spokój męczenników,
Matka dawnych czasów, skazana za czary, spalona,
na stosie wobec przyglądających się dzieci,
Osaczony niewolnik, padający z wyczerpania, opiera się
o płot, zdyszany, zlany potem,
Uklucie ostre jak igły na nogach i szyi, morderczy
śrut i kule,
Wszystko to czuję lub jestem tym.*¹³

Wszystko to czuł i tym był Whitman, ale naprawdę, nie w zwykłej historii, a w micie, był tym, co ukazują owe dwa wersy (*Song of myself*, 24):

*Walt Whitman, kosmos, syn Manhattanu,
Niespokojny, ciclesny, zmysłowy, jedzący, pijący
i płodzący.*¹⁴

Był również tym, czym miał stać się w przyszłości, w naszej przyszłej tęsknocie, stworzonej przez te prorocтва, które ją zapowiadały (*Full of life now*):

*Pelen życia teraz, spoisty, widzialny,
Ja, w czterdziestym roku życia, w osiemdziesiątym
trzecim roku Stanów,
Do kogoś, za wiek lub za wiele wieków,
Do ciebie, jeszcze nienarodzonego, szukam cię.
Kiedy to czytasz, ja, który byłem widzialny,
jestem, staje się niewidzialny,*

¹² Przekład Elżbiety Petrajtis-O'Neill (przyp. tłum.).

¹³ idem

¹⁴ idem

Teraz to ty, spoisty, widzialny, przeczuwasz
moje wiersze i szukasz mnie.
Myslac jaki bylbyś szczesliwy, gdybym mógł być z tobą
i stać się twoim towarzyszem;
Bądź tak szczesliwy, jakbym był z tobą. (Nie bądź zbyt
pewien, czy nie jestem teraz z tobą).¹⁵

Czy też (*Song of parting*, 53, 70):

Przyjacielu, to nie jest książka!
Kto dotyka tego, dotyka człowieka,
(Czy to noc? Czy jesteśmy tu razem sami?)...
Kocham cię, odrzucam swą formę.
Jestem jak ktoś bezcielesny, tryumfujący, martwy.¹⁶

Walt Whitman, człowiek, był dyrektorem *Brooklyn Eagle* i wyczytał swoje zasadnicze idee na stronicach Emersona, Hegla i Volneya; Walt Whitman, postać poetycka, wyprowadził je z obcowania z Ameryką, zilustrowanego wyimaginowanymi przeżyciami w sypialniach Nowego Orleanu i na polach bitewnych Georgii. Jeśli dobrze się przyjrzymy, taki sposób postępowania nie wnosi ze sobą zafalszowania. Fakt fałszywy może być w swej istocie prawdziwy. Podanie głosi, że Henryk I angielski nie zaśmiał się od chwili śmierci swego syna; fakt ten, nawet jeśli fałszywy, może być prawdziwy, jako symbol przygnębienia króla. W roku 1914 mówiono, że Niemcy torturują zakładników belgijskich; wiadomość ta była niewątpliwie fałszywa, ale była korzystna dla ukazania nieskończonego i niezrozumiałego koszmaru okupacji. Łatwiejszy jeszcze do wybaczenia jest przypadek tych, którzy przypisują ogłoszoną przez siebie naukę swoim doświadczeniom życiowym, a nie takiej czy innej bibliotece, czy nawet opracowaniu. Nietzsche, w 1874 roku, szydził z pitagorejskiej tezy, jakoby historia cyklicznie się powtarzała; (*Vom Nutzen und Nachtheil der Historie*, 2); w roku 1881, na pewnej ścieżce w lasach Silvaplana, nagle objawiła mu się ta teza (*Ecce homo*, 9). Prostack, policjant, mówiłby o plagiacie; Nietzsche, zapytany, odpowiedziałby, że jedyną rzeczą ważną jest przemiana, jakiej może w nas dokonać pewna

¹⁵ Przekład Elżbiety Petrajtis-O'Neill (przyp. tłum.).

¹⁶ Mechanizm tych apostrof jest skomplikowany. Wzrusza nas, że poetę wzrusza przewidywanie naszego wzruszenia. Por. wersy Fleckera, skierowane do poety, który będzie go czytał za tysiąc lat:

*O friend unseen, unborn, unknown,
Student of our sweet English tongue,
Read out my words at night, alone:
I was a poet, I was young.* (przyp. aut.).
O przyjacielu, niewidzialny, nienarodzony, nieznany,
Który uczysz się naszego słodkiego języka angielskiego,
Czytaj me słowa w nocy, samotnie:
Byłem poetą, byłem młody.

(Podobnie jak fragment z *Song of Myself*, do którego odnosi się ten przypis, w przekładzie Elżbiety Petrajtis-O'Neill – obj. tłum.).

idea, nie zaś zwykły fakt jej wyrozumowania.¹⁷ Co innego abstrakcyjne zaproponowanie jedności boskiej; co innego nawałnica, jaka oderwała od pustyni arabskich pasterzy i pchnęła ich do bitwy, która dotychczas nie ustała, i której granicami były Akwitania i Ganges. Whitman zamierzał ukazać idealnego demokratę, nie zaś formułować jakąś teorię.

Odkąd Horacy, za pomocą platońskiego czy pitagorejskiego obrazu, wypowiedział swoją niebiańską metamorfozę, temat nieśmiertelności poety jest klasyczny w literaturze. Ci, którzy go poruszali, czynili to z próżności (*Not marble, nor the gilded monuments*¹⁸), jeśli nie z przekupstwa i zemsty; Whitman wyprowadza zeń jakąś osobistą relację z każdym przyszłym czytelnikiem, utożsamia się z nim i prowadzi dialog z tym drugim – z Whitmanem (*Salut au monde*, 3):

Co słyszysz, Walcie Whitmanie?

W ten sposób rozdawali się w wiecznym Whitmanie, w tym przyjacielu, którym jest stary amerykański poeta z tysiąc osiemset któregoś roku, ale również jego legenda, i każdy z nas, i szczęście. Rozległe i niemal nieludzkie to zadanie, ale nie mniejsze było zwycięstwo.

Jorge Luis Borges
tlum. Andrzej Sobol-Jurczykowski

¹⁷ Tak bardzo różnią się między sobą racja wyrozumowana i wewnętrzne przekonanie, że najpoważniejsze obiekcje przeciwko jakiejś doktrynie występują zazwyczaj już z góry w dziele, które ją głosi. Platon, w *Parmenidesie*, poprzedza argument trzeciego człowieka, jaki mu przeciwstawi Arystoteles; Berkeley (*Dialogues*, 3) – refutację Hume'a (przyp. aut.).

¹⁸ *Not Marble...* (ang.) – *Ni marmur, ni księżycych pomników złozenie*, cytat z pięćdziesiątego piątego sonetu Szekspira w przekładzie Mariana Hemara (przyp. tłum.).

Jorge Luis Borges

Cudzoziemiec

Wysłał już listy i telegram.
Idzie nieokreślonymi ulicami
i dostrzega drobne różnice, które go nie obchodzą,
i myśli o Aberdeen i o Leyden,
bardziej dla niego żywych, niż ten labirynt
linii prostych, nie zaś złożoności,
dokąd prowadzi go czas człowieka,
którego rzeczywiste życie jest daleko.
W pokoju oznaczonym numerem
goli się potem przed lustrem,
które już go nie odbije,
i wydaje mu się, że ta twarz
jest bardziej nieodgadniona i niezłomna,
niż dusza, co w niej mieszka
i przez lata pokrywa ją brudami.
Minie cię na ulicy
i może dostrzeżesz, że jest wysoki i siwy
i że przygląda się rzeczom.
Obojętna kobieta
ofiaruje mu wieczór i to, co się odbywa
po drugiej stronie jakichś drzwi. Ten człowiek
myśli, że zapomni jej twarz, a będzie pamiętać
po latach, nad Morzem Północnym,
żałując albo lampę.
Tej nocy jego oczy ujrzą
w prostokącie rzeczy, co minęły,
jeźdźca i jego epicką równinę,
gdyż Far West obejmuje planetę
i odzwierciedla się w snach ludzi,
co nie dotknęli go stopą.
W mnogim półmroku, nieznajomy
pomyśli, że jest w swoim mieście
i zdziwi się, gdy wyjdzie w inne,
o innym języku i o innym niebie.

Zanim dotrzemy do agonii,
dane są już nam piekło i chwała;
teraz chodzę po tym mieście, Buenos Aires,
które dla cudzoziemca z mojego snu
(cudzoziemca, którym byłem pod innymi gwiazdami)
jest serią niewyraźnych obrazów,
stworzonych dla zapomnienia.

Do tego, kto mnie czyta

Jesteś nietykalny. Czyż ci nie zesały
Bogi, co rządzą twoim przeznaczeniem,
Pewności, żeś jest prochem? Czyżby nie był
Twój bezpowrotny czas – czasem z tej rzeki,
W której lustrze Heraklit dojrzał symbol
Jego ulotności? Czeką cię już marmur,
Którego nie odczytasz. Jest tam zapisana
Pewna data, pewne miasto, pewne epitafium.
Również te inne sny są snami czasu,
Snami, nie twardym brązem czy błyszczącym złotem;
Cały wszechświat, jak ty, jest Proteuszem.
Jako cień, w cień wejdiesz, co cię czeka
Fatalny, na granicy twoich trudów;
Pomyśl, że w jakiś sposób już umarłeś.

Jorge Luis Borges

Od tłumacza

Jorge Luis Borges jest obecny w naszym kraju od niemal siedemdziesięciu pięciu lat. Był młodym (dwudziestoletnim) poetą, kiedy na łamach *Nowej Sztuki* w lutym 1922 r. ukazał się jego wiersz *Poranek* w przekładzie Tadeusza Peipera. To było pierwsze tłumaczenie utworu Borgesa na świecie! Potem w Paryżu w 1952 r. ukazuje się pierwsza książka w języku obcym, a w trzy lata po tym wydarzeniu, któremu jakże dziś znany autor zawdzięcza to, że stał się „prorokiem we własnym kraju” – Argentynie – *Przekrój* publikuje opowiadanie pt. *Ogród o rozwidlających się ścieżkach*.

Do końca marca 1997 r. zaprezentowano polskiemu czytelnikowi 1270 (!) publikacji utworów Borgesa, zarówno w czasopismach (44 periodyki wychodzące w Polsce i 4 na emigracji) jak i w wydaniach zwartych – 23 tytuły, w tym również antologie kilku autorów. Liczba 1270 obejmuje także wznowienia i przekłady tych samych utworów przez kilku tłumaczy. Szekspira, na przestrzeni trzech stuleci, przekładało na nasz język 45 osób; Borgesa, w ciągu 75-ciu lat – 41...

Kontakt z Borgesem, przyzwyczajenie do niego, rozbiły ten świat. Zachwycona jego ścisłością ludzkość nie pamięta, że chodzi tu o ścisłość szachistów, nie zaś aniołów. We wspólnej pamięci fikcyjna przeszłość zajmuje już miejsce tej drugiej, o której niczego nie wiemy z pewnością... nawet że jest fałszywa. Podręczniki, antologie, streszczenia, dosłowne tłumaczenia, przedruki autoryzowane i nieautoryzowane tego *Opus Maior* Rodzaju Ludzkiego zalewały i nadal zalewają ziemię. Zreformowana została numizmatyka, farmakologia i archeologia. Przypuszczam, że również biologia i matematyka oczekują na swój awatar... Jeśli te przypuszczenia nie są błędne, za jakieś sto lat ktoś odkryje sto tomów *Encyklopedii Borgesa*. Encyklopedia ta będzie z konieczności projektem zbiorowym: pracą grupy ludzi poświęconą unicestwianiu świata zewnętrznego i zastąpieniu go przez świat stworzony przez istotę ludzką, z jego nieuniknioną logiką i ładem. Ta istota ludzka będzie z upływem czasu w coraz mniejszym stopniu istotą fizyczną, aż uzyska status jakiejś idei. Wówczas przyszłe pokolenia naukowców zapomną o istnieniu angielskiej, argentyńskiej czy łacińskiej literatury. Świat stanie się Borgesem.

Andrzej Sobol-Jurczykowski

Andrzej Appel

Przystanek

Chwycił mróz. Przykuci do chodnika
trwaliśmy w bezruchu, spoglądając z tęsknotą
w stronę rozświetlonego mostu.

Nic tylko szum wiatru, tchnienie grozy.

Wtem uśmiechnęłaś się.
Spytałaś: *Zimno ci?*
Szczęśliwy odparłem: *Wcale.*
Więc przytul mnie.

Zanim ruszymy dalej.

U kresu

Jesienne liście.
Na ulicy. Karnawał
barw. I lot.
Wiatr. Oddane
zabawie dziecięcej.
A przecież
czeka je zgon.
Nicość jest kwestią
chwili. Czemu
więc tańczą?
Szalone. Lub
wiedzą więcej.

Andrzej Appel, ur. w 1969 r. Poeta, tłumacz. Publikował w *Więzi* i w *Literaturze*. Mieszka w Warszawie (red.).

Łazienki

Gondola na wpeł
zanurzona w zielonej
wodzie. Toną
liście. Gołębie,

lecąc w poprzek, mącą
gładką fakturę
obrazu. W tle stare
drzewa i fragment

antycznego teatru:
Ktoś nadchodzi żwirową
aleją. Może go znam.
Odwrócił głowę.



* * *

Fot. Jerzy Zegarliński

Głos

Marysi Targońskiej

Raptem słyszę jesień,
choć to środek lata
jak punkt w kole.

Słyszę, a więc widzę,
ogarniam pamięcią,
całuję.

W miłości porządek
nie istnieje, nawet
cierpienia nie ma,
tylko głębszy, cięższy
jego głos.

Andrzej Appel

Paweł Procki

Pintura Negra Wałbrzyska

I

Ile, masz 19 lat. Twoje spojrzenie, spojrzenie, ale grymasy, jeszcze niewprawne, może za rok będą już beztrudno kobiece. Twoją matkę zobaczyć, chciałbym. Jakbyś ocierała pot z czoła przesuwasz dłonią o grzywkę, nie może opaść ci na oczy. W które nie patrzę długo, gdy tego nie widzisz patrzę na ciebie. Patrzyłem. Czy ma to sens. Nie wiem co to sens. Ale, czy to powtórzyć. Powiedzmy jutro. Jak wczoraj. Powiedzmy, ot tak sobie. Bez, iść czy nie, myśląc sobie, ładne są mrówkowce, i śnieg w tym roku, a konary na tle latarni kuliście się rozgałęziają, i że. Że czemu machać na to ręką. Jutro też pewnie przyjdę, pewnie że mam dosyć klopsików odgrzewanych na kaloryferze, i wołę obrane przez ciebie z ziemniaków frytki. Palce ziemniakami. Przewietrzę pokój, nie rzuciłem jeszcze palenia. Mógłbym dłużej stać przy oknie. Po latach widok z okna. I śniegu tyle, ale do ubikacji i herbatę zrobić. Jest przeciąg w szparze między podłogą, a drzwiami. Chłodno. I koty w marcu. Było inne przysłowie. Nie widzę, gdzieś w śmietniku.

Chodzą po śmietniku, śmietnikach. Obrazy z filmów zachodnich. Mówię o ludziach. Na centralnym we Wrocławiu poprosił mnie o papierosa. Spojrzałem na jego źrenice, jak szpilki, w których nie zobaczyłbym się z odległości nosa. Nie, powiedziałem. Przed wejściem gdzie można było zapalić, zapaliłem. Chłopak wracając stanął przede mną i zapalił papierosa. Spuściłem głowę i patrzyłem w beton. Poszedł. Ktoś zapytał o papierosa. Nicogolony, w płaszczu, brudny dziadek. Co miałem zrobić, dałem mu papierosa. Dla jasności, jeszcze raz, ani następny, nie dalbym chłopakowi papierosa.

Kajtek wracając od niego wstąpił do mnie, że on siedzi w fotelu marudząc czemu wcześniej nie zadzwonił, itp. Kajtek poszedł, leżałem. On jutro będzie we Wrocławiu, pojutrze będę w Marianówku. Poszedłem zobaczyć, na pewno nie ma ciebie u Marty, i poszedłem do niego. Jakoś tak mówią na ciebie, w każdym bądź razie jej ojciec mówi Brygida, z Edyty na przestrzeni trzech ludzi jesteś Brygidą, jako ciekawostka. Wracając do niego, powiedział, nie pamiętam, ponoć napisałem to w liście. Ona powiedziała żebym napisał, on że widać co

Paweł Procki, ur. w 1966 r. Mieszka w Wałbrzychu. Publikacja w *Kwartalniku Artystycznym* jest jego debiutem (red.).

miałem napisać, napisałem. W przedpokoju wziąłem od nich adres, nie mam tamtego notesu. Jutro na spacer z tobą, ich dziećmi, będziesz szła z nimi na spacer.

Stałem przy oknie z nogami do kaloryfera. Mógłbym opisać szum za mną, pod drzwiami, śnieg na samochodach, parapetach, itp. Lub ten sam widok w innej scenerii. Stałem i patrzyłem. Słyszałem, jak ślinę przelykam. Na pewno zadzwonię rano, nie zastanawiam się nad pretekstem.

On: Pokój cztery kwadrat. Drzwi naprzeciw okna łóżko. Oczy. Dłoń majtki wsuwa wystające. Przystanek autobusu. Ścianie słońca cień zasłony. Dłonie podbródek. Nogi ugina. Przystanek. Powicki. Głowę koldrę. By nos. Petów. Nosem. Wydech.

Ciepło i wilgotność wyczuwalne tym, że palce odsunąwszy z nad szklanki z herbatą musnął powiew z okna zacienionego klonem, za którym gdzieś nad stawem przefruwa niekiedy zimorodek, którego myliłem z papużką dopóki nie sprawdziłem w encyklopedii, że i tu być może, i tym samym ocierając keiukiem opuszki wyczuwało się zanikające zwilgotnienie.

Matka wstała, nie wiedziałem, że teraz tak wcześnie, gdy wyjdzie do pracy, zrobię jajecznicę. Na razie nie wychodzę z pokoju. Matka nie jest jeszcze przyzwyczajona, że nie mieszkam w domu. Mimo to mam tutaj skarpetki, w Marianówku mam swoje skarpetki, nie mam już w Kołobrzegu i nie wiem w jakim mieście będę miał. Przeszkadzało mi, dzisiaj nie. Wszystkie psy idą do nieba. Bajka. Lubię ją.

Tak jest.

Piotr.

I gwiazdy nie widać.

Fala,

tafla jeziora.

Szumia buki.

Ogień spala.

Nie twój oddech.

Jest.

Ciemno.

Patrząc na stopy umazane błotem, spoglądając wyżej, widzi się kopułę rozczłonowaną światłem. Jedyny kolor, blask, słowa jedyne, bezwładne. Zakładając dłoń lewą na prawy bark, prawą na lewy, czuć napięcie i zgrubienie powłoki moszny, wygładzenie i uniesienie worka mosznowego.

Wychodząc z kościoła szedłem starca krokiem. Szedłem za nim lub przed nim, nie pamiętam. Jakkolwiek bym szedł zawsze iść będę przed nim, nigdy za nim, z nim.

Ona: To nie było tak nigdy nie było jak tak niekiedy wtedy gdy nie nic mówiła tak. Jej włosy rozwiane jak fale wiatrem pławione *nie* wyciągnęła dłoń *chcę*. Ślinę przelknąć wspominając napiąć mięśnie brzucha ciemno jak milcząco *żeby tylko mówiłam* wyobrazasz to sobie zasypia chodzę tam i sam sam tam i sam szukając peta na wydeptanym trawniku gdzie na początku był ktoś kto wszystko może i nie więcej by było jak jest napisane na rozkładzie o tej godzinie nie ma już szesnastki piętnastki na Gaj jeździła piętnastka. Jeżeli chcesz, A z kim byś chciała, Z, albo nie, jeszcze pomyślisz że. Możesz się jednak go obawiać, na co ty, Nie, nie przeprasileś jej gdy, nie powiesz raz, nie mogąc się spuścić wspomniałeś sobie z tych magazynów chowanych w piwnicy. Możesz dzisiaj zrobić ze mną co zechcesz, chciał, a może żeby to ona, i on, język miał brązowy od kawy, wina, popularnych, co daje 44 tys. w następującej kolejności 4,5 16,5 23, a był nie czuły że słyhać było płask, gdy jej pośladki, i chyba tylko jego jeszcze ciekawiło czemu wtedy gdy. Paweł bo mnie udusisz, okraciem leżałem na jej piersiach, odbył mój pod jej nosem. Mogło nie być słońca byłaby uśmiechnięta, nie jest to tak, ale takie masz uczucie wobec niej. Kochał którą zdradzał, z którą kochał, i patrzył jak nie ubiera majtek, nie ubiera stanika, ubiera sukienkę, wychodzi, spocone ciało, ciepło dnia, zielona sukienka, zaróżowione światło, chodnikiem, nie w stronę pokoju, gdzie za ścianą ojciec pijany, a matka. Ona mija, i mija się ze mną obchodząc mnie. Jak ta w dzieciństwie na pastwisku, gdy szła ze starszymi na ognisko i przez koronkę prześwitywały. I ta w autobusie w Katowicach, uśmiechnęła się gdy spytałem, bo nie była w humorze jak ja wtedy, tylko jak teraz ja, była ona, gdy stopą w takt.

Nie napisałem czterech zdań dotyczących się być może archetypu matki, bardziej jednak tego co co osobiste.

Ono: Coś tam, coś tam i tak dalej. Tak, coś tam, coś tam i dalej. I tak dalej, coś tam, coś tam. Nie tak, coś tam, coś tam i tak dalej. Jeśli tak.

Coś tam, coś tam i tak dalej. Wtedy coś tam. I tak dalej. Niekiedy tam, coś tam. Wtedy niekiedy tam, coś i tak dalej.

Coś tam, coś tam i tak dalej. Tam. Dalej coś tam. I tak coś tam dalej.

Coś tam, coś tam i tak dalej.

Dalej tak i tam coś, coś tam.

Ty: Usilna potrzeba patrzenia w punkt.

Skupiony.

Skupiony. Skupiony.

.ynoipukS

Dalej. Nic.

Jestem.

Jestem. Jestem.

.metseJ

Zmęczony byciem z

Tobą.
Tobą. Tobą.
.ąboT

Matko.

Scena przystanku autobusowego, zmrok. 4 osoby ustawione jw. napisane, 3 pod kątem, który czyni je niewidocznymi dla osoby pierwszej. Kolejność powtórzeń według wskazówek zegara niemskazana, różnią się intonacją, przy którymś powtórzeniu pogłos dający wrażenie piątej osoby.

Nic mi, i nie wstaję żeby zadzwonić. Inaczej, nie chcę mówić, coś w głowie, i siedziałbym i patrzyłbym na płatki śniegu na tle bloku i w oknach nikogo, inaczej, w oknach ciemno za dnia, jest dzień. Twoje spojrzenie. Powiedzieć. Nic mi.

Ja: Kapu kap powiedzmy na nie o Ka powiedzmy K jest najmniej dwuznaczne. W kaluży dachu dach. Słyszę blisko okna kucam. Daj ja huśtam a ty stój. Biegają trawnik zielony jeszcze z założonymi czapkami. W przyszłości teraz przeszłości. Jak umarł Heraklit inni. Bądź jak bądź. Kucać będę nim wstanę. Jestem w stanie wstać powstaję. Stoję. Lewą prawą prawą nie mogę lewą nogę nie wystawilem zza siebie inaczej podskoczę. Idę. Wtedy odpychałem się dłońmi od ściany do ściany. Iść będę stanę nim kucnę mogę wszystko i więcej nic.

epilog.

przerwa obiadowa w dniu plewienia ziemniaków ze słoneczników w Trena. wiórowa stopy stołu nabrzmiałe fliżanka gumowcach lokieć palcami kawie okolice talerze pępka kartonu powieki aluminiowego opadają papka i popielniczce światło chrapanie i wyciągniętego ciemność krzesłach w kobieciny jednym zamkniętych powiekach opada, chcąc na nią nie patrzeć omijam kalendarz z fotomodelką, spoglądając przez okno na wróble huśtające się na gałęzi bzu, upuszczające białe gówienka, Kamilo.

II

Chmurki o świetle słońcem różowującym, gdy wycieraczki starły z szyby krople rozbłyskujące reflektory, chusteczką przetarłeś twarz, tak by nie zjechać z pasa bez pobocza, gdy mijaliśmy się, dreszcz od szyi, około kręgosłupa, po otwór którym zwierasz, obok kości przodków, wspomniałeś jej palec na plecach, tego dnia, gdy naciągając koldrę odkryła ci stopy, dnia tego dnia jak tylko zasunąłeś zamek śpiwora, rękę kładąc na oczodoły, żeby już nie mieć wrażenia mijanych, i wstałeś, żeby nie widzieć prócz swoich rzeczy w pokoju wyszedłeś, żeby usiąść na ławce, gdzie zza krzaków wsłuchiwałeś się w fale z jakimi mo-

rze dnia tego nie było inne od dzisiejszego, wstaliśmy z ławki na której siedziałeś i dłońmi o kolana, ładny dzień dzisiaj mamy.

Przez was jestem przekonany, i sam bym został, gdzie nie ma dokąd wracać. Tamtego dnia.

Jadąc rowerem bez trzymanki rękami rozwartymi nie sięgając jak zazwyczaj papierosa kilku już dni zamykając powieki nie na długo by w wyrwę jakich wiele powietrze słońcem usechł jakby dąb tle lasu jakby przednim kołem w trawę zieloną i te niebieskie kwiatki polne zbożem nie tylko asfaltem.

Paweł Procki



Fot. Jerzy Zegarliński



Fot. Jerzy Zegarliński

Amerykańskie haiku

w przekładzie Andrzeja Szuby

Frances Drivas (ur. 1917)

rano
w zielonym cieniu tylko zielony
posąg wpatruje się
w morze

Larry Gates (ur. 1942)

Nieruchoma
siewka,
fala omywa jej nogi.

Mżawka na
Lookout Mountain...
mleczące działa.

Clement Hoyt (1906-1970)

W świetle błyskawicy –
w nocnym deszczu – ujrzałem
...mniejsza co.

Foster Jewell (1893-1984)

To wiatr ją przywiał –
chwilę księżycowego blasku
dla ukrytej paproci.

Z wodospadu
powstaje nowa rzeka,
wplata się w mgłę.

Jesienny wiatr w lotkach...
Głośniejsza i bardziej gwałtowna
ta wczorajsza ulewa.

Znaleźć jaskinię –
iść za światłem latarni...
mieć ciszę za sobą.

Jerry Kilbride

gęsi lecą na północ
głos mojego siostrzeńca
zменя się

gwizd w południe...
bzyczenie pszczół kwiaty
na świeżym grobie

zimny księżyc:
oblodzone zęby
starych grabi do siana

jasne gwiazdy
czterolatek ma ochotę
na prażoną kukurydzę

David Lloyd (ur. 1930)

Dzika róża ugina się –
Ugina się jeszcze bardziej
Pod ciężarem pszczoły

Kacze pióra
Na brzegu jeziora –
Nieme niebios

Michael McClintock (ur. 1950)

Hamburger Hill...
pełnia
w naszym oczach

samotny tulipan!
beznadziejnie,
przeszedłem

dziś w nocy... pragnę
niech błyskawica będzie błyskawicą
niech grzmot będzie grzmotem

siąpiący deszcz...
łączy ich krew
z ich krwią

wchodzę...
jej zęby
się śmieją

liść opada...
drżące
słońce

mak...
makowe pole!
wzgórza rozkwitłe makami!

odeszła –
zapach na cieplej poduszce
pozostał

Mebelsson Norway

Uginające się pod śniegiem krzaki –
jeden przygięty do ziemi, drugi
rozkołysany wiatrem

w dół koralowym stokiem
znika w mroku –
bladożółta ryba

Michael Segers (ur. 1950)

w skorupce kiedy wyklulo się pisklę

Bonnie Squires

martwy kot
wmarznięty w zimową ziemię
odrywam go

Nicholas Virgilio (1928-1989)

Skwar przed burzą:
mucha zakłóca ciszę
pustego sklepu.

Jesienny zmierzch:
wiatr podnosi wiszący
na drzwiach wieniec.

Lilia:
z wody...
z siebie.

Na oślepiające słońce...
jaskrawe reflektory
pogrzebowego orszaku.

Larry Wiggin (1919-1973)

śnież...
kurz
na oknie

John Wills (ur. 1921)

Drzewa
takie wysokie i proste
w południe!

Nagle wążka
zawisła nad
skrzypem

otoczaki
pod łódką...
już świt

Listopadowy wieczór –
najbliedsze płótno śniegu
na żdźbłach zboża.

Od tłumacza

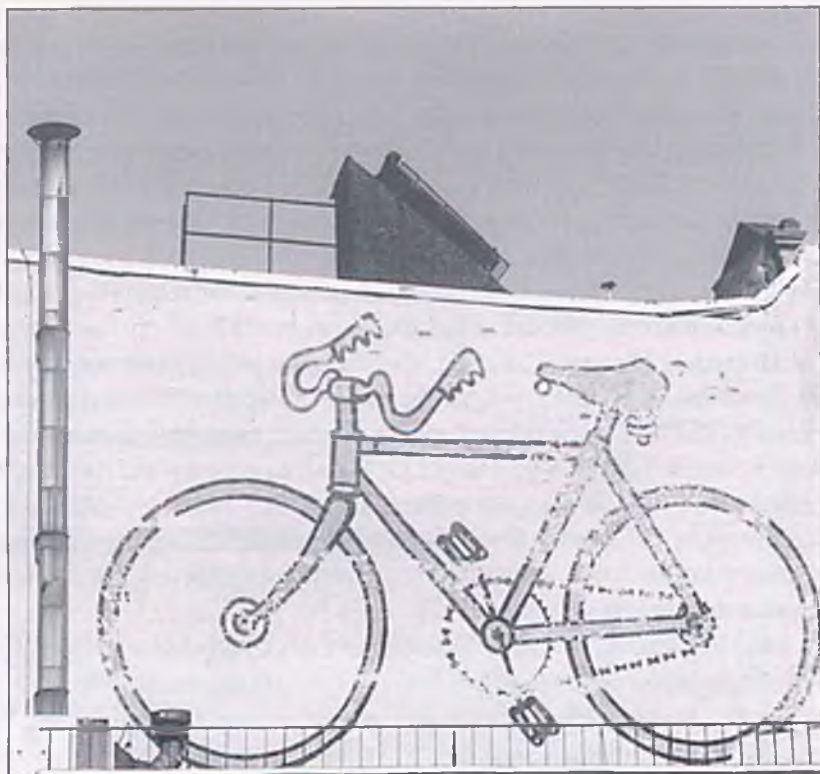
Korzeni amerykańskiego haiku można doszukiwać się w drugiej dekadzie naszego wieku, głównie w twórczości imagistów – i jest to zajęcie tyleż uprawnione, co niewdzięczne. Ani John Gould Fletcher, ani Amy Lowell, ani nawet Ezra Pound nie mieli wielkiego pojęcia o istocie tej starej, japońskiej formy poetyckiej, i dostrzegali w niej jedynie technikę obrazowania i właściwą jej kompresję. Tak naprawdę, anglojęzyczne haiku zaczęło owocować dopiero w latach pięćdziesiątych, jako produkt uboczny bliskich kontaktów z okupowaną Japonią, fascynacji jej sztuką, filozofią, religią i literaturą. Największe zasługi w przybliżeniu tematyki japońskiej odbiorcy amerykańskiemu położyli: Donald Keene, autor licznych dzieł krytycznych i translatorskich, Daisetsu T. Suzuki, spod którego pióra wyszły trzy tomy *Essays in Zen Buddhism*, R.H. Blyth, twórca monumentalnej, czterotonowej pracy pod tytułem *Haiku* (1949-52), amerykański poeta, tłumacz i antologista pochodzenia japońskiego Kenneth Yasuda, oraz Harold G. Henderson ze swoim *An Introduction to Haiku* (1958). Notabene, ten ostatni, już w roku 1934 opublikował książeczkę zatytułowaną *The Bamboo Broom*, w której przewidział możliwość powstania anglojęzycznej odmiany haiku. Musiało jeszcze upłynąć dwadzieścia, trzydzieści lat, żeby przepowiednia mogła się spełnić.

W roku 1963 w Platteville w stanie Wisconsin ukazał się pierwszy w Stanach Zjednoczonych numer pisma poświęconego w całości interesującej nas tematyce – *American Haiku*. Później były *Haiku Highlights and Other Small Poems*, *Haiku West*, *Haiku* i tuziny innych. Pojawiają się pierwsze tomiki. Mijają lata i wątła struga zmienia się w rwącą rzekę. Tymczasem stosunek większości krytyków do tej orientalnej nadprodukcji jest co najmniej wstrzemięźliwy. Nie dziwnego. Spora część dokonań ostatnich trzydziestu kilku lat to dzieło grafomanów. Relatywnie niewielu poetów zrozumiało, że chodzi tu o coś więcej niż sylabiczny schemat 5 – 7 – 5; należą do nich między innymi: Gary Snyder, Jack Kerouac i Etheridge Knight, należą również poeci skupieni w *Haiku Society of America*.

Powstałe w roku 1986 HSA stawia sobie za cel promocję praktyki i teorii haiku w języku angielskim, a czyni to poprzez otwarte wykłady, dyskusje, warsztaty, spotkania autorskie i konkursy. Towarzystwo zrzesza w swoich szeregach kilkuset autorów, a jego oficjalnym organem jest kwartalnik *Frogpond*. W ciągu z górą ćwierćwiecza staraniem HSA ukazało się wiele cennych publikacji książkowych, w tym *The Haiku Anthology* (1974) zawierająca ponad dwieście utworów prawie czterdziestu poetów oraz *Haiku Handbook*, książka traktująca o haiku w świecie.

Wszyscy prezentowani niżej autorzy byli lub są członkami Towarzystwa. Przez kilka lat związany z nim był autor niniejszej noty.

Andrzej Szuba



Fot. Jerzy Zgarliński

Yves: Le Saut dans le Vide*

*maintenant je veux aller au delà
de l'art... au delà de la vie. ***
(Yves Klein, 1962)

Jeszcze nie osiągnąłem tego bolesnego błękitu
który zostawiłeś. Czy już widzisz siebie? udoskonalasz?
dotykasz swego geniuszu? wizji? tak prostej, prawdziwej,
błękitnej? Tak dużo mnie, a wciąż mało.
Żadnego przetwarzania, wnioskowania, interpretacji -

tylko twe oczy
z bezpiecznego dystansu czarno-białej fotografii z lat 50.
przenikają skłębione kolory rzeczywistości; zza czasu i
przestrzeni wpatrzone w ciebie,
który kiedyś nastanie.
Wpierw próbowałeś innych kolorów, innego podłoża, innej wizji -
czerwieni, pomarańcza, żółci, nawet złota.
A tu błękit - który nieuchronnie jest
choć robiłeś wszystko
by patrzeć w inną stronę.

Gdyby me oczy mogły przyjąć tyle światła
a potem dojrzeć to, co poza monochromem!
Nareszcie mógłbym porzucić ten zamęt
tę miłość zmysłów i duszy.
Czy wejdę w stan nieskończoności?
Najczystszej energii?
W olśnienie, które ci dano?
W adorację bez granic, czy

* (fr.) Yves: Skok w nicłość

** (fr.) chcę teraz iść poza sztukę, poza życie (przyp. tłum.).

Mark Rothko

dla Dercka

Już nic, żadnej własności, jaźni, przedmiotów wartych
zatrzymania, miejsca dla ciebie, dla innych, nadziei.
Za wiele, zgromadziło się bólu – własnej winy
rozpaczy, zbiorowej śmierci, ran i okrucieństwa
twojego i naszego samozniszczenia, polityki
odpowiedzialności, odrywania przyczyn od skutków.
Gdzie był Bóg, na którego głos czekałeś?

Zamiast niego w jednej z sal
ogromne płótna, które tłumią ból: to w ich głębinach
głodziłeś się na śmierć, by odkupić tamto – czy wyjaśniły ci
nicość? Pragnienie zapełnienia pustki
wołą życia, wiarą, choćby lękiem przed życiem?
W końcu nie miałaś nawet tego
a tylko chorobliwe poczucie winy
liturgię terapii, rytuał nienawiści do siebie
terror odrzucania przez kolejnych mężczyzn
przerażenie życiem tylko po to, by żyć.

Wciąż tam jesteś, wewnątrz obrazu w Tate.
Zostań tam, w sercu materii:
nic nie zmieniło się na lepsze.

Elegia dla siebie

Nie mylcie cudzych śmierci z moją.
Umierać jest tak samo, tylko role są inne.
Moja śmierć jest wynikiem wyboru – to pragnienie
by zejść z tej żalostnej i niegodnej sceny

na której moje ostatnie dni klamią.
Krewni i przyjaciele zbierają się, by czcić urodziny
egzamin, narodziny dzieci.
Choć to nie całkiem tak: jest ból
(wprawdzie mniejszy niż kiedyś)
a może niejasne uczucie, trzymane pod kontrolą.
Muszę odgrywać przeznaczoną mi rolę,
choć wasze oczekiwania i lęki
odmieniają mnie w kamień. Muszę wskazać kierunek
zgrupować pamiątki na drogę, muszę godnie pożegnać się
nie okazując jak mi będzie brak
tej naszej miłości, z której odchodzę.
Czas i miejsca nie mogą już mnie zatrzymać.
Jestem wolny, by zmienić się w was
w najczystsze wspomnienie.

Donald P.A. Pirie
tłum. Grzegorz Musiał

Donald P.A. Pirie (1956-1997) – brytyjski badacz literatury polskiej, poeta, tłumacz. Ukończył *School of Slavonic and East European Studies* Uniwersytetu Londyńskiego pod kierunkiem Jerzego Pietrkiewicza i *Emmanuel College* w Cambridge, gdzie zajmował się poezją Zbigniewa Morsztyna i kulturą arian. Od 1984 roku wykładał język i literaturę polską na Uniwersytecie w Glasgow. Jego wiedza, fantazja i niespożyta aktywność wkrótce zaowocowały konferencjami poświęconymi m. in. Janowi Kochanowskiemu, Międzywojniu, literaturze lat 80., licznymi publikacjami naukowymi w Wielkiej Brytanii i Polsce, a także spotkaniami autorskimi z udziałem m. in. Tadeusza Różewicza, Ewy Lipskiej, Jacka Woźniakowskiego czy Andrzeja Wajdy. Wydarzeniem kulturalnym 1989 r. stała się sesja artystyczno-literacka w Glasgow pt. *Polskie Rzeczywistości – sztuka polska w latach 1980-1989*. Ukoronowaniem jego pracy translatorskiej była antologia najnowszej poezji polskiej *Young Poets of a New Poland* (Londyn 1993). Trudu promowania kultury polskiej za granicą, z czego uczynił sens i cel swego życia – nierzadko, i to zwłaszcza w Polsce, niezro-



For. Archiwum „KA”

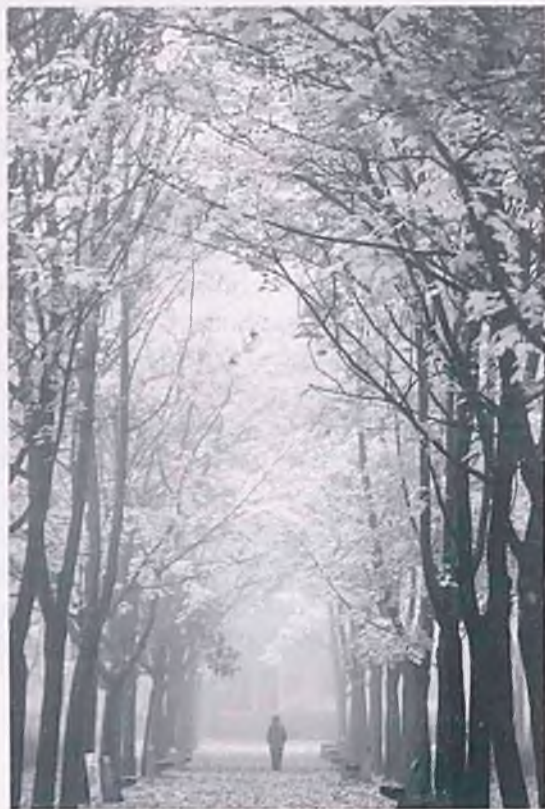
zumiany i niedoceniony – nie przerwały postępy choroby, którą znosił z męstwem i spokojem. Na parę tygodni przed śmiercią otrzymał wiadomość o przyznaniu Mu przez Ministra Kultury i Sztuki orderu „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Nie zdążył go odebrać, zmarł 2 stycznia 1997 r.

Są ludzie, po których zostaje brak niemożliwy do wypełnienia. Nieprędko na polsko-brytyjskiej scenie znajdzie się ktoś, kogo za miejsce spotkania obrały najlepsze cechy Naukowca, Artysty i Człowieka: dobroć, sprawiedliwość, przenikliwa inteligencja i pracowitość, wyobraźnia i najwyższej próby profesjonalizm. To, jak i miłość do Polski – „dziwna”, co sam przyznawał, bo pozbawiona najczęstszych w takich razach polskich paranteli – uczyniły z Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich Uniwersytetu w Glasgow jeden z ważniejszych w obszarze anglojęzycznym ośrodków promieniowania kultury polskiej. Trudno zliczyć artystów, którzy dzięki Donaldowi odwiedzili Glasgow jako bardziej lub mniej oficjalni goście (bo gdy zabrakło publicznych środków, sięgał do własnej kieszeni). Dbał też, aby stało się to okazją nie tylko do paru odczytów i przyjęć, ale i kontaktu z prowincją, z krajobrazem i obyczajem Szkocji, Anglii czy Walii.

Czując ciężący nad sobą wyrok, w 1994 r. rozstał się z uniwersytetem, by czas, jaki Mu pozostał, poświęcić nieukończonym projektom. Zdążył też zapewnić Wydziałowi następców, dzięki którym Polska nadal ma w Glasgow swoich sprzymierzeńców.

Kwartalnik Artystyczny, za zaszczyt poczytując sobie wieloletnią przyjaźń z Donaldem, łączy się w żalobie z Jego rodziną, współpracownikami i rzeszą przyjaciół w Polsce i na świecie.

Grzegorz Musiał



Fot. Jerzy Zegarliński

Agata Smalcerz

Andy Warhol w Bielsku-Białej

W Galerii Bielskiej BWA otwarto 21 stycznia wystawę prac Andy Warhola ze zbiorów Muzeum Sztuki Nowoczesnej Andy Warhola w Medzilaborcach na Słowacji. Jest to pierwsza po kilku latach – i jedna z nielicznych – wystawa prac tego artysty w Polsce. W czerwcu i lipcu 1991 r. eksponowana była w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawa „The Prints of Andy Warhol”, przygotowana przez Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Galeria w Bielsku-Białej korzysta z kolekcji, którą Fundacja Andy Warhola w Nowym Jorku przygotowała specjalnie dla Muzeum w Miedzilaborcach, miejsca, skąd pochodzili rodzice artysty. Słowackie Muzeum zdecydowało się na połączenie obchodów 10. rocznicy śmierci Andy Warhola, która wypadła 22 lutego 1997 r., z wyeksponowaniem całej kolekcji za granicą.

Wystawa obejmuje prace najbardziej charakterystyczne dla poszczególnych cykli i okresów twórczości Warhola. Dwadzieścia cztery oryginalne serigrafie, sygnowane przez artystę rozpoczyna słynna *Jackie II*, podwójny portret Jacqueline Kennedy, wdowy po zamordowanym prezydencie. Jej twarz, pełna smutku, trafiła na pierwsze strony gazet po tragicznym wydarzeniu w listopadzie 1963 r. i pojawiała się na nich przez wiele miesięcy później, podobnie jak uśmiechnięta twarz Marilyn Monroe, po samobójczej śmierci w 1962 r. Warhol zauważył, że dla Amerykanów nie ma żadnej świętości, albo inaczej, że na każdym, najtragiczniejszym nawet wydarzeniu można zarobić pieniądze. Fotoreporterzy docierają ze swoimi aparatami w najbardziej prywatne sfery życia znanych osób, a nagła śmierć jest dla nich szczególnie lakomym kąskiem. Z niezwykłą inteligencją zareagował na tę sytuację. Wykorzystując zdjęcie reproduktowane w gazecie, a więc ikonę znaną już każdemu, powielił ją również, ale przekształcając w sposób artystyczny. Multiplikował ten sam motyw w jednym obrazie, dodawał własne kolory, kontrastował je w sposób do tej pory nie spotykany. Twarz mogła więc mieć kolor fioletowy z zielonymi włosami, kolor zawsze był czysty, nakładany płasko. Akrylowe farby, z ich jaskrawością nadawały się świetnie do takich plakatowych zestawień, a różne wersje kolorystyczne tworzyły portfolio, np. dziesięć prac. Znając doskonale mechanizm funkcjonowania gwiazd współczesnej pop-kultury z łatwością sam wykreował się na taką super-gwiazdę. W przeciwieństwie jednak do innych, chronił swoją pry-



Andy Warhol, *Ingrid Bergman (The Nun)*, 1983

watność w bardzo specyficzny sposób: „Wolę pozostać zagadką. Nigdy chętnie nie opowiadam o swojej przeszłości, ale zawsze, kiedy mnie o nią pytają wymyślam co innego.” Tak więc dwa światy – jego dom, w którym mieszkał z matką i jej licznymi kotami, rozmawiał po rusińsku i co niedziela chodził do cerkwi grekokatolickiej oraz pracownia, słynna *Factory*, w której zbierała się cała nowojorska śmietanka artystyczna, ale również homoseksualiści, w której nagrywano filmy

i tworzono awangardowy *pop-art* – to były oddzielone ściśle od siebie enklawy. Jacqueline Kennedy, podobnie jak Marilyn Monroe czy Elvis Presley, nie mogli pozwolić sobie na luksus zachowania swojej prywatności. Ich życie było własnością publiczną, podobnie jak twarze, które stały się współczesną ikoną pozbawionego duchowości świata konsumpcyjnego. Warhol ten mit potęgował, ale i wykorzystał – dla własnej sławy, dla zdobycia pieniędzy. Skoro wszystko można sprzedać, dlaczego miałby na tym nie zarobić? Wychowany w ubogiej, pozbawionej perspektyw lepszego życia rodzinie, która wyjechała do Ameryki za chlebem i tylko chleba tam nie dorobiła – postanowił odbić sobie lata ubóstwa. Trafił w dzięśiątkę ze swoją sztuką, a że artystycznie jego prace były bez zarzutu – mógł je sprzedawać za wysokie ceny, gdyż bogatych klientów nie brakowało. Duże nakłady jego dzieł były jednakże ograniczone (każdy cykl liczył sobie od 5., 10. do maksymalnie 300. egzemplarzy). W każdej serigrafii, która – według założenia Warhola – nie wymagała „dotyku artysty” znalazła się jednak cząstką jego osobowości.

Widać to doskonale na wystawie. Oryginalne prace działają formatem, intensywnością czystych kolorów, emanują jakimś blaskiem. Zupelnym nieporozumieniem, natomiast są faksymile, podarowane również przez Fundację Andy Warhola dla muzeum w Medzilaborcach. Mniejsze wymiary, zgaszone barwy powodują, że ich postrzeganie nie wywołuje tego dreszczu emocji, co prace oryginalne. *Jacque II* to praca z 1966 r., będąca kolejną już wersją twarzy Jacqueline Kennedy. Podwójna głowa, drukowana czernią na fioletowym tle, zachowuje – mimo grubszego rastra wysokonakładowej gazety – specyficzny wyraz twarzy fotografowanej osoby. Warhol wykorzystywał wyciętą z gazety fotografię, ale większość portretów, którymi zrobił taką furorę w eleganckim, snobistycznym świecie powstała na podstawie jego fotografii. Spośród nich na wystawie znalazły się: *Billy Holiday* – chyba najpiękniejszy portret z cyklu *Ladies and Gentlemen* (1975), *Mick Jagger* (1975), sygnowany zarówno przez artystę, jak i modela, będący tym większą gratką dla wielbicieli lidera „The Rolling Stones”; *Ingrid Bergman* jako Zakonnica (*The Nun*) z cyklu trzech portretów tej aktorki z 1983 r., dwaj sportowcy – beżimienny łyżwiarz (*Speed Skater*) z 1983 i słynny hokeista *Wayne Gretzky*, wreszcie portret z samych szczytów hierarchii społecznej – serii czterech rządzących królowych *Reigning Queens* (1985) – *Królowa Ntombi Twala* z małego afrykańskiego kraju Swaziland. *Czerwony Lenin*, będący drugą wersją portretu przywódcy Rewolucji Październikowej, powstały w 1987 r. niedługo przed śmiercią artysty, kontynuując wątek przywódców totalitaryzmu zapoczątkowany przez cykl *Mao* (1972). Ideowo nawiązują do tego tematu również *Sierp i młot* (na wystawie dwie z cyklu czterech grafik) z 1977 r. Te prace, utrzymane w tonacji czystej, mocnej czerwieni, z elementami czerni, bieli i żółcienia są niemal apologią przedstawionych symboli. Podobnie, jak dla społeczeństwa amerykańskiego dobra konsumpcyjne, tak dla Europy Wschodniej symbole komunizmu były wciąż obecne w rzeczywistości codziennej. Warhola zaś interesowało to, co represywnie narzucano świadomości ludzi, poprzez mass media, reklamy, transparenty. Pozbawione pierwiastka duchowego, wyprane z mistycyzmu są zarówno towary masowej produkcji w Ame-



Andy Warhol, *Ladies and Gentleman (Billy Holiday)*, 1975

ryce, jak i puste symbole ideologiczne w krajach komunistycznych. „Chciałem namalować nic i znalazłem puszkę zupy” – Warhol zareagował na pustkę współczesnej cywilizacji w sobie właściwy sposób. Dwie z podwójnego dyklu puszek zupy Campbella (*Campbell's Soup II*, 1969) oraz butelka *Absolut Vodka* – to przykłady najbardziej sztandarowe owego nic na wystawie. Odmienną wymowę ma piękny motyl – *San Francisco Silverspot* z serii *Endangered Species. Gatunki zagrożone* to cykl, w którym znalazły się również m. in. *Tygrys Syberyjski*, *Orangutan*, *Czarny Nosorożec*, *Słoń Afrykański* i *Panda*. Przepiękne w kolorze rysunku obrazy uświadamiają nam, jak niewiele brakuje, aby zwierzęta te wyginęły całkowicie i pozostały na zawsze już tylko obrazkami na ścianie.

Bardziej neutralne w wymowie kwiaty (*Flowers*, 1970 i *Flowers – Hand Colored*, 1974) to czysto dekoracyjne formy, zapewne impresja kolorowanych wspólnie z matką rysunków i wyrabianych przez nią kwiatów z bibuly. Taką pamiątką wspólnych działań jest pięć faksymili *Bez tytułu*, przypominających wycinane ze złotego papieru, uzupełniane rysunkiem przedstawienia kotów, aniołków, bukietów – z czasów (lata pięćdziesiąte) gdy Warhol pracował jako grafik reklamowy.

Te radosne, pełne świeżości obrazki niezwykle kontrastują z upiornym wizerunkiem *Krzyszła elektrycznego* (1971, w dziesięciu wersjach kolorystycznych). Dopiero ta praca zestawiona z innymi wskazuje, że Warhol jednak był krytykiem, a nie apologetą społeczeństwa konsumpcyjnego, dla którego normą jest bezmyślne zaspokajanie potrzeb materialnych, i normą jest pozbawianie życia współobywateli, którzy – z różnych powodów – nie podporządkowali się kodeksowi prawnemu.

Śmierć stale towarzyszyła Warholowi. Często chorował w dzieciństwie, mając poczucie kruchości życia; skończył 14 lat, gdy zmarł jego ojciec, polecając opiekę nad najmłodszym synem Andrew jego starszym braciom, Paulowi i Johnowi. W 1972 r. zmarła najbliższa mu osoba, z którą mieszkał przez całe życie – jego matka. Andy sam cudem uniknął śmierci, kiedy postrzeliła go Valerie Solanas w 1968 r. Skutkiem tego zdarzenia były komplikacje zdrowotne, a w rezultacie śmierć po operacji woreczka żółciowego w 1987 r. Świadomość nieuchronności śmierci była najgłębszym pokładem sztuki Warhola, fizycznie objawiając w często stosowanej przez niego czerni, jako przeciwieństwa czystych kolorów. Dziesiąta rocznica śmierci artysty stała się okazją do pokazania jego sztuki w Polsce, w której – po zmianach polityczno-gospodarczych – bliżej nam do Ameryki lat sześćdziesiątych, niż kiedykolwiek przedtem.

Wystawa prac Andy Warhola uzupełniona jest zdjęciami archiwalnymi, które ujawniają bardziej prywatną sferę życia artysty oraz fotografiami Billy Name'a, fotografa, który towarzyszył Warholowi podczas wydarzeń artystycznych w jego *Factory*. Są to zdjęcia dotychczas nie pokazywane w Polsce i opublikowane po raz pierwszy w katalogu wystawy.

Agata Smalcerz

Galeria Bielska BWA, *Andy Warhol*, 21 I – 22 II 1997; *Natasa Hrisenkova* kurator wystawy.



*** Joanna Celewicz

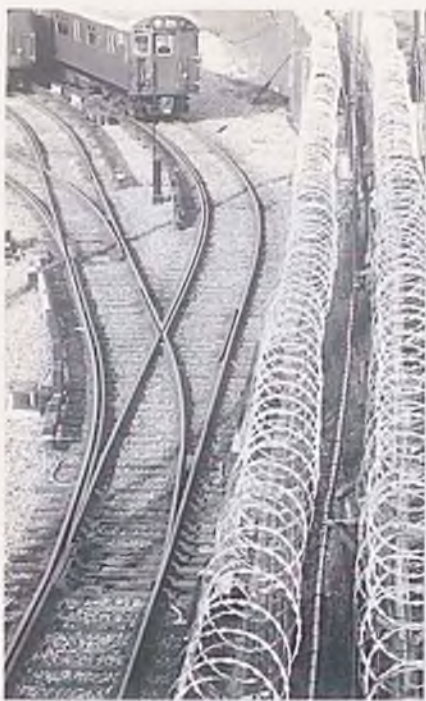
Galeria Jednej Strony

Cisza czułości

Jeziro lśni tuż przy brzegu. Odpryskiem światła. Smugą źródła, jakby stamtąd wydobywał się blask, co zaraz i potem rozblękitnił wodę w wymalowaną jej czystość. Wzgórza wokół zostały przyciemnione. A te dalej i dalej, nasycił głębokim, niebieskim chłodem. Rozświetlił jeszcze niebo, wąski pas u góry obrazu. Tak dzieje się jezioro źródłem pejzażu Joanny Celewicz. Artyska z niezwykłą prostotą, wycuciem koloru, atmosfery zjawiska, potrafi ukazywać dziwną aurę rzeczy zwykłych. Znajduję to tak, jakby przedstawiono ich nieustanną świeżość. Zdarzenie, kawiarniany stolik, staje się w obrazie momentem jasnego, łagodnego piękna. Jakby przejrzystość doznania. Przejrzystość wycutej, zasmakowanej chwili zdaje się być zanotowana swobodnie, czasami przy pomocy dość oszczędnie użytych środków malarskich. W całości można zaobserwować pewną subtelną czułość widzenia; pejzaży, wnętrz, rzeczy. Obrazy zawierają moment dostrzeżonej istoty zjawiska, skupienie nad jej wyrazem. Swoistą delikatność opowiadania barwami i formą. Taki rodzaj uśmiechniętego milczenia... Krzesło. Wzorzysty dywan na podłodze. Ściana niebieska. Siedzący przy niej kot. Kot baraszkujący na półce. Okno. Za nim noc z ciepłymi światłami w oknach tamtych domów. A wszystko nasycone spokojem i światłem, co napęnia dom, to wnętrze, z którego widać blask innych wnętrz. Inny obraz przedstawia australijski krajobraz o niesamowitym kolorze nieba i gorących barwach skal. Tutaj źródło światła jawi się w dali, na niebie, a skały mienią się ciepłem. Drzewa na ziemi są wątłe i jasnobłękitne. Nawiązanie do rzeczywistości jest wyraźne, ale poprzez konkret i wszystkie te kolory i formy, widać jeszcze, jak jaśniej to źródło, ta pogoda malującej osoby. I to także jest do odnalezienia w obrazach. I myślę, że dla każdego. Poza nimi również.

Waldemar Kakareko

Joanna Celewicz, ur. 1956 r. w Nowym Sączu, dyplom Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w pracowni malarstwa sztalugowego prof. Jerzego Nowosielskiego 1994.



Fot. Jerzy Zegarliński

Jednoosobowe pole działania

z *Jerzym Zegarlińskim*

rozmawia *Grzegorz Kalinowski*

Grzegorz Kalinowski: *Czy zgadza się Pan z tym, co napisał Cortazar w swym opowiadaniu „Babie lato”, że „wśród wielu sposobów zwalczania nicości jednym z lepszych jest fotografowanie”. Na motywach tego utworu Antonioni nakręcił film „Powiększenie”. Pewnie Pan go widział. Opowieść o artyście fotografiku...*

Jerzy Zegarliński: *Zwalczanie nicości. Nicości nie można zwalczać, bo nie istnieje. Każda kreatywność, twórczość, jest aktem zwalczania nicości, jeśli pójsz już tym tropem. Nikt nie dostrzeża motywu, szczegółu, obrazu, pewnej konfiguracji rzeczywistości, które widzę ja. Widzę nicość, ale ona dla mnie nie jest już nicością. W tym sensie była nicością. To ja niszcę nicość, neguję jej istnienie. A narzędziem, którym się posługuję jest aparat fotograficzny. Powiedziałbym, że jest wiele nicości do odkrycia. Film Antonioniego widziałem. Uważam, że główny bohater poszedł w swym działaniu zbyt daleko, zabrnął w ślepy zaułek. Zaczął kreować sztuczną rzeczywistość, „przedobrzyć”, wpadł we własne sidła.*

G.K.: *Jaka jest Pańska postawa, stosunek emocjonalny wobec rzeczywistości, którą Pan fotografuje?*

J.Z.: *Najogólniej można to określić jako afirmację świata, jego piękna i brzydoty, które zjawiają się razem. Co to w ogóle jest piękno? W brzydocie też odnaleźć można piękno. Nieustannie towarzyszy mi żywiołowość i intuicja. Uciekam od jakiegokolwiek filozofii, która tłumaczyłaby to, co robię, etykietek i szufladkowania. Obserwuję to, co mnie otacza, wybieram zdarzenia, sytuacje, szukam wzajemnych układów między barwami, kształtami, liniami. Dostrzegam zewnętrzne konfiguracje oddziaływujące najpierw na oko, później na umysł, trzeba coś zobaczyć, a później dopiero rozpoczyna się praca analityczna. Nie mam żadnego programu, czy manifestu. Nie dorabiam do tego, co robię żadnej filozofii. Nie komentuję swej sztuki. To, co robię jest do oglądania. Fotografia ma przyciągać oko, musi się chcieć ją oglądać. A przyjemność patrzenia wynika z bardzo różnych powodów. Podobnie jest w malarstwie. Ten obraz jest wartościowy, który chce się oglądać nieustannie.*

G.K.: *Z zawodu jest Pan archeologiem. Jak to się stało, że zainteresował się Pan fotografią, najpierw reporterską, później malarską?*

J.Z.: Początki to lata sześćdziesiąte. Już wtedy zajmowałem się fotografią barwną. Olbrzymi wpływ miał na to mój ojciec, fotografik. Później była przerwa. W czasie pobytu w Nowym Jorku, wróciłem do młodzieńczych fascynacji, robiąc fotografie reporterskie dla czasopism amerykańskich. Opowiadałem za pomocą aparatu historie, anegdoty. Pojawiła się też fotografia malarska. Nigdy nie robiłem fotografii studyjnej. Ważną rolę w moich działaniach odgrywa szczególnie, co z pewnością wiąże się z zawodem archeologa, który wymaga analitycznego widzenia. Szczegół staje się podstawą całościowego obrazu.

G.K.: *Jakie są inspiracje Pańskiej twórczości?*

J.Z.: Nie mam mistrzów. Na pewno widoczne są jakieś odniesienia do pop-artu czy hiperrealizmu, ale to nie jest programowe. Rzeczywistość jest krzykliwa, drapieżna i napastliwa. Dlatego kojarzę ostre, kontrastowe barwy, ale na ile jest to świadome, a na ile podświadome, trudno powiedzieć. Na pewno moje fotografie mają pewien podtekst socjologiczny, np. zderzenie na tym terenie kultury amerykańskiej i rosyjskiej na fotografii prezentującej fragment cerkwi i reklamy Coca Coli. Bardzo cenię malarstwo współczesnego malarza amerykańskiego Jaspera Jonesa. Często korzystam z gotowych dzieł sztuki, fascynuje mnie jednak tylko ich przetwarzanie. Inne źródło inspiracji to natura – świat przyrody, ale także przetworzony często w sposób świadomy lub nie, przez człowieka. W fotografii reporterskiej jest miejsce na dystans, ironię czy groteskę. Podstawą fotografii malarskiej – symbol, znak.

G.K.: *Simone Weil mówi, że „dystans jest duszą piękna”.*

J.Z.: Tak, ale zależy skąd się ten dystans bierze. Może go budować strach, poczucie wyższości czy wreszcie nieśmiałość. Najbardziej odpowiada mi ta ostatnia możliwość. To moja nieśmiałość, którą odczuwam wobec świata każe mi go postrzegać – ani jako piękny, ani jako brzydki, po prostu takim, jakim jest. Niczego nie chcę udowodnić, niczego kształtować, czy zbawiać kogokolwiek. Zatrzymać efemeryczny kształt, umykającą chwilę – to jest najważniejsze. Irytuje mnie pytania czym jest dla mnie fotografia, pytania o jej sens. To po prostu ta sfera, w której jestem niezależny, bez jakichkolwiek wytycznych, bez opinii kogokolwiek. Jednoosobowe pole działania.

G.K.: *Jakby ucieczka przed formą?*

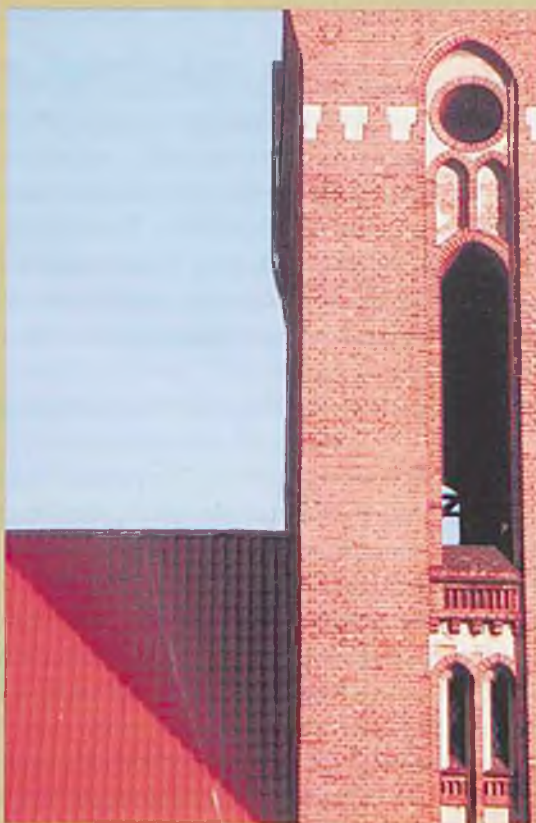
J.Z.: Może inaczej – poszukiwanie niszy wewnątrz tej formy, która tą formą nie jest. Coś w rodzaju obrony przed schematem, nieładem, przypadkowością czy chaosem, przed którymi być może naprawdę nie ma ucieczki.





Bydgoszcz

w fotografii Jerzego Zegarlińskiego







V A R I A

Michał Głowiński

Rudy Jasio

Oczywiście, wiedziałem, kim jestem, nigdy o tym nie zapomniałem, wciąż myślałem o konsekwencjach, jakie dla mnie z tego faktu wynikają, nie wiedziałem jednak i wiedzieć nie chciałem, kim są inni. Po prostu nie zastanawiałem się, czy wokół mnie przebywają tacy jak ja, do mnie podobni, również skazani na to, co najgorsze. Ta sprawa znajdowała się poza zasięgiem mojej refleksji, w ogóle starałem się zachowywać w ten sposób, jakbym w takim położeniu był jedyny, dopiero wiele dziesięcioleci później dowiedziałem się, że siostry w Turkowicach przechowały i uratowały ponad trzydzieścioro żydowskich dzieci, a więc niezmiernie, wręcz nieprawdopodobnie dużo, co siódmy czy co ósmy z wychowanków był naznaczony pochodzeniem, którego ujawnienie równało się wyrokowi śmierci. Niekiedy jednak nie myśleć o tym nie mogłem, a działo się tak wówczas, gdy ten czy ów powiedział coś, co go demaskowało i stanowiło nieostrożność. Pewien mój równolatek, lub niewiele tylko młodszy, opowiadał przy jakiejś okazji, że ma taką dziwną ciotkę, która w pewnym momencie zaczęła chodzić do kościoła, ale nie umiała się w nim zachować i w czasie nabożeństwa robiła różne omyłki, czy wręcz rzeczy niestosowne. Od razu zorientowałem się, o co chodzi, pomyślałem: cóż za kretyn, powiadamia przecież kolegów, że owa dziwna ciotka jest Żydówką, a więc, że on także, skoro ma taką ciotkę, jest Żydem. A ja nigdy niczego, co mogłoby mnie dekonspirować, bym nie opowiedział; istniał już we mnie sprawnie działający system ostrzegawczy, który włączał się momentalnie, gdy tylko na język nasuwało się coś, co mogłoby – choćby w sposób pośredni – świadczyć o moim pochodzeniu. Głęboko uwewnętrzniłem reguły ukrywania się, byłem ich dobrze świadom, dbałem o to, by się im nie sprzeniewierzyć. Czasem tylko działało przeciw mnie coś, czego nie mogłem przewidzieć. Zanim wyszedłem z getta, przebywałem niemal wyłącznie wśród dorosłych, przyswoilem więc sobie słowa, których moi turkowiccy koledzy nie znali, były dla nich niezrozumiałe – i wydawały im się podejrzane. Kiedyś użyłem wyrazu „archipelag”, zadźwięczał on dla nich dziwacznie. Któryś z chłopaków uznał, że wszystko, co brzmi obco, jest żydow-

skie – i orzekł: on jest Żydem, bo mówi po żydowsku. Od tego czasu zabiegałem, by nie używać słów, które mogłyby budzić podejrzenia moich kolegów, choć doskonale byłem świadom, że z językiem żydowskim nie mają nic wspólnego. Szybko zresztą o nich zapomniałem, a moje słownictwo stało się proste i swojskie jak to, którym się posługiwali ci, wśród których żyłem.

Wspominam o tym, by przypomnieć sytuację chłopca, która była całkiem inna, bo wszyscy wiedzieli, że jest Żydem. Utrwalił się w mojej pamięci jako Rudy Jasio – myślę, że tak go właśnie nazywano, choć wykluczyć nie mogę, że pamięć moja nie całkiem jest wierna. W tej materii wszakże nie mam wątpliwości: wszystko, co w tej ponurej historii ważne, w pełni odpowiada faktom i wolne jest od zmyślenia. A jak się nazywał, nie wiem. Gdy zjawił się w Turkowicach, nosił zapewne jakieś żydowskie imię i nazwisko, ale siostry postarały się o fałszywe papiery tak, by – jak my wszyscy – nazywał się po polsku; był to pierwszy warunek, jaki należało spełnić, gdy chciało się kogoś uratować. W razie niemieckiej kontroli przynajmniej papiery powinny być w porządku.

Zjawił się w Turkowicach na kilka miesięcy przedtem, zanim mnie tam przywieziono, zjawił się sam, nikt go nie przyprowadził, zjawił się krańcowo wyczerpany i wygłodniały, podobno już na skraju życia i śmierci. Powiedział, kim jest i poprosił o pomoc. Miał chyba czternaście lat i długą historię za sobą. Pochodził ze Lwowa, stracił całą rodzinę w czasie likwidowania getta, jemu cudem udało się uniknąć śmierci, nie wiem, w jaki sposób. Nie znalazł żadnej osoby, do której mógłby zwrócić się z prośbą o wsparcie i ratunek, wyruszył w świat, mając nadzieję, że ocalenie znajdzie poza swym rodzinnym miastem. Chodził od wsi do wsi, od lasu do lasu, przystawał, gdzie się dało, prowadził życie uciekającego przed myśliwymi zwierzęcia, żebrał u okolicznych chłopów o jedzenie, jedni mu je dawali, inni przeganiali. Przeszedł dużą trasę, jeśli się zważy, że w swej ucieczce przed zagładą ze Lwowa dotarł w okolice Hrubieszowa. Kiedy był już u kresu wyczerpania, ktoś mu poradził, by skierował się do Turkowic, bo tam są dobre siostry i na pewno nim się zaopiekują. Tak też się stało. Nie ukrywał, kim jest, ukrywanie z pewnością nic by nie dało, trudno było cokolwiek zataić z tego, co się składało na położenie zaszczywanego żydowskiego chłopca, wszystko było od razu widoczne. Nie wahano się ani chwili – Siostra Przełożona, dobry duch Turkowic, zdecydowała natychmiast o przyjęciu niespodziewanego przybysza, choć niewątpliwie musiała o tym myśleć, że jest to podwójnie niebezpieczne, bo zjawił się nie zakonspirowany: nie wśród polskich dzieci, jako jedno z nich, ale jako zablakany żydowski tułacz, który nie miał żadnych danych, by zamaskować, czy choćby tylko nieznacznie zakamuflować swoje pochodzenie. I szybko rozeszła się wieść: przyszedł żydowski chłopak i został przyjęty.

To, co opowiedziałem do tej pory, należy z mojego punktu widzenia do prehistorii, bo działo się wówczas, gdy mnie jeszcze w Turkowicach nie było ale – jak się domyślam – niemal o tym się mówiło, skoro zapamiętałem wydarzenia, których naocznym świadkiem nie byłem. Rudy Jasio zapisał się w mojej

pamięci z pewnością nie tylko dlatego, że jego historia stała się powszechnie znana, zapisał się, bo się wyróżniał, odznaczał się zatem właściwościami szczególnie niekorzystnymi w świecie, w którym jednym z warunków przetrwania stała się mimikra, a więc możliwie najpełniejsze upodobnienie się do otoczenia – tak, by być kimś najmniej widocznym, szarym, jednym z wielu. A Rudy Jasio nie był szary, choćby z tej racji, że rudziny jego włosów nie można było nie dostrzec, już ona przyciągała ku niemu uwagę. A ponadto mówił trochę inaczej niż się w Turkowicach mówiło. Nie chodzi mi o naleciałości żydowskie, bo jeśli dawały o sobie znać, to z pewnością łatwo się było ich pozbyć – choćby właśnie na zasadzie mimikry. W turkowickiej mowie też trochę śpiewano i zaciągano, ale on robił to dużo intensywniej, bardziej kresowo, z lwowska, a więc także sposób wysławiania kierował ku niemu uwagę.

Zapamiętałem go, mimo że był w innej grupie, bodaj tej, którą opiekowała się siostra Józefa. Wyróżniał się czymś jeszcze, był niezmiernie ruchliwy i towarzyski, znali go wszyscy i w jakiejś mierze aprobowali, co tym dziwniejsze i godne podkreślenia, gdyż wielu chłopców do Żydów sympatii nie żywiło; przyswoili oni sobie wyobrażenia i wartościowania lansowane przez rasistowską propagandę, a nie mogli mieć wątpliwości, kim on jest. W tej osobliwej społeczności, jaką tworzyli turkowiccy wychowankowie, w sposób żywiołowy kształtowały się hierarchie i zależności, jedni podporządkowali sobie drugich, a czasem ich wykorzystywali. W jej życiu szczególną rolę grali ci, którzy mieli zdolności przywódcze, to oni skupiali wokół siebie kolegów, organizowali ich takie czy inne poczynania. Watażków, należących – co zrozumiale – do grupy chłopców starszych, było przynajmniej kilku, znano ich powszechnie, niekiedy nawet podziwiano – to im przyglądali się młodszy, czasem z fascynacją, czasem z obawami lub nawet ze strachem. Rudy Jasio do watażków nie należał, z oczywistych powodów należeć nie mógł. Nie był wszakże jednym z tych, co kryli się po kątach, a stałym ich marzeniem było znalezienie czapki niewidki, która zapewniałaby im istnienie w cieniu, czy wręcz – niewidoczność. Wszędzie go było pełno, a intensywna rudzina włosów sprawiała, że łatwo go było dostrzec i zapamiętać. Dość szybko zaczął wśród kolegów odgrywać pewną rolę, liczono się z nim, zajął względnie wysoką pozycję w nieformalnej hierarchii, mającej swoją wagę wśród kilku – czy kilkunastoletnich chłopaków. Nie przewodził, ale łączył, wypracowywał więzi, a to również w tego rodzaju społeczności ważne.

Kiedy dzisiaj, po więcej niż półwieczu, powracam do jego osoby, myślę przede wszystkim o jednym – o intensywniej i żywiołowej woli życia, tej woli, która w sezonie wielkiego umierania pozwoliła mu uciec przed śmiercią, wymknąć się jej gęsto nastawionym sieciom, uniknąć wszelkiego rodzaju pułapek, w które można było wpaść za sprawą choćby jednego niefortunnego gestu. Myślę o woli życia, która pozwalała znosić cierpienia najbardziej dotkliwe i ani na moment nie dopuszczała załamania czy rezygnacji; być może zdawał sobie sprawę, że wszelkie wygaszenie energii czy choćby jej osłabienie wzmacniało szanse śmierci i mogło się równać biernej zgodzie na nią. Do pewnego momen-

tu mu się udawało i zapewne miał nadzieję, że dotarwszy do Turkowic przetrwa, ocaleje, dożyje końca wojny. Stało się jednak inaczej. Zginął. Zginął na krótko przed tym, zanim tereny te opuścili Niemcy. Zginął zresztą nie z rąk niemieckich, ale ukraińskich. Zginął nie jako Żyd, co w tym sezonie wydawać się mogło niezwykle lub wręcz paradoksalne – i być traktowane jako przejaw ironii losu, naruszającej porządek rzeczy ustanowiony w czasach Zagłady. Rudy Jasio zamordowany został wraz z siostrą Longiną i kilkoma innymi chłopcami. To straszne wydarzenie zasługuje na osobną opowieść.

Michał Głowiński

Grzegorz Musiał

Dziennik z Iowa (IX)

Vancouver, 1 I 90

Temu domowi potrzeba mężczyzny! MĘŻCZYZNY! Spokojnego głosu, który uporządkuje świat rozedrgany od babskiej hysterii, od gubienia torebek, latania od kuchni, gdzie przypala się stek, do pokoju, gdzie Michaś ogląda szkodliwy program telewizyjny, od tików, którymi zaczyna chodzić cała jej twarz, już już gotująca się do wybuchu; od nieporządku w głowie, strzępków filozofii, pokrętnych pseudoreligii, od wychowywania tych, którzy nie podporządkują się jej bałaganowi, od terroryzmu nieopatrznych słów, od bomb poczucia winy, którymi zarzuca świat, od strzelania zza rogu w tych, którzy „nigdy nie zrozumieją” kobiety porzuconej przez męża i wychowującej syna wedle dziwnego pomieszania roli: matczynej z ojcowską; papieskiej z diabelską; altruistycznej – czyli zgodnej z tym, co na ostatniej mszy wykladał ksiądz Michałowski – z egoistyczną, odpowiednią do tego, co Michasiowi na którejś lekcji wrzasnęła bogata chińska dziewczynka: „Who cares about Poland!”

„Who cares about China!” odwrzasnął jej w rewanżu Michaś i prawie doszło do bójki, za którą Pani ukarała Michasia. Albowiem, jak twierdzi Michaś, mama Chinki (jedna z tych, którzy całą falangą krewnych i pociotków zjeżdżają tu z Hongkongu, by otworzyć sklep lub restaurację) daje Pani prezenty. Ostatnio było to dwanaście szklanek, każda obrębiona złotem.

Robi mi się mdło od tej opowieści – przypominam sobie tęgą, młodą pannę Romero z akademii gwiazdkowej, zorganizowanej w sali gimnastycznej Micha-

sia szkoły. Najgośniej, z najszerszym uśmiechem dziękczynnym ciągnęła hymn „O, Canada”, złymi błyskami oczu upominając inne dzieci, by czyniły to samo, przez co przypominała osobę lykającą na przemian to cukierki, to żabę. Michaś stał w ostatnim szeregu z boku i coś mamrotał. Moja Siostra w zdenerwowaniu gryzła paznokcie. „Ja mu pokażę!” Co? Za co? Że się nie pcha. Tu trzeba się pchać. Ostro, do przodu. On zawsze ostatni.

A tu trzeba nosić prezenty, siostrzo. To dlatego, gdy wracali z akademii i dzieci runęły po schodach potracając Panią Romero, tylko Michaś został skarcony i ukarany. Prezenty, prezenty... smród fałszu i przymilności, który pamiętam z Polski. Myślałem, że to tylko tam... w tamtych potwornych tysiąclatkach dzieciństwa, gdzie na Dzień Nauczyciela zapelniały się rajstopkami w celofanie i bombonierkami od Wedla stoły zazwyczaj nadętych samoobronie, ale w tym dniu rozpromienionych (względem Matek Wybranych) gąsek po przyspieszonych kursach socjalistycznej pedagogii, nie mających pojęcia, jak ich przełożeni, co robić z tą nędzną wiedzą, więc wykładających i śpiew, i polski, i historię, i gimnastykę i egzekwujących to bezwzględnie od takich właśnie Michałków, donoszących buty po starszym synu sąsiada... A więc ciągnie się to przez wszystkie kontynenty i demokracje – paskudna roślina duszy ludzkiej, z którą i oni sobie nie poradzą, choćby się uśmiechali najśłodziej, bujali najszczerzej, choćby wymyślali błogą nieśmiertelność.

Mężczyzny! MĘŻCZYZNY! Gdy gołę się rano, w uchylonych drzwiach łazienki dwie zachwycone pary oczu, które po cichu śledzą każdy ruch pędzla i mazyńki po mych namydlonych policzkach. Matka i syn. Odrzuceni. Zamknięci w kokonie podnajętego mieszkanka, związani pępownią, oplątani siatką izolacji we wrogim świecie, którego ofiarą ona już jest (choć otrzymuje od „O, Canada” zasilek dla bezrobotnych, a jakże) a on – będzie. Chyba, że matka opamięta się kiedyś i zacznie Pani Romero podcierać tylek uperfumowanym papierem toaletowym ze sklepu mamy-Chinki, przedstawicielki kultury o tyle starszej od nas, o ile z tej naszej miotaniny, oglądanej ich beznamiętnie zmrużonymi oczami, biorą dla siebie co najlepsze i mnożą się, mnożą, pchają do góry, aż po ośnieżone szczyty Kordylierów nad miastem Vancouver.

Tego samego dnia, wieczorem.

Rozdzierający widok skarbów MS, które przy ścieleniu łóżka wypadły z pudełka z kurantem, trzymanego przez nią pod moim materacem. Srebrne serduszko z krzyżykiem, mały złoty pierścionek, kolorowe emaliowane odznaki, jakie rozdawano przez paroma laty przy wejściu na Expo... Gardło mi się ścisnęło. Szczególnie, że rozstrzygająca bitwa wpełzła między nas dziś wieczorem. Powód? Jakieś, podobno, nie dość czule czy nazbyt szorskie odezwanie się do Michasia, gdy on marudził, a ja pisałem. Czy będziemy jeszcze bratem i siostrą? Wpełzła pod dach cicha nienawiść, gorzej, lekceważące milczenie. Nie będę tym mężczyzną, którego potrzebowała. Nie siłowałem się z Michasiem na dywanie,

nie delektowaliśmy się we troje smakiem margaryny, jaką pokazują na telewizyjnych reklamach, nie gonił nas płowy pies, ona nie smażyła barbecue i nie wołała nas z werandy... Zmijcie słów – wszystkie minione sprawy, klótnie, złe chwile. Nie było krzyku, było rozstanie. Wspólna krew, której przypisujemy jakieś mistyczne znaczenie, właśnie dlatego dzieli, że jest wspólna. Nie można od niej uciec. Dlatego (choćby w sferze pozorów) lepiej iść osobnymi drogami. Nie dręczyć siebie, nie doświadczać cudzego cierpienia, które ma być nasze.

Jak ja stąd wyjadę? Bilet mam z Seattle, do tego taki, że nie mogę go przerwować bez jakichś obłądnych kosztów. A w kieszeni ledwie czterdzieści, książeczka czekowa – tu bezużyteczna. Własne skąpstwo zastawiło na mnie wnyki. Nie skąpstwo, a raczej złudzenia – że może ona zmieniła się tu, w Kanadzie? Bez stanu wojennego, wspólnej biedy, mojego więzienia, bez „ócz matki”, od których niejeden zwariował. Boże wybacz, tak kończę pierwszy dzień Twojego Nowego Roku. Zgarniam z dywanu tanie skarby MS i znów pod materac chowam. Jutro Brian zabierze mnie w góry – cały dzień wśród innych, na szczęście, choć jeszcze bardziej obcych ludzi. Przynajmniej pobawimy się w te gry uprzejmości i zachwyków, dzięki którym ludziom obojętnym sobie – jednak jakoś się żyje. O Kanado, Kanado... nie zobaczę cię więcej kraju Mejej Siostry, w którym ani ona nie umie żyć, ani ja nie umiem twej pięknej twarzy lasów, gór i jezior ujrzeć inaczej, jak wykrzywionej w złości, gorzkiej, udręczonej. Twarzy kobiety zasługującej na miłość, a nie kochającej nikogo, prócz syna i przez nikogo, prócz syna – rozpaczliwie, w karności małego żołnierza wciąż stawianego wobec zadań, w które wierzy, że im podola, choć są ponad jego siły – nie kochanej.

3190

Z przyjemnością przyjrzałem się prostej, ładnej dacie. Wszystkim się zdaje, że początek nowej dekady (w kombinacji z końcem tysiąclecia) oznacza coś nadzwyczajnego. Wszystko się zmieni, ludzie będą lepsi, politycy moralni... Właśnie o moralność w polityce woła czeski prezydent Havel – oto skutki mieszania porządku rzeczy: czynienia pisarza prezydentem. Od początku zdawał mi się wysoce podejrzany – mimo, że czuję do niego sympatię (może to jakaś – *toutes proportions gardées*, bo on siedział parę dobrych lat – solidarność więzienna?) i może dlatego, że NIE lubię jego sztuk (przeminają, jak wszystko na tej ziemi, ale one akurat szybciej) a może, że w ostatnich latach w Polsce tyle było szumu wokół niego. Havel, ach Havel... Robiła to – zadziwiająca sprawność, zaiste! – jednoosobowa firma J., bohemy i mojego przyjaciela. Pamiętam, tuż przed Okrągłym Stołem, nabity tłumem Teatr Powszechny – jednoaktówki Havla w przekładach J.! Michnik z Odezwą! Pan Premier Rakowski z Małżonką! (liberal, psia mać). A wśród tego – mój przyjaciel zaafierowany, wszędzie węższy spisek UB, tu specjalnie korki wyłączyli, tam Michnik zagłuszony Karelem Gottem z głośników, sensacja! konspira! Po przedstawieniu – szaleństwo w oczach Doroty – „to co, na wódcę na Kopernika?” – czyli do lokalu prasowego Wałęsy.

Wszystko, jak to w Polsce, przesadne – nie dość albo za bardzo. Skąd nagle tyłu Czechów wśród książek z podziemia! Sam tu i ówdzie coś o nich popelnilem. Poddany wibracjom J. coś wtedy czulem, czego tu nie czuję. Wrócili na swe miejsce – tu, gdzie tyle wszystkiego – obojętni, co jest uczuciem prawidłowym, albowiem nic mnie z nimi nigdy nie łączyło poza Szwejkim, paroma Kunderami oraz poznaniem w zeszłym roku w Waszyngtonie pisarza Arnosa Lustiga i pisarza oraz wydawcy z Pragi Jarosława Weissa. Bardzo mili obaj, tyle że po paru chwilach rozmowy Jarosław otworzył oczy na nazwisko „Gombrowicz”.

– Ach... jest taki, ale go nikt u nas nie czyta...

Tomasz Mann, proszę, Heinrich Böll proszę proszę, Günter Grass jeszcze bardziej. Potem tłumaczył gęsto i filozoficznie, jakie różnice historyczne i kulturowe zabraniają Czechom wziąć do ręki Gombrowicza. Gdy mu to samo powiedziałem o Skvoreckym, litościwie się roześmiał.

Czesi mają silne lobby w USA – są zręczni, praktyczni, racjonalni. Niezgrabni i emocjonalni Polacy nie mają lobby w USA, zaś paru zręcznych i racjonalnych (i wśród nas tacy się zdarzają) nazbyt wpatrzonych jest w luny Zachodu, aby palcem kiwnąć dla swoich. W końcu nie wiem, co lepsze – ich zimny lód czy to, że w następnym tysiącleciu Niepodległa Polska znów nie będzie nic innego robić, jak godzić się z sąsiadami. I znów w jaśnie oświeconych gazetach pełno będzie Demlów, Fuksów (dobra literatura, nie ma co, ale przecież nie o to chodzi) produkcji J. and Co. w imię jakiegoś kolejnego kitu o „posłannictwie”, powtarzanego po warszawskich kawiarniach, KiK’ach i Klubach Obywatelskich, dopóki myszy nie zjedzą ostatniego świętego Tomasza z Akwinu na ostatniej półce z książkami ostatniego polskiego inteligenta klasy światowej.

Ach, dość o tym... chciałem przecież o śniegu, o świerkach i o rzece Fraser, która pienila się przelomami, gdyśmy jechali gdzieś za Manning, w górę, w górę, potem w dół, szalonymi zakosami szosy, aż do ciepłych źródeł w Harrison Hot Springs. W przydrożnym barze ciepła szynka na kanapce i chwila z Tracy Chapman, śpiewającą z głośnika nad *soda fountain*, potem obfity lunch w sterylnym hotelu japońskim na brzegu jeziora otoczonego górami. Skośnooki kelner, śmiejąc się bez przerwy powiedział, że te góry czasem się trzęsą, na razie nie się nie stało, ale jeśli taka kiedyś wleci do jeziora, to fale zmyją hotel i całe miasteczko. Zadrżałem. A więc i tu, w tej radosnej British Columbi, pogrążonej w delibarcjach nad kulturowymi związkami z Anglią, jest jakiś cień strachu... dekadencji...? Nie, za dużo powiedziane. Oni przecież obrażają się o każdy bardziej wyrafinowany żart, którego nie rozumieją, i myślą, że to z nich się śmieje.

Brian, właściciel eleganckiego, nie powiem, sportowego samochodu barwy czerwonej, którymi po górach pomykaliśmy – zanudzał mnie trochę opowieściami o programach pomocy upośledzonym. To jego działka, z tego (nieźle) żyje. Przypomniałem mu historię o trzech wielorybach, uwieczonych w jakiejś zatoczce, w jakimś lodzie. Przez parę dni cała Kanada szlochala, posyłała pieniądze, gryzła palce przed telewizorami. Ale wśród ciotek z Langley, obserwujących kolejny rajd samolotów izraelskich na palestyński obóz, nie dostrzegłem

już takiego wzburzenia. Prawdziwe twarze kobiet nad poszarpanymi zwłokami dzieci zbyt wiele i zbyt nieprzyjemnej prawdy mówią nam o nas samych. Kultura instytucjonalnej dobroci likwiduje ten absmak – podsuwając za to baśń Dobrych Serc, telewizyjną kampanię na rzecz topiącej się w kaluży biedronki.

Brian chyba się obraził. W końcu z tego żyje.

*

Cóż pozostaje? Pisać, pisać. Właśnie tu, w tym naszpikowaniu telewizyjnym bajaniem tłucze mi się po głowie twarde beckettowskie „zostaje tylko to, co napisane”.

Wczoraj na kolacji u Briana i Trish, pani psychiatra Sue aż dwa razy podkreśliła, że jest *five generations Canadian*. Na Amerykanów krzywiła się – „żyjemy obok słonia”. Potem w samochodzie, którym odwozła mnie do Surrey, przekonywała mnie, że Amerykanie masowo przechodzą na obywatelstwo kanadyjskie.

Telewizyjna sonda: pięćdziesiąt procent Kanadyjczyków nienawidzi Amerykanów.

Za to sto procent Amerykanów przepada za Kanadyjczykami. Sytuacja, wypisz wymaluj, jak Polski z Litwą.

Od rana obrażona mina MS – „całe wczoraj bez niej”. Kąśliwie (i z niepokojem) – „polubili ciebie...?” Następnie podwinęła nogi w wygniecionym miejscu na kanapie i tłukąc orzechy wzięła sobie odwet „na nich” opowieścią o rodzinie męża – ukraińsko-kanadyjskich Czepesiukach, którzy w zamierzchłej przeszłości przygarnęli jego wuja, męża Becky – George’a, gdy w wieku ośmiu lat, po śmierci matki, wyemigrował z Ukrainy. Głowa rodu nazywa się teraz Chapswick – ma siwą lwią grzywę i dostojny lordowski wygląd. Zasiadł obok MS po jej przybyciu do Kanady, podczas powiatalnego obiadu u Becky, by zgorszyć się, że nie mówi po rosyjsku, potem – że nie mówi po ukraińsku, a gdy przyznała się do niemieckich paranteli, wstał i resztę wieczoru jej unikał. Mimo to przysłał dar – czek na dziesięć dolarów, gdy jej mąż umknął na Nową Funlandię, nie mogąc dłużej znieść swego alkoholizmu i jej humorów. Do czeku dołączona była broszura Lorda Chapswick, w której dowodził, że Kopernik był wielkim astronomem ukraińskim. Odesłała mu ją bez słowa. „Czek też?” – zapytałem.

Chapswick ożenił się z rodzoną siostrą Lucy Maud Montgomery, autorki „Ani z Zielonego Wzgórza”, której Kanadyjczycy przypisują większe znaczenie dla literatury światowej, niż „W poszukiwaniu straconego czasu”. Sam zaczytywałem się tą sentymentalną ramotką – nie wstyd przyznać, wszak w pewnym wieku każdy z nas ma w sobie coś z chłopca i coś z dziewczynki. Kto nie wierzy, niech zapyta psychiatry Sue, ona mu wytłumaczy potrząsając krótko obciętą grzywką i sprowadzając na koniec wszystko do problemu dyskryminacji kobiet w Kanadzie.

Lord Czepesiuk miał wykład na samym Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesorowie zeszli się z całego Krakowa, by go wysłuchać, a przy okazji wręczyć doktorat honoris causa jego żonie. Że nie autorce „Ani”, a siostrze? Nie szkodzi. Wrócił do Kanady i cała prasa diaspory rozdzwoniła swe dzwony. Co Lord

Chapswick widział w Krakowie? Siodło wielkiego wyzwoliciela ukraińskiego, Bohdana Chmielnickiego. Nic więcej go nie obeszło. Jego elukubracje aż huczą od wichrów historii, które ze stepów Ukrainy wymiatają tylko jedno – Lachów! Partykularyzm, nacjonalizm, emocjonalizm, sentymentalizm, prowincjonalizm... Dlaczego, gdy Amerykanom wichry wieją, wszystko zostawiają nietknięte, prócz śmieci? A w Europie wschodniej – miasta zniszczone, narody wypędzone, tylko śmieci pozostają nietknięte.

Gdy idzie o te przywary, MS nie jest wyjątkiem. W kościele wciąż się rozgląda, komentuje, każdego podejrzewa o złe intencje. Nie pozwala Michasiowi wymienić z sąsiadką Znak Pokoju, bo „ta Baba Jaga” szczypie dzieci w policzek i Michasia nazwała dziewczynką. „Nie chcesz pokoju?” zmartwiła się staruszka o cechach zawnoszonej sklerozy. Michaś w milczeniu pokręcił głową, patrząc jej prosto w oczy. Dumny dumą matki, która tymczasem, czuł to, uśmiechała się z zadowoleniem.

Nocował kiedyś w Langley, u ciotki Becky. I przyszła do niego wieczorem (dopiero teraz to wyznał): „Dlaczego modlisz się co wieczór, Mike? Dlaczego chodzisz do kościółka? Dlaczego właśnie do tego, katolickiego? Czy myślisz, że mamusia ma rację posyłając cię właśnie tam, nie gdzie indziej?”

MS aż zagryzła wargi z wściekłości. Miała szczęście Becky, że nie była z nami w samochodzie. „Patrz, co za WASP-ka! Już raz tak było. Drobi do mnie, popatruje, zagaduje:

– A czemu ty dziecko nakłaniasz do katolickiego obrządku?

– A do jakiego mam nakłaniać?

– Dziecko to wolny człowiek, ma prawo wyboru.

– Prawo wyboru? dziecko? To co, może mam spytać, czy chce może mieć inną mamusię? Zamknij się Becky, zostaw chłopaka w spokoju!

– To mój dom, mogę sobie robić co chcę!

– To moje dziecko, wara ci od niego!”

I tak sobie pogadały.

*

Wczoraj, „na pożegnanie”, wpierp po wielkiej indyczej nodze u Briana na górcie, potem wizyta w dolnym domu u Becky i George’a. George w wózku, chory, przegląda angielskie tłumaczenia Iwana Franko, wyraźnie sporządzone w ZSRR w latach pięćdziesiątych, poznając to po czcionce i socrealistycznych ilustracjach. „Chesz pożyczyć?” pyta, widząc moje zainteresowanie. Kręcę głową. Ciotka znosi pisma ukraińskie, George patrzy cierpiącymi oczyma – stary dobry człowiek z przepukliną rozworu przelykowego i przewlekłym zapaleniem osierdzia. Dni jego policzone, kto to wie. Prawda, wie Becky. „Pożyje jeszcze, pożyje”, mówi z zadowoleniem czy ze smutkiem, klepiąc go po kolanie. Szczypcami na końcu srebrnej laski, która jej służy do podpierania się oraz trzymania domu pod kontrolą, chwyta pled z kanapy i jednym okiem zerkając na telewizor, rozkłada go sobie na kolanach.

„A ty, Gregory, co w końcu będziesz w życiu robił? Literaturę czy okulistykę?”

Jak ja kocham te pytania. „To są moje dwie żony. Powiniennem być muzułmaninem”, wyciągam z pamięci stary numer. Ach, jak się śmiały. Skulona na podnóżku chuda panna Carol omal nie zleciała na podłogę. „Muslim!”, Becky ocierała oczy „a to powiedział”.

Kuzynka domu – jeszcze chudsza od Carol, dystyngowana panna Fulton nie śmiała się, za to znad welny spojrziała na mnie życzliwiej. Dotąd nie odzywała się do mnie ani słowem, choć na powitanie z uprzejmym zaskoczeniem dała sobie unieść dłoń z pierścionkiem do ucałowania. Widać mój żart rozmroził jej serce, bo powiedziała melodyjnym męskim głosem:

– Moja siostra jest pastorem w naszym kościele prezbiteriańskim.

Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

– Ona walczy o *abortion right* dla kanadyjskich kobiet.

Znów uśmiech.

– W Polsce nie ma kobiet kapłanów?

– Nie.

– Wielka szkoda, oj wielka... – wpatrzona w ścieg powiedziała z przyganą, jakbyśmy przepuszczali jakąś wielką okazję, którą nam szykowała.

– A co z *abortion right*? – błysnęła okiem.

– Nie wiem. Dawno tam nie byłam. Polska chyba ma w tej chwili inne problemy.

– Polska – powiedziała z pretensją – Polska... – powtórzyła jakby sprawdzając, czy to słowo musi sprawiać jej aż tyle przykrości.

„Dlatego tak się śmiały” skomentowała MS „że, widać, masz dystans do swego katolicyzmu. Dla nich to zabobon. Papież to prymityw, fundamentalista nie-douczony na wschodnioeuropejskich uniwersytetach, zakażonych katolicką ciemnotą. Ta stara panna będzie przez trzy dni płakała nad zamrożonym wróbelkiem, a hinduskiemu dziecku da szczypa w policzek i wykład o samoumartwieniu, zamiast paru centów. Nie znam większej hipokryzji niż tej, którą wydała ta kultura. Dlatego tyle tu ruchów wolnościowych. Młodym od tego odbija. Ostatnio oskarżyła papieża, że nie zajmuje się ochroną środowiska. To jest, według nich, właściwa rola dla głowy kościoła – machać miotłą przed Watykanem, nawlekać papierki na koniec kija. Spróbuj z nimi pogadać o krzyżu, o eschatologii, zobaczysz co się będzie działo...” mówiła moja siostra MS. A może ja jej to w usta włożyłem? Nie wiem. Deszcz miży, smażą się hamburgery. Jeszcze sześć dni.

5 1 90

Ma złości przeplatane napadami dobrego humoru i fobie, które wybuchają w najmniej oczekiwanej chwili. Na przykład w deszczu, podczas prowadzenia samochodu. Deszcz w zimie – to gruntowna odmiana klimatu. Odmiana klimatu – to zatrucie środowiska. Zatrucie środowiska – to przemysł, a przemysł – to Żydzi. Ścisłej mówiąc – mafia żydowska. Prócz Żydów – homoseksualiści;

natychmiast przelącza *remote control* gdy o nich mowa, żeby „maly nie sluchal”, a na jej twarzy pojawia się wyraz lekceważenia i pogardy. Wiadomo, że zaraz nastąpi wykład – tym razem o skażeniu środowiska moralnego, co zaprowadzi nas znów do „znajomych z długimi nosami”. Ich stolicą jednak czyni nie New York, jak się zwykle uważać, lecz Kalifornię. Może żeby było bliżej i żeby bardziej się bać. Więc i Kalifornia jest zakazana – „żebyś mi nie oglądał żadnych filmów z Kalifornii!” mówi sięgając po ulotki „Godziny Różańcowej”, którą co niedziela w polskim radio z Buffalo nadaje ojciec Kornelian Dende.

Smutek?... gdy na ekranie ukazuje się męska lydka, na przykład w filmie z połowów ryb oceanicznych. To ją dostrzegła, nie ryby-skorpiony ani rekina, i czyni uwagi pełne zgorznienia i satysfakcji. Spisek? A tak, od Białego Domu po rząd kanadyjski, bo męską lydkę filmowano dłużej, niż należało. „Wiadomo dlaczego”, domyślnie pointuje, lecz dalszych wyjaśnień obyś się nie domagał. Spojrzy litościwie, wszystkowiedząco, poklepie: „oj, gdybyś ty wiedział... jeszcze wiele musisz pożyć, oczy ci się otworzą”.

Leżę więc z otwartymi oczami, próbując zasnąć po południu. A tu klekocze plastikowa Góra Zła z maskaronem na przedzie i głośnikiem z tyłu, potem He-Man wspina się sam po drabinie, w końcu dziecko nie wytrzymuje, wbiega do pokoju, szarpie mnie za ramię. Chodź!

„Idź, pobaw się z dzieckiem, nie bądź taki jak ci, co nienawidzą matek i dzieci. Nigdy przodem nie puszczą, zawsze coś tak zrobią, spojrzą... wiesz, żeby ci zaszkodzić”.

Względnie spokojne ostatnie dni (jeszcze cztery). Tylko czasem coś zaiskrzy, coś zawiruje, głos nagle powędruje w rejestry hysterii. Chwilę patrzemy na siebie, w końcu odwracamy głowy. Już nie warto. Poza tym deszcz pada bez przerwy i łagodzi obyczaje. Dzisiejszą wyprawę na Mount Cypress zakończyło parogodzinne stanie po kostki na szczycie góry w rozehlapanym śniegu. Tylko dziecko sobie poszalało. Inne góry, Mount Seymour i Mount Baker też we mgle gęstej, w ulewie, od której śnieg weale nie spływa, a puchnie lub twardnieje na skorupę. Stąpniez na to, bo wygląda na zlodowaciale, a tam plucha po kostki. Innym razem omijasz pluchę, a to okazuje się gładki lód, po którym jedynie mógłbyś przejść, więc znów wpadasz. Brian telefonował wieczorem, że nici z jutrzejszej wyprawy na narty na Mount Baker (po amerykańskiej stronie), za to zabierze mnie „w miasto”. MS przyjęła tę wiadomość z mieszanymi uczuciami – Brian według niej należy skrycie do tych, co nie lubią matek z dzieckiem i zawsze zrobią coś, żeby im zaszkodzić. Na szczęście nie jest Żydem, bo nie wpuściłaby go do domu. Już i tak dostało mi się za „podejrzane kontakty”.

„Nawet nie wiesz, kiedy im się sprzedasz”, mówi ze smutkiem, patrząc na plastikową kartę biblioteczną Uniwersytetu Iowa z moim nazwiskiem. Podniosła wzrok, odłożyła kartę i z troską ujęła mą rękę jak mama, która przyłapała syna na onanii: „nie rób tego, proszę, zrób to dla mnie. Nie zadawaj się z nimi”.

Wszystko w życiu, co niesie życie, jest nim samym. Jest więc piękne, ważne i prawdziwe. I każda rzecz, taka w jednym miejscu, ma swą odwrotność w in-

nym. Nie obejmujemy całości, ale z tego, co nam dane, można wydedukować resztę. Tylko ta filozofia pozwala mi znaleźć sens w tym, że tu jestem i nawet dziś po południu, zmywając talerze po piątkowym obiedzie, nucilem przeboje zamierchłego dzieciństwa: „Jeśli chcesz proszę wstąp zdejmij płaszcz” i Marty Mirskiej „Letnią przygodę”. Mój świecki występ został przyjęty w milczeniu, za to ledwie skończyłem, dziecko zostało posłane do adapteru, skąd po raz tysięczny od Gwiazdki rozległo się niezrównane, landrynkowo-mateczkowe „Mazowsze”.

Pierwsza Chmura na coraz bliższym Horyzoncie Powrotu: „może byś tam (do Seattle) jakoś inaczej dojechał? O której masz samolot? O dziesiątej rano. Trzeba o piątej wstać. Może by Brian cię odwiózł? Michaś musiałby opuścić cały dzień szkoły...”. A więc, jak w dobrym thrillerze, strzelba na końcu musi wypalić.

Litość zabija – więc nie współczuję jej. Ale ją rozumiem. Samotność, śmiertelną chorobę emigracji. W Polsce, jako żona lekarza, żyła na wysokim poziomie – teraz ostatnią brukselkę zostawioną na półmisku kładzie na osobny talerzyk, nakrywa drugim i chowa do lodówki. Przyjechała tu, aby żyć jak każda z kobiet w British Columbi – nie pracować, chować chłopaka, karmić psy, które merdalyby ogonami na powitanie pani. Wciąż nie rozumie, co się stało – jak coś tak prostego, jak zmiana paszportu, może całkowicie odmienić człowieka, zepchnąć go na dno hierarchii społecznej, gdzie są już tylko podobni do niej – choć o innym kolorze skóry – w kolejce po zapomogę z litościwej dłoni Social Service. Oskarża Kanadę, Żydów, nie oskarża siebie, bo nie starczyłoby lez. Odkąd odszedł od niej mąż, próbowała znaleźć pracę, ale wszędzie wymachiwała doktoratem, więc nigdzie jej nie przyjęli. Wreszcie się odechciało – w biurze doktorskim Michaś trzyma klocki lego, a ona w fotelu tłucze orzechy i wygłasza monologi spiskowe, w których „porządnych prostych ludzi” doprowadza się do upadku, by móc z oblicza świata wymazać kanon zasad, których bronili. Jest tego niezachwianie pewna, więc do niczego jej niepotrzebny język filozofii, sztuki – wystarczy język, którym mówi ksiądz Michałowski. Tylko on koi ją prawdami starymi, sprawdzonymi, tylko on zaszemrze rozgrzeszeniem po wielkopiątkowej spowiedzi, po której można znów poczuć się dzieckiem – jak we śnie z nieżyjącym ojcem. Roześmiał się, otworzył szeroko ramiona i przytulil swą starzejącą się córkę, jej splakane oczy i siwiejącą głowę.

6190

Wyprawa z Brianem okazała się wizytą u jego Pani Profesor. Brian jest chyba mało inteligentny – nie wierzę, aby mogło być inaczej, skoro całą drogę z Surrey na West End, gdzie mieszkają bogacze, odbyliśmy w prawie całkowitym milczeniu, mimo moje rozpaczliwe wysiłki, by pochwalić a to krajobraz, a to system opieki społecznej w Kanadzie. Ożywał się tylko wtedy, gdy mogliśmy mówić o niedorozwiniętych umysłowo. Uczynił ich treścią swego życia, czy raczej – trampoliną kariery. O Pani Profesor wyraża się z uwielbieniem – „to po prostu geniusz” zakończył wymieniwszy nagrody państwowe jakie otrzymała,

litując się nad niedorozwiniętymi. Później MS urządziła mi na ten temat wykład – instytucjonalna litość jest w takim kraju jak Kanada, protezą utraconych uczuć człowieka do człowieka. Tym większe zaprzęgają w to Instytucje Demokratyczne, im gorzej radzą sobie z czymś, co dawniej rozwiązywała instytucja rodziny. Obrasta to etatami, nagrodami, pospolitymi ruszeniami „na rzecz” i tak dalej, czyniąc w końcu z kalek, niezupełnie w ich interesie, bogów. Wszystko dla inwalidów, dla beznogich, bezmózgich, bezrękich... jakby mówili światu „patrzcie, jak niedobry Bóg fuszeruje swą robotę, ile my musimy naprawiać”.

Cokolwiek powiedzieć o MS, spotkanie z Panią Prof. byłoby tego potwierdzeniem. Poczynając od jej mieszkania – dawno nie widziałem takiej obfitej nagrody za codzienne wyrzeczenia dla bliźniego. Za trud wznoszenia Państwa Idealnego – w którym, wedle jej wykładu inauguracyjnego – można by „doprowadzić do małżeństw między mongolami i tak skonstruować prawo, by wyróżnionym sprawnością odbierało szanse, na rzecz gorzej potraktowanych przez Naturę”. Otrzymała panoramiczny widok na zatokę, za który netto ze sto pięćdziesiąt tysięcy, drugie tyle – za dwa poziomy wyłożone dywanami, trzecie – za angielski pejzaż rustykalny, zapelniający ścianę naprzeciw okna. Trzygodzinnemu monologowi o „tych najmniejszych” nie towarzyszyła wszakże nawet filiżanka herbaty, o którą wreszcie musiałem się upomnieć. „Ach tak, naturalnie!” – siwowłosa, małeńka, dobrotliwie uśmiechnięta i patrząca we mnie szarymi, dobrymi oczami, poderwała się z szezlongu, z którego prawila o niedoskonałościach państwa kanadyjskiego nie dość broniącego środowiska naturalnego i nie dość miejsc parkingowych rezerwującego dla tych, którzy swe chevrolety prowadzą nie przy pomocy rąk – jak my, uprzywilejowani – a protez („...będących dochodową produkcją uboczną firm zbrojeniowych”, dodała MS).

Strasznie odwdziczyłem się za herbatę w torebeczce, podaną tylko mnie – nie Brianowi, który omdlewał w kącie niezdolny do użytku, w stanie całkowitego uwielbienia. Spytałem, czy zajęte miejscami parkingowymi rząd Kanady przewiduje w swych pracach pomoc dla *boat people*, o których pełno w każdym dzienniku telewizyjnym – dla zgwałconych kobiet, dzieci wołających mleka, starców we wrzodach.

Oczy Dobrej Pani błysnęły, gdy warknęła „nie”. To zadanie dla United Nations. Tym ona się nie zajmuje. Jednak znów otworzyłem usta (aż Brian ocknął się z nirwany):

„Czy pani wiadomo, że w czasie, gdy Margaret Thatcher odmówiła w Parlamencie statusu uchodźcy tym nieszczęśnikom, jej rząd poświęcał swój bezcenny czas ratowaniu populacji szczurów białych, bezlitośnie tępionych przez szczury kanałowe? Czy więc Kanada, zważywszy na swe odwieczne związki z Anglią, zamierza coś uczynić wobec tego okropieństwa?”

– Tak, zagłada szczurów białych to bolesna sprawa – przyznała.

– Ale ja mówię o *boat people*.

Pani Profesor nie patrzy mi w oczy, patrzy na zegarek.

– Widziałeś wczoraj w telewizji człowieka – odezwał się Brian – który zapowiedział, że zmiażdży białego szczura między dwiema ceglami?

- Nie.
- Wariat, który chciał mu zaoszczędzić strasznej śmierci w postaci połknięcia przez węża. Zebrało się tylu ludzi, że zaczął uciekać. Gonili go aż do *down-town*, schował się dopiero w Hotelu Vancouver.
- Widzi pan? Takie mamy społeczeństwo – zauważyła Pani Profesor, zglębiając szczegóły widoku za oknem.
- Chodziło o dziecko? – spytałem.
- Nie, o szczura (Brian).
- Pytam, dokładnie mówiąc, o embrion zmielony na maseczkę odżywczą. Podobno to w Kanadzie intratna dziedzina technologii. Mówili o tym w telewizji.
- Spojrzeli na mnie jak tamci, na niebezpiecznego wariata. Brian wstał. Pani Profesor chłodno skinęła głową. Gdy wychodziliśmy, oko tłuszczy na niedopitej herbacie wpatrywało się, jak ona, w niebo i góry nad Vancouver.

Grzegorz Musiał

Julian Kornhauser

Post Scriptum (4)

Na II Festiwalu Książki w Toruniu odbyła się sesja na temat: czy i w jaki sposób kryzys moralny świata współczesnego odbija się w literaturze? Jakież było moje zaskoczenie, gdy pierwszy referent wystąpił z odczytem o roli sacrum w polskiej poezji. To zaskoczenie było spowodowane tym, że nie spodziewałem się tak obcesowego łączenia problematyki etycznej ze sferą świętości. Czemu przypisać tę zbitkę myślową? Referat oraz dyskusja, jaka się po nim wywiązała, są świadectwem, jak mi się wydaje, dziwnej frustracji pewnej części krytyki literackiej. Często zbyt nachalnie wpycha jakąś twórczość w koleiny metafizyki i sacrum, aby nadać jej wyższą rangę. Uważa się bowiem, że kto bliżej Absolutu, ten lepszy i ważniejszy. Absurd. Jest to myślenie typowo akademickie, nie mające żadnych realnych podstaw. Słyszałem już nawet, że poezje Szymborskiej, aby ją uwznioślić, zaczynają niektoś rozpatrywać w tych kategoriach, w kategoriach Boskiej Opatrzności. Tak jakby nie pamiętano, że nasza Noblistka unikała współpracy z pismami katolickimi. Chyba nie bez powodu...

Co ma poza tym sacrum do problematyki etycznej? Czy naprawdę trudno zrozumieć, że poszukiwanie absolutu odbywa się w literaturze nie przy pomocy tradycyjnych kategorii sakralnych, lecz jest wynikiem przeżycia świata, i to jego przedmiotowej struktury? Waga dzieła sztuki nie polega na zbliżaniu się do Boga jednostkowego i zinstytucjonalizowanego, lecz na umiejętnym uchwyceniu sensu istnienia w różnych jego przejawach, także niewiary i walki z Bogiem. Dla mnie przejawem dotykania Tajemnicy będzie radosny, sensualny opis łabędzi na kaszubskim jeziorze, jaki znajduję na kartach zmysłowej prozy Zbigniewa Żakiewicza, a nie rozmowa z Bogiem w którymkolwiek wierszu rzekomo „metafizycznych” współczesnych poetów. Problematyka etyczna, wszelkie dylematy wyboru między dobrem i złem, spór o wartości, kwestia odpowiedzialności i konflikt ducha i materii, jednostki i zbiorowości choć ocierają się o sferę sacrum, nigdy nie są od niej zależne. Mówienie o sacrum w obrębie tematyki etycznej jest pewnego rodzaju nadużyciem, polegającym na wywieraniu presji na czytelnika, aby go przekonać, że moralistą jest ten tylko pisarz, który rozmawia z Bogiem.

Umetafizycznianie współczesnej poezji, zupełnie bezpodstawne i bezsensowne, stawia krytykę w jak najgorszym świetle. Czy uprawnione jest czytanie Herberta, Różewicza, Białoszewskiego, Miłosza, nie mówiąc o takich poetach, jak Zagajewski czy Barańczak, przez metafizyczne okulary? Oczywiście, interpretacja wszystko znieśie, jak wykazał niedawno autor „Tablicy z Macondo” w swym rewelacyjnym, błyskotliwym i przewrotnym tekście pt. „Kim naprawdę byli dwaj panowie stateczności?”, odczytując wiersz Białoszewskiego w parodystycznej konwencji, jako replikę na Kabaret Starszych Panów. Nie można popadać w przesadę. Właśnie dlatego, że najciekawszy polscy poeci, na czele z Szymanowską, wybrali wątpliwość, sceptycyzm, nieufność i ironię, a nie prostą afirmację, czy bezkrytyczną akceptację wiary, nie powinniśmy doszukiwać się w ich dziełach metafizycznej, religijnej czy sakralnej aury.

Mam niekiedy takie wrażenie, że krytycy chcieliby umieścić to, co najcenniejsze w polskiej poezji, w jednym worku z napisem, jeśli nie: „katolickie”, to z pewnością: „metafizyczne”. Czyż to pragnienie nie jest objawem choroby? Nie można oceniać literatury pod kątem moralności. Czy to, co niemoralne, ma być skazane na likwidację? Czy profanum jest gorsze w sztuce od sacrum? Nasi największy poeci są bez wątpienia agnastykami i dotykają świata urzeczowionego, konkretnego, przyziemnego, w którym Boga nie ma, choć może być przeżywany. Nawet Miłosz mówi o pobożności wobec bytu, wobec istniejących rzeczy, co wynika z podziwu dla świata danego i realnego. Z kolei chyba najbardziej religijny poeta polski, Leśmian, opisuje Niebyt i Zaświat, „zagęstwioną nicłość”, a jego wiara nie ma niczego z katolicyzmu, ba, chrześcijaństwa, jego wiara szumi „w wiekuistym sitowiu”.

Sakralizacja aktu twórczego – pół biedy. Ale dosakralizowanie dzieła sztuki – bieda cała! To tak, jak z rytuałem toruńskiego panelu literackiego. Czy można mówić o kryzysie moralnym tylko w naszych czasach? Kodeks moralny ma

to do siebie, że łamany jest zawsze, w każdej epoce, przy wtórze rozsierdzonych czcicieli prawa. Kryzys moralny jest stanem permanentnym i nie warto czynić zeń cechy charakterystycznej dla końca XX wieku. Literatura odzwierciedlając rzeczywistość, pośrednio zdaje relację z moralnych uwikłań współczesnego człowieka. Co do tego ma Bóg? Bóg żywy, czy Bóg umarły, uczestniczy z daleka w tym dramacie. Jeśli czasem się odzywa, czy od razu pociąga za metafizyczną strunę? Nie wyobrażam sobie, aby transcendentny zapał, za którym tak wielu tęskni – bo nie wyobrażają sobie innej literatury – wybuchł nagle teraz z niespotykaną żarliwością. Świadczy o tym twórczość młodych pisarzy. Świadczy w dwojaki sposób.

Po pierwsze ostentacyjną, drastyczną w formie, ucieczką od sacrum i transcendentnych tęsknot. Ucieczką w stronę prywatnego, małego życia, pozbawionego jakichkolwiek wartości. Zostaje tylko nudna obserwacja szarej przeciętności, pełna ohydnych, dekadentkich zachowań, automatycznych reakcji i psychicznego roztrzęsienia, jak w debiutanckiej książeczce Marty Podgórniki, dziewiętnastoletniej laureatki II Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina, która nie boi się napisać w wierszu: „zzółkły wrzód rozkravam tym nożem trzymając za ostrze. W obie strony bryzga jak z chuja”. Kryzys moralny? Brak obecności sacrum? Nie. Inna obyczajowość, bezwzględny stosunek do rzeczywistości i moda. Oczywiście, literacka moda na agresję, nihilizm i Liroya. Oczywiście, infantylnizm i proste naśladownictwo, które denerwuje, ale i pociąga artystycznymi wybrykami. Nie jest to jednak moda na zaświaty i niebyty, ale moda na opisy życia bez sensu.

Po drugie – zainteresowanie kunsztowną formą (w poezji i prozie), którą niektórzy krytycy uważają za przejaw „klasycyzmu” czy „metafizyki” właśnie. Nie mylniejszego. To też moda, ale tym razem na artystowską pozę, na manifestację, często zresztą pozornego, kunsztu, który w poezji sprowadza się, jak to można łatwo zaobserwować, do naśladowania Bohdana Zadury. W „metafizycznej” poezji nie ma metafizyki: są płaskie, papierowe symbole, za którymi nie kryje się nic głębokiego i tajemniczego. Autorom bowiem nie chodzi o dotyknięcie Tajemnicy, ale przedstawienie, jak tym pierwszym, codzienności, choć tym razem pełne odwołań do wysokiej kultury.

Jeśli już mówić o kryzysie moralnym, to wolalbym mówić o kryzysie moralnym pisarzy, którzy sprowadzili sztukę do zwykłych odruchów i nie potrafią podnieść wzroku wyżej niż hotelowe łóżko i artystycznym rzemiosłem nazywają naśladowanie samych siebie. Zawsze się opowiadałem za etycznym rozumieniem literatury, o sferze sacrum milcząc, bo nie może być ona przedmiotem dywagacji na poziomie rachowania słowa „Bóg”. Trzech Marcinów napisało kiedyś wiersz, drocząc się ze mną, że za oknem nie ma żadnej idei. Otóż jest i to nie jedna, trzeba tylko wyostrzyć wzrok. Nie powiem, że sfera profanum jest mi obca, że stronię od literatury, pokazującej mi ohydę rzeczywistości w nihilistycznym sosie. Chciałbym jednak, żeby to nie był chór śpiewających pod dyktando jednego kapelmistrza.

Julian Kornhauser

Tym Czasem (7)

51.

Za bardzo się człowiek dziś politykuje, pomyślał. Spróbował się odprężyć, lecz zle rzuciło nim w stronę tygodnika, w którym od lat publikuje swe felietony Ryszard Marek Groński. Przypomina Groński, skonstatował w czasie lektury, Wiesława Pawła Szymańskiego – tyle, że WPS uczeńszy jakby od RMG (ksiąg urodzonych i solidnych napisał kilkoro, jak „Neosymbolizm” czy „Ballady przed burzą”, z których wielu jeszcze z pożytkiem czerpać będzie). Nadto są to cząstki polityczne odmiennie naladowane i ich spotkanie mogłoby zakończyć się anihilacją (w duszy usłyszał: „I niech się tak stanie!”).

Otóż RMG pisze w te oto słowa: „Jak to jest, że uczestnicy autokarowej wyprawy do Warszawy, po modlitwie przy grobie kapłana (który powtarzał, by zło – dobrem zwyciężyć), wylegli na ulice, pokrzykując – «zawsze i wszędzie komuna jebać będzie!»”. Ta próbka, uznał, wystarczy, by ukazać sympatyczne oblicze tego „moralisty” z „Polityki”, który co i rusz gębę sobie wyciera Antonim Słonimskim jako wzorem. RMG mianowicie widzi wszystko osobno i zapomniał, że to właśnie owa komuna, a nie wspomniany kapłan – od którego odganiano i o którym wówczas, gdy radził dobrem zło zwyciężyć, RMG słowem się nie zająknął – ukształtowała tych ludzi. To jest kultura postkomunistyczna, a że przeobraziła się w antykomunistyczną, nie dziwota. Gdyby, pomarzył sobie, RMG sięgnął pamięcią głębiej, przypomniałby sobie może swych rówieśników (a możliwe, choć to chyba zbyt piękne, także siebie) w szeregach ZMP odważnie ryczących ordynarne i chamskie slogany pod adresem ludzi zgromadzonych w kościele. Teraz to wraca rykoszetem. Tak to jest.

52.

Tak się źle poczuł w świecie dnia tego, że sięgnąć musiał do czasu przeszłego. Rady zasięgnąć zapragnął biskupa, gdyż u biskupa jest mądrości kupa. Księgę otworzył męża uczonego, by lekcję miary pobierać u niego. Biskup pół oka nań laskawie rzucił, po czym w te słowa piosenkę zanucił:

*I śmiech niekiedy może być nauką,
Kiedy się z przywar, nie z osób natrzęsa,
I żart, dowcipną przyprawiony sztuką,
Zbawienny, kiedy szczypie, a nie kąsa;
I krytyk zda się, kiedy nie z przynuką,
Bez żółci laje, przystojnie się dęsa.
Szanujmy mądrych, przykładowych, chwalebnych,
Śmiejemy się z głupich, choć i przewielebnych.*

„Księżę biskupie, odrzekł na głos pieśni, cóż czynić gdy głupiec i mędrzec równieśni, jakże mam się śmiać z głupców, gdy mądrość w nich mieszka, jak uszanować mądrych, gdy głupota grzeszna rozum im pomieszała? Cóż czynić biskupie, gdy głupota z mądrością wszystko mają w dupie, gdy już prywatnie tylko, nie pospólne dobro w żmut jakiś myśli płaczą, w magmę nieklarowną?” A na to biskup długo rady swej nie chowa i napomina: „Pomnij, proszę, moje słowa, com je jasno wyłożył w piśmie zapomnianem – o tym, że wszystko godzi się nad dobrym dzbanem”. Otworzył biskup księgę, strony przewertował i wreszcie święte słowa swoje zacytował:

*Wdzięczna miłości kochanej szklenice!
Czuje cię każdy i słaby, i zdrowy;
Dla ciebie mile są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy,
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice,
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.
Byle cię można znaleźć, byle kupić,
Nie żal skosztować, nie żal się i upić.*

Usłyszawszy te słowa, przyjaciela wzywa, poetę, co się Pawlak Antoni nazywa i wraz z nim opróżniając kolejne szklenice, rozstrząsał, kogo czas już ślać na szubienicę. Obudził się nad ranem i aż z bólu wrzaśnieć, co leć rozsądza. Co to? A to Polska właśnie!

53.

Wysłał depezę:

*Tak się zwykle opowieść zaczyna:
Napisała raz wierszyk dziewczyna...
Lecz to była Wisława
I dziewczęca zabawa
Niebywały dziś dla niej ma finał.*

3 października 1996

Czas się wydobyć z tego rymowiska, pomyślał. Sięgnął więc po nowe „Myśli nieuczesane” Stanisława Jerzego Leca. Sięgnął i zdumiał się niezwykle, gdyż znalazł w tym tomie prócz sentencji i aforyzmów zapisywanych w formie tradycyjnej, coś zupełnie nowego. Znalazł mianowicie nowy gatunek, który nazwać postanowił „aforyzmem neologicznym”. Aforyzm neologiczny składa się w większości wypadków z jednego słowa – neologizmu właśnie – i wieńczącej go kropki. Oto zestaw aforyzmów neologicznych Leca:

<i>Paradoksyzm.</i>	<i>Szekspiranci.</i>
<i>Malpomena.</i>	<i>Szekspirotechnik.</i>
<i>Lupanarchizm.</i>	<i>Doczekalnia.</i>
<i>Fanatyci.</i>	<i>Konformalizm.</i>
<i>Argumentnie.</i>	<i>Aforzyści.</i>
<i>Bawisłówek.</i>	<i>Oforma.</i>
<i>Robocja.</i>	<i>Mituman.</i>
<i>Świńtoszek.</i>	<i>Grafomanna.</i>
<i>Marksymaliści.</i>	<i>Dogmatol.</i>
<i>Cieniogród.</i>	<i>Alibido.</i>
<i>Troglerydyta.</i>	<i>Sonetoidy.</i>
<i>Dezynwolteriana.</i>	<i>Chuligarchia.</i>
<i>Rajfurie.</i>	<i>Czynizm.</i>
<i>Mitologika.</i>	<i>Błogosłowienie.</i>
<i>Plakat.</i>	

Dochodzą do tego formy rozwinięte, lecz także niezdaniowe:

Rozwój hormonalny.
W eufurii.
W analfabycie.
Och, ci optymistycy.
To peryfeerie.

Wreszcie także zdaniowe:

Rozpętał kalamburię.
Są wiwisekciarze.
Lucyferblat czasu patrzy na nas!

Omówienie teoretyczne tego nowego gatunku odłożył na później. Jedno nie ulega wątpliwości, pomyślał: oto mamy do czynienia ze zjawiskiem nowym i wartym uwagi. Określenie miejsca oraz roli aforyzmu neologicznego w całości

„Myśli nieuczesanych”, w całej poezji Leca, wreszcie w polskiej poezji ligwistycznej po roku 1956, to już gotowa praca doktorska.

Przestraszył się strasznie. Uświadomił sobie bowiem, że ma ciągoty teoretycznoliterackie. Tym bardziej, że ukuł już wcześniej jeszcze jeden termin geneologiczny. Napisał – omawiając ostatnie książki Jarosława Marka Rymkiewicza – że „Zmut”, „Baket”, „Kilka szczegółów” oraz „Do Snowia i dalej” to utwory, które należałoby ochrzcić jako „gawęda docta”.

Definicji nie podam, zakończył. Róbta sobie sami.

55.

Też ułożył aforyzm:

Nie można w Nic nie wierzyć.

Potem ułożył inny aforyzm:

Bądź sobą. Nawet wbrew sobie.

I znów:

Nie dochodź do siebie na skrót. Pozbawisz się biografii.

Przykazał sobie: Nie aforyzuj!

56.

– Zaczynam żyć – powiedział.

– Zaczyna mżyć – odpowiedziało echo.

57.

Echo przeszłości odzywa się w sytuacjach najmniej spodziewanych, pomyślał czytając w gazecie, że jeden z wyższych urzędników telewizji publicznej okazał się bojówkarzem, który w latach siedemdziesiątych napadał na mieszkania działaczy opozycyjnych i rozbijał spotkania „latającego uniwersytetu” – podczas jednej z takich akcji pobito Henryka Wujca oraz bliskich Jacka Kuronia. Przypomniał sobie scenę z tejże telewizji sprzed niemal dwudziestu lat, gdy owemu dzisiejszemu urzędnikowi Służby Bezpieczeństwa wręczał legitymację partyjną sam ówczesny szef PZPR Edward Gierek, co miało być publicznym zademonstrowaniem zaufania, jakim władza darzy swego bandytę. Po latach ówże zataił swą przeszłość i został przyjęty do pracy w jednym z głównych mediów. Dziś, gdy sprawa się ujawniła, nie zaprzecza, powiada jedynie, że sam nie bil.

Tak sobie wpadał do Kuronia – w końcu spotkania „uniwersytetu latającego” były otwarte, każdy mógł wejść. W podtekście słychać: „Czego wy, ludzie, dziś ode mnie chcecie, w końcu robiłem to, co władza kazała, byłem lojalny, dziś też będę lojalny”. Jutro też będzie, pomyślał, pojutrze też. On jest stały, tylko władza się zmienia.

Przypomnił sobie inną sytuację z tamtego czasu. Wezwany na przesłuchanie, rozmawiał z prowadzącym go od dłuższego czasu oficerem. Wiedział, że w zasadzie nie powinien rozmawiać, ale starał się zawsze owe rozmowy kontrolować – póki ogólnie o literaturze, wszystko było w porządku, gdy zaś o konkretnych ludziach, działaniach, pismach podziemnych itd., przestawał mówić. Kiedyś spytano go o ocenę jednego z najnowszych tomów wierszy, który się właśnie ukazał: „Będzie pan wiedział, co o tym myślę, gdy napiszę recenzję” – odparł.

Sam oficer, oddelegowany „do literatów”, był niezłe odczytany, samodzielny w sądach na temat książek i ludzi, inteligentny tą funkcjonalną inteligencją tropiciela, którą musi wykazać się każdy profesjonalista policyjny. Był miły, otwarty. Przesłuchania nie miały w sobie nic z policyjnego horroru. Tym bardziej trzeba było uważać.

W trakcie jednego z takich spotkań zwrócił się do ubeka: „Wie pan, miło się czasem rozmawia, lecz ja cały czas czekam na chwilę, w której weźmie pan palkę i zacznie mnie nią okładać”. Oficer był zdumiony: „Ależ proszę pana, dlaczego miałbym pana bić?!” Odparł: „Dlatego, że teraz, gdy ma pan zadanie mnie rozmiękczać, jest pan dość sympatyczny, zaś gdy otrzyma pan rozkaz bicia, też go pan solidnie wykona”. Tamten spojrzal smutno, rozłożył ręce i z rezygnacją stwierdził: „I widzi pan, jaka to niewdzięczna robota!”

Ci biedni oprawcy...

58.

Sporo ostatnio w Polsce o feminizmie, skonstatował. Przypomnił sobie słowa Octavio Paza:

„Ta rewolta kulturalna lat 60-tych, stanowiąca namiętną negację wartości panujących na Zachodzie, była dzieckiem krytyki, ale nie była ruchem krytycznym w ścisłym tego słowa znaczeniu. Chcę przez to powiedzieć, że w protestach, deklaracjach i manifestach buntowników nie pojawiły się idee i koncepcje, których nie znaleźlibyśmy już u filozofów i poetów ostatnich pokoleń. Nowatorstwo tego buntu nie było typu intelektualnego, lecz moralnego; młodzi nie odkryli nowych idei: wyartykułowali z pasją te, które odziedziczyli. W latach 70-tych bunt wygasł i krytyka zanikła. Wyjątek stanowi feminizm. Ten ruch rozpoczął się jednak dużo wcześniej i będzie trwał jeszcze przez wiele dziesiątków lat. Ten proces czeka żywot znacznie dłuższy, chociaż jego impet w ostatnich latach nieco osłabł, mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, którego przeznaczeniem jest trwać i zmieniać historię”.

W pewnym sensie, pomyślał, Paz ma rację – w szczególności jeśli chodzi o zmianę historii. Dzieje odczytywane na nowo z kobiecego punktu widzenia rzeczywiście stają się czym innym, niż były dotąd. Paz ma zapewne na myśli co innego – to mianowicie, że ruch feministyczny odmieni nasz sposób pisania historii ku przyszłości – ma zatem wymiar raczej futurologiczny. Ale to w gruncie rzeczy to samo. Reinterpretacja dziejów bowiem musi doprowadzać do kształtowania nowych postaw wobec tego, co dzieje się aktualnie.

Szkoda, pomyślał, że Paz nie rozwinął swych uwag.

59.

Spojrzał na półkę, na której stoi słomiany ul. Przypomnił sobie jego historię. Było to przed niemal pół wiekiem. Mieszkał wtedy na Głębokim, wówczas podmiejskiej osadzie, dziś dzielnicy Szczecina. Była Wielkanoc. Świąteczne podniecenie, przygotowany stół śniadaniowy w willowym pokoju (wille „poniemieckie” przydzielano w końcu lat czterdziestych wszystkim pojawiającym się w tym mieście, którego polski los nie był jeszcze do końca przesądzony). Duży ogród. Podszedł do plotu, a wówczas z drugiej strony uliczki zawołał go sąsiad i nakazał poszukiwania świątecznej niespodzianki we własnym ogrodzie. Pod jednym z krzaków ukryty był ten właśnie ul, wypełniony miodowymi cukierkami.

Tym sąsiadem był Wiktor Woroszyński, który mieszkał wówczas, jeszcze przed wyjazdem na studia do Moskwy, na Głębokim, współtworząc w tej miejscowości, wraz z Jerzym Andrzejewskim, Edmundem Osmańczykiem i małżeństwem Wirpszów, swego rodzaju kolonię literacką – z czasem wszyscy przenieśli się do Warszawy. Póki co jednak, żyli w pobliżu Szczecina, o parę kroków od rozległego jeziora Głęboki, które nadało nazwę całej okolicy. Pamięta spacerować w przyjeziornym lesie, częste przyjazdy innych pisarzy, w tym Tadeusza Różewicza i Wisławy Szymborskiej; raz nawet gościł tu, zaprzyjaźniony jeszcze sprzed wojny z Andrzejewskim, Czesław Miłosz, w pobliżu, ale już w Szczecinie, mieszkał Kostanty Ildefons Gałczyński. Czasy były chude, nikomu się specjalnie nie przelewało, choć większość z wymienionych z pewnością miała, ze względu na swe zaangażowanie komunistyczne, poparcie partii.

Sam Woroszyński był wówczas niekwestionowanym chyba przywódcą grupy określanej mianem „pryszczatych” – młodych pisarzy żarliwie używających swych talentów budowie nowego wspaniałego świata; był autorem głośnego debiutanckiego tomu „Śmierci nie ma!” i współautorem – wraz z Andrzejem Braunem i Andrzejem Mandalianem – zbiorowego tomu „Wiosna Sześciolatki”, przyjętego zresztą kwaśno przez jednego z głównych prawodawców polskiego socrealizmu, Adama Ważyka. Po powrocie z Moskwy komunizm nie wydawał mu się specjalnie świetlany, dał temu wyraz w opublikowanym wówczas, jeszcze przed słynnym Październikiem, poemacie. Wtedy też zaczęły powstawać krytyczne wiersze ze zbioru „Z rozmów 1955”. Rozstanie z młodzieńczymi ideałami nie było łatwe, chciał wierzyć, że projekt komunistyczny był zasadniczo słusz-

ny, a szwankowała jedynie realizacja. Nie on jeden. Z tych wielu powstała formacja nazwana mianem „rewizjonistów” – rewidowali marksizm, lecz go nie odrzucali. Dalej sądzili, że jest obietnicą lepszego urzędzenia ludzkiego życia.

Dla Woroszyłskiego kolejnym przełomem była rewolucja węgierska, w której wziął udział jako korespondent „Nowej Kultury” (przez krótki czas był wybranym przez redakcję redaktorem naczelnym tego tygodnika, zdjętym przez władze – odeszła z nim z pisma duża część zespołu) – reportaże stamtąd, publikowane na bieżąco, ukazały się później w wydaniu drugoobiegowym, w oficjalnym już nie było dla nich miejsca. Był potem jednym z niewielu, kilkunastu bodaj członków ZLP, którzy nie podpisali – wysmażonego przez partię jako „odpór” na „List 34-ech” – „antylistu” (warto, nawiasem mówiąc, przypomnieć, kto ów „antylist” podpisał). Upomniął się o prawa Polaków w Sowietach, brał udział w licznych protestach przeciw zbrodniom władz, był współpracownikiem Komitetu Obrony Robotników, pełnił w początkowym okresie funkcję redaktora naczelnego „Zapisu”. Był człowiekiem spalającym się we współpracy z innymi, dobrym organizatorem.

Młodzięcza pewność swego ustępowała z czasem otwartości na innych. Coraz mniej sam mówił, coraz więcej słuchał. Pisał sporo – od „Zagłady gatunków” znalazł się bez wątpienia w gronie najwybitniejszych polskich poetów powojennych. Był dla wielu trudny do zaakceptowania, nieustannie wypominano mu młodość, nietolerancyjną, zapalczywą. To, co z niej ocalił do końca, to wiarę w to, że „człowiek nie urodził się sobie”, by posłużyć się formułą Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Cały czas pozostawał sobą w coraz większym otwarciu na innych.

Już Go nie ma. Jest w wierszach, w książkach, w pamięci. Oczekuje na innych w białej przestrzeni, która ogarnia wspólnotą wszystkich.

Leszek Szaruga

Jarostaw Klejnocki

Matnia

*Czy spędziłbyś z nią wieczór. z
dziewczyną z plakatu w dole ulicy
św. Marcina. uśmiech dla pasażerów
tramwaju nr 5.*

*Poznań we mgle. popołudnie na Łazarzu
pośród Rosjan tasujących trzy karty.
zmęczenie. dziewczyna
mruży oko tramwaj mknie ku Warcie.
wieczór. widoczność maleje.*

Robert Mielhorski, *Widoczność maleje*

1.

Dawno temu uczono mnie dwoistej natury światła. Strumień cząsteczek albo fala. Albo jedno i drugie naraz. Jakoś tak to było. Słyszałem, że fizycy pracują ostatnio nad Ogólną Teorią Wszystkiego, która połączy w logiczną całość, niczym w misterną siatkę, ogół sil hulających sobie na razie dowolnie po pustyni wszechświata. Więc dziś już pewnie wiadomo jednoznacznie i na pewno, czym jest światło. Jeśli tak – to cały czar prysł. Fizyka tylko wtedy ciekawiła mnie, o ile nie radziła sobie i jej tryumfujące zazwyczaj oblicze, chwilowo zmateriaлизованe w postaci drobnej, acz energicznej i zabójczo zgrabnej (ach, jakże trudno było wykrzesać z siebie te mikronowe pozostałości skupienia!) nauczycielki, zastęgało przez moment w atrakcyjnym wahaniu... Albo ta historia z bąkiem. Lata – a teoretycznie nie powinien. I cały Newton na nic; nie zgadzało się. Bezradne równania przypominały wtedy pobite wojska; zrezygnowani żołnierze składają broń i idą, powłócząc sennie nogami, w niewolę intuicji.

Dawno temu wydawało mi się, że mamy coś ze światła i nasze krótkie trwanie przypomina huśtający lot bąka. Cóż, nikt nie wymagał ode mnie wyrafinowanych metafor, więc mogłem sobie dowolnie folgować. Nic dobrego, jak można było przypuszczać, z tego nie wynikło. Konsekwencją – te słowa. A jak z tobą, drogi bąku? Rozgryźli cię już?

2.

Pisarz powinien umrzeć natychmiast po napisaniu książki, by nie musiał jej tłumaczyć. Tyle Eco. A dlaczego tłumaczy? Bo go pytają, oczywiście; niepewni swych odczytań i pożądający mądrości, której nikt jeszcze nie wypowiedział.

Zacznijmy od innej strony. Czemu Gombrowicz był „przeciw poetom”? Bo go razily rytuał i sztuczność zbiorowego zachwytu, kiedy – jak domniemywam – miał poezję (jeśli w ogóle ją cenil, choć nie tego tak naprawdę nie potwierdza) raczej za dzieło samotności i co więcej – za przeznaczoną do mileżącego odbioru.

Czemu żąda się od pisarzy wypowiedzi pozaliterackich? Co chcemy od nich usłyszeć? Że urodzili się w małej wiosce i ich droga w świat przypomina naszą przyszłość? Że cierpią na pospolite dolegliwości, ponieważ stygmaty twórcze nie zapewniają szczepionki przeciwko egalitarnym chorobom? Że, jak my, borykają się z nudą powszedności, małymi troskami, pospolitymi zniechęceniami?

A może – ponieważ artystyczne odium rozpościera się nad terenami dziewiczymi i nieskolonizowanymi, przez powszechną cywilizacyjność, chcielibyśmy poznać ich zdanie na jakikolwiek temat, gdyż popularność jest matką autorytetu? Komu jeszcze możemy wierzyć w tym świecie zdominowanym przez intelektualne mafie i ekonomiczne szantaże? Tym, którzy potrafią żyć w innych światach. Cóż za naiwność!

Rytuał święta rozmowy jest żenujący. To zgrany motyw, oczywiście, ale nie mogę zapomnieć o Baudelaire'owskim „Albatrosie”. Cóż za bezradność twórcy wobec własnego dzieła. Nie jesteśmy panami naszych snów i naszych marzeń. Tak on nie do końca jest posiadaczem praw autorskich do własnych słów. Czy naprawdę istnieje coś, co mógłby nam powiedzieć – nie pisząc tego uprzednio? Jeśli tak – to po co tworzyć? Jeśli nie – to po co organizować wywiady, rozmowy, bankiety i konferencje prasowe?

3.

Granice poezji nie są, jak wiadomo, ostre. Jeśli poezja jest jednym z wcielenń intymności – jakże blisko niej znajduje się list. Ten pisany do kogoś ukochanego, kogoś ważnego, kogoś słuchającego. Są oczywiście listy niepoetyckie, jak wypełnione faktury VAT, czy szeleszczące kartki kwestionariuszy podatkowych. Są też listy niepoetyckie innego rodzaju, jak słynne embryony esejów Jerzego Stempowskiego; dzieci logiki, wiedzy, dedukcji i futurologii. Ślęczałem wiele godzin nad poetyckimi listami Bolesława Micińskiego, i tymi niepoetyckimi autora „W dolinie Dniestru”. Różnice widać nawet w charakterze pisma. Także wtedy, gdy Miciński pisze na maszynie. Cóż za cudowny bałagan, chaos interpunkcji; przecinki pojawiają się w miejscach niepewności i wahania – na przekór sterylnym prawom rządzącym zdaniem wielokrotnie złożonymi. Ornamentacyjne anakoluty, cienie myśli. Pismo Stempowskiego, choć niezbyt wyraźne (czas zatarł jaskrawość atramentu), to równo ułożony mur słów; jakby notatki profesora do wykładu. Pismo ujawnia wiele, nawet wtedy, gdy nie bawimy się w domorosłą grafologię. Co mówią listy?

Nie mogę pozbyć się w tym momencie wątpliwości, których od dawna nie mają już Francuzi czy Anglicy. Jak głęboko wolno nam zaglądać w czyjąś duszę, serce – a jeśli mowa jest w liście akurat o chorobie – to także w czyjeś wnętrzości?

Ale też jak powszechnie jest przyzwolenie (ale jakim prawem, jakim prawem?), by wiersz czynić wizytówką czyjejś prywatności. Jeśli nauczyliśmy się, nie bez przeskód i wpadek, nie szukać autora wśród jego powieściowych bohaterów, jeśli z nieufnością traktujemy wszystkie narratorskie głosy, to czemu mielibyśmy ulegać pokusie czytania wiersza jak kartki z *journal intime*, jak z listu poety...

A jeszcze te wszystkie gry i pozy, udawane tony, basy i piski, zmyślane opowieści o sobie samym do potomności. Niewiara w rzetelną autobiografię bywa źródłem kreacji. Mówimy nagle o miejscu, w którym akurat epistolografia i poezja są od siebie bardzo odległe. A może właśnie nie?

Co robić? Zlecać materialną destrukcję listu jego adresatowi? Ależ czytelnikom nie wolno zawierzać niczego cennego; w każdym z nich tli się nadzieja na zostanie jakimś nowym Maxem Brodem. Nie pisać listów? Desperacja. Bo nawet jeśli bylibyśmy skłonni przyjąć, że prywatność niekoniecznie jest na sprzedaż, to przecież chcemy jednocześnie odnaleźć człowieka stojącego za słowem. Gdyby tak nie było, nie istniałaby biografistyka, nie powstawałyby filmy o pisarzach, zbiory wspomnień ich znajomych, kochanek i kochanków, pracowicie zgromadzone zestawy anegdot o przygodach ich życia...

Ach, wiem dobrze, że czytać można na wiele sposobów. Nie widzę wyjścia z tego poplątania. Ale przeglądając fragmenty pewnej opowieści i zdaję sobie sprawę, że mówią mi one więcej o Jej twórcy niż wszystkie z nim wywiady:

„Gdy wszystko przeminie, pozostanie jeszcze niebo, które teraz rozpościera się nad miasteczkiem Dukla, nad wsią Łosie, nad Polską południową i nad całym światem. Nie będzie już nikogo, lecz ten obraz ludzkiej duszy, inteligencji i jaźni będzie trwał w czasie z wolna zamieniającym się w wieczność, aż wreszcie sam zniknie jak wszystko. W każdym razie jedna pociecha jest pewna. Wizerunek, brat bliźniak naszego umysłu nas przeżyje. W niektóre dni meteorologiczna metafora zmierza w stronę realistycznego odwzorowania. (...) Albo gdy słońce zachodzi i brzegi chmur przypominają rany. Szosa z Tyrawy wspina się na grzbiet Słonnej i całe południe płonie jak alegoria okrucieństwa. Krew jest jasna, świeci własnym blaskiem. Widok przywodzi na myśl wszystkie te rzeczy, których pragniemy i których się lękamy, bo złoto jest zawsze światłem, a czerwień zawsze krwią i ogniem, czyli najbardziej ponętnymi postaciami śmierci. (...) Albo wysokie jasne południe. Błękit przypomina wtedy malowane szkło. Z dnia Ciechani podnosi się gorące powietrze i pomiędzy Czumakiem a Czercezem nie dostrzeżesz żywej duszy. Tylko na starej drodze wygrzewają się żmije. Ale one, jak wiadomo, składają się tylko z ciała. I jeśli akurat przebiega tędy atmosferyczny front, to w otchłani lazuru pojawiają się długie białe chmury. Wyglądają jak kości, jak rozsypany i zamglony stos pacierzowy. Bo tak będzie na samym końcu. Znikną nawet chmury i zostanie tylko błękitna, bezkresna źrenica nad resztkami.”*

* Andrzej Stasiuk, *Niebo* (fragment).

A potem znajduję wiersz, dziwny kontrapunkt do przeczytanego tekstu (doświadczenia książkowe chodzą często parami, jak nieszczęścia). Przypominam sobie, że czytałem go dawno temu, w górach: jesień płonęła na stokach. Stałem w płytkim strumieniu, niedaleko domu, w którym mieszkał wówczas pisarz przyglądający się tak bacznie niebu. Czemu wydawało mi się, że na tamtym pustkowiu ten wiersz również mówił o nas – o nim i o mnie, choć wówczas nie poświęciliśmy sobie zbyt wiele czasu i nie mieliśmy nawet okazji porządnie porozmawiać? I znów mętnieje pewność i znów staje nie wiedząc, która z ciemności przemawiała przed chwilą do mnie:

*Nadejdą czasy demokracji i wiara okaże się
równie nlotna jak prawa. Wysokość czynszu,
cla i podatku stanie się właściwą miarą
wolności. Deficyt podyktuje nowe dogmaty.
Polityczna czujność wyrodzi się w wieczność,
proceduralną nudę. Słowa jednak nadal będą
ukrywały myśli, a aureola otaczająca głupotę*

*nigdy nie zagaśnie. Ręce, które rwały ciernie,
obmyją się na spotkane dłoni, które plotły
bicz. Godność i pożądanie w jednym stanie
domku, a wilk przytuli się do czarnej owieczki
i brzydkiego kaczątka. Marzenie o wielkiej hurtowni
owoców południowych zaćmi tęsknotę za sztuką*

*czystą. Mesjasz z litewskich wieszczów nie znajdzie
przytulku nawet w gabinecie figur woskowych.
Zwątpienie zamknie wyobraźnię poetów
w widzialnym, rzeczywistym świecie. Miłość,
na szczęście, wciąż na nowo będzie rozkładać
swoje akcenty w nieprzewidywalnym rytmie.
Natomiast nicość nareszcie objawi się czysta
jak błękit nieba na widokówce z Rzymu.**

4.

Czy niemożliwe może stać się możliwym? To kwestia założonego punktu odniesienia, powiedzą Uczni. Ale ja nie jestem uczonym i moje pytanie nie pada w laboratorium, gdzie konstruowany jest właśnie najnowszy model organicznego komputera, który będzie zdolny, po niezbędnych przeróbkach, do myślenia wraz ze mną, lub raczej za mnie. Mnie interesuje wyobrażenie Niemożliwego,

* Zbigniew Madej, *Dawna przepowiednia* (fragment).

nie jego spełnienie... Zapytajmy więc inaczej: czy wyobraźnia da się przekuć – po spełnieniu kilku oczywistych warunków, wikłających między sobą odpowiednio dobraną temperaturę i właściwie zaaranżowane ciśnienie – postać cieczy? Uczenni uśmiechną się wyrozumiale. Z wyobraźnią jest pewnie tak, jak ze zjawiskami optycznymi. Czysta iluzja (bo przecież piana na smakowicie wdzięczącym się do nas w skwarny dzień piwie nie jest obiektywnie biała; taką ją tylko widzimy), nie więcej. Uczniowie i wyznawcy nauk spekulatywnych będą uparci. Powiedzą: wyjdź poza założoną strukturę świata, przemień prawa – a będziesz miał odpowiedź. Czy dwie proste równoległe przetną się kiedyś? Jasne, że tak: w nieskończoności, uwzględniającej niewidzialne krzywizny kosmosu. Euklides był osłem. To nie ja, to Stefan Themerson. Ale moja wyobraźnia przerasta mnie. Jak to, co mniejsze, dać może wyraz większemu?

5.

Pisarz jest po trosze chasydem. Jego pismo jest jak taniec; wirujący, ekstazytyczny rytm. To poniekąd odmienny stan świadomości. Jest wiele typów mistyki, więc jest mistyka tworzenia. Rzemieślnicy nie są interesujący. Cóż zajmującego w pracowni szewskiej czy stolarskiej ponad to, że spełniają istotne funkcje użytkowe. Tylko to właśnie. Co zaplanowane i wytworzone jedynie w zimnej kalkulacji – nie bardzo wydaje się ani poruszającym, ani tym bardziej istotnym; choć oczywiście znajdzie swoich zwolenników, miłośników, entuzjastów; swoje nagrody, laury i zachwyty.

Wszystko, w przeciwieństwie do tekstu zrodzonego w tej dziwnej iluminacji; tekstu, który jest jak ściana płaczu. Przed nią pobożny Żyd modli się, gdy nadchodzi ten jedyny czas. Jego żarliwość i zatopienie w Słowie i Geście są metonimią podróży w głąb siebie, podróży poza siebie, wyjściem poza Układ, zerwaniem zobowiązań wobec przestrzeni i czasu.

Zazwyczaj tak bywa, że pisarze mają nam mniej do powiedzenia od podmiotów lirycznych, narratorów czy nawet bohaterów swoich własnych dzieł. A jeśli mają więcej – to może lepiej, żeby nie pisali? Cóż innego ponad bolesne rozczarowanie, może czekać nas jako skutek smutnego procederu poszukiwania twarzy (ale też ciała, uczynków, bólu) „za tekstem”? Człowiek dzierżący pióro okazuje się w konsekwencji indywiduum wulgarnym, jak każdy. W. H. Auden zwykł mawiać: „Znałem trzech wielkich poetów i każdy z nich był pierwszej klasy sukinsynem”. To właśnie chcemy wiedzieć – jakiej klasy sukinsynem jest czytany przez nas autor? Rozmowy z pisarzami to absurdalny pomysł. I nie tylko dlatego, że artystyczna wielkość bywa tak często odwrotnie proporcjonalna do życiowej przyzwoitości. Rozmowa jest właściwie odsłonięciem podbrzusza. To, co się dalej dzieje, przypomina masakrę na bezbronnym. Pisarz zawsze wychodzi zeń pokonany. Co czasem oszczędzone bywa jego książkom.

Poza tym to, co mniejsze powinno milczeć, dając szansę temu, co większe. Bo w ostatecznym rozrachunku większość spośród tych, co poddają się niezno-

śnemu nawykowi pisania, wierzy w tę grę większości i mniejszości. Woleliby też myśleć pewnie, że Nic, którym są na co dzień, bywa za sprawą tajemniczej i dramatycznej transfiguracji przeistoczone w chwilowe dzieło ręki Mistrza. I jeszcze wtedy wydaje im się, że przez niewyobrażalnie krótką chwilę są przewodnikami wprowadzającymi nas z matni, która rodzi się wtedy, gdy widoczność maleje.

Jarosław Klejnocki

Mirostawa Dzień

O Kadmosie, Eco i pisaniu Mitologii

1. Czytając ostatnio „Zaślubiny Kadmosa z Harmonią” Roberto Calassio oraz „Wyspę dnia poprzedniego” Umberto Eco doszedłem do wniosków zgoła wcześniej nieoczekiwanych. Obie książki – cokolwiek nie daloby się powiedzieć o tym, co je różni – są niczym innym jak próbą pisania Mitologii. Zaraz postaram się wytłumaczyć niecierpliwemu czytelnikowi, o co mi chodzi. Ba, powiem więcej, nie ma książki prozatorskiej, która w istocie swojej nie pretendowałaby do – jakże zaszczytnego przecież miana – książki Mitologicznej. Roberto Calassio jak zręczny szermierz pragnie ugodzić w samo serce Mit homeryckiej Grecji. Umberto Eco z właściwym sobie mistrzostwem przeskakując jak konik polny z jednej tradycji narracyjnej na drugą w gruncie rzeczy rozprawia się z Mitem historii. Czymże bowiem jak nie Historią są wspomnienia Roberta podszyte zgryźliwą ironią człowieka, który wie, iż tak naprawdę historii nie było i nigdy nie będzie, jest za to jej wspaniałe surogat: powieść narracyjna.

Zabierając się do lektury „Zaślubin...” czulem się – przyznam – w dużym poczuciu dyskomfortu. Tak wyniesiona przez Josifa Brodskiego, książka ta zanim stała się przedmiotem mojej percepcji, od razu budziła lęk. Najkrócej mówiąc był to lęk przed rozczarowaniem. Oczywiście jak stara maksyma powiada „de gustibus est non disputandum” ale... Moje wątpliwości rozwił krótki i samotny cytat z Salustiosa – „Te rzeczy nigdy się nie zdarzyły, ale są zawsze”. Książka Calassio rozpoczyna się od powtarzającego się każdego akapitu retorycznego pytania w rodzaju: „ale jak się to wszystko zaczęło? ”, byłem całkowicie spokojny o ciąg dalszy mojej przygody z tym jakże fascynującym dziełem. Tak już jest,

że głównym zadaniem człowieka stała się kreacja. Jeśli ktoś mi nie wierzy, to proszę zajrzeć do Biblii, do pierwszego i drugiego rozdziału Księgi Rodzaju. Znajdujemy tam pierwszego kreatora, rzec można kreatora archetypicznego, którego głównym, ba jedynym, narzędziem kreacji jest słowo. Rzeczy stworzone przez Boga, to znaczy wydobyte z niebytu i powołane do istnienia (jest to koncepcja z gruntu obca myśli greckiej, która nie zna „creatio ex nihilo”). Tam – jak opisuje Platon w „Timajosie” – boski budowniczy, Demiurgos buduje świat z odwiecznie istniejącej materii. Można powiedzieć, że dokonuje aktu geometryzacji materii), ufundowane są na boskim słowie. Gdybyśmy chcieli się pokusić o żart to powiedzielibyśmy, że cała rzeczywistość nosi znamiona boskiej prozy narracyjnej. Tym samym wszystko, co na tym świecie może się nam przydarzyć jest tylko jednym z możliwych wariantów tekstu narracyjnego. Tak się jednak składa – i dobrze – że nie jesteśmy w stanie wejrzeć w boskie myśli i nie musimy podążać śladem średniowiecznych teologów łamiących sobie (przeciętnie o wiele bardziej od naszych inteligentne) głowy problemem determinizmu, czy też możliwości istnienia kamienia, którego sam Bóg nie mógłby podnieść.

Wyżej wspomniany przeze mnie tekst niesie jednak o wiele bardziej interesujące spostrzeżenie. Tak oto po raz pierwszy i chyba ostatni dowiadujemy się, że w zamiarze Stwórcy człowiek będzie nosił w sobie podobieństwo do Boga. Zatem zostanie mu udzielona funkcja podobna do tej jaką posiada jego Stwórca. Chodzi oczywiście o kreatywność. O ile nie jest to kreatywność absolutna, ta bowiem przynależna jest samemu Bogu, o tyle można mówić w tym wypadku o, nazwijmy to, wtórnej kreatywności, której wyraźne potwierdzenie oddaje nam tekst powiadający o ludzkiej władzy nadawania innym rzeczom nazwy (Rdz. 2,19). Wobec tego wszystkiego o czym powiedzieliśmy sobie wyżej nie będzie przesadą stwierdzenie – jakże otrzeźwiający – że oto cały świat kultury, a więc świat naznaczony piętnem ludzkiej kreatywności, w ostatecznym swoim wymiarze jawi się jako tekst prozatorski z całą galerią mniej i bardziej ważnych osobistości. To właśnie w magicznej mocy słowa zawarte są całe światy ludzkich doznań, to w słowie rodzi się tzw. nauka. (Powiadam „tzw.”, ponieważ przed laty uczestnicząc w Seminarium u o. J. M. Bocheńskiego, ten ostatni zapytany przez nas o to, czym jest nauka? – odparł: „Nauka – to kapusta”.)

2. Słowa zazwyczaj bywają przyczyną (choć oczywiście nie najważniejszą) wojen, waśni, a co za tym idzie krzywdy, krwi i rozczarowania. W jakim celu zatem pisze się wciąż nowe, w ogromnej mierze nieudane powieści, skoro świat, w którym wypadło nam spędzić okrucień czasu sam w sobie nosi znamiona tekstu narracyjnego w swojej istocie wystarczająco skomplikowanego. Odpowiedź na to z pozoru banalne pytanie wcale nie okazuje się taka prosta. Pierwsza z brzegu jaka może się nasuwać brzmi następująco: każdy pisarz biorąc pióro do ręki (raczej należałoby powiedzieć zasiadając za klawiaturą komputera) chce znaleźć sposób na własne unieśmiertelnienie w oczach potomnych, pragnie za-

chować cząstkę z samego siebie, jak powiada poeta „non omnis moriar”. Ale – i w tym momencie powinien odezwać się zdrowy rozsądek – tylko nieliczni, garstka geniuszów i wybrańców losu może zrealizować ten całkiem przecież zbożny zamiar. Nie ludźmy się „ławeczka jest ciasna” a kandydatów aż nadto. Więc kto? Homer, Sofokles, Dante, Milton, Goethe, Dostojewski, Kafka. A co z Eurypidesem, Arystofanesem, Ezopem, Petrarcką, Balzakiem, Schillerem, Proustem, Donnem i dziesiątkami innych, których nie wymieniłem tutaj.

Innym, równie szlachetnym, choć nie aż tak wzniosłym powodem pisania książek jest chęć pozostawienia po sobie czegoś ważnego, istotnego. Tutaj pisarzowi wychodzą naprzeciw architekci, rzeźbiarze, malarze, jednym słowem wszyscy, których trawi ogień ambicji nie pozwalający być jedynie szaraczkciem z troską wyczekującym narodzin kolejnego dnia.

Znany jest również przysnam szczerze, mniej wysoki powód zapelniania papieru intersubiektywnie komunikowalnymi znakami. To nuda. Dobrodziejstwo cywilizacji i jej faktyczny poziom, często mierzy się ilością wolnego czasu. Na tym polu – jak na wielu innych – szczególnie zapisali się Grecy. Im to bowiem zawdzięczamy ten wynalazek, z którym jesteśmy w tak ścisłej symbiozie, że jakiegokolwiek jego pogwałcenie (systemy totalitarne), budzi w nas drzemiącego tygrysa, gotowego na wszelką ofiarę w obronie tego cennego drobiazgu jakim jest wolny czas. Nuda jest nieślubnym dzieckiem wolnego czasu. Stąd dla niektórych skutecznym lekarstwem powrotu do równowagi psychicznej jest twórczość literacka. Zdarzyć się może i zapewne zdarza się, iż mając na uwadze tak lichy w gruncie rzeczy powód, powstaje dzieło godne uwagi, niekiedy nawet arcydzieło. Z krainy nudy bardzo niedaleko do przyzwyczajenia, nalogu. To kolejny, zdaje się powód pisarstwa. Pisarz nalogowy pisze. Czasem dobrze, częściej źle. Niekiedy uwodzi go początkowy sukces i chociaż każda kolejna książka jest pożałowania godnym zbiorem nonsensów, ten kto raz uwierzył w własną gwiazdę, mimo życzliwych uwag przyjaciół, z uporem domagającym się lepszej sprawy, pograża się w ciemnym lesie braku talentu.

Poprzednia moja myśl kończy się słowem „talent”. To kolejna z przyczyn twórczego zmagania z opornym słowem. Nie oczekujcie proszę ode mnie, że powiem Wam czym jest talent, wiem – jak powiada poeta – co to znaczy przyzwoitość. Możemy zatem talent potraktować na wzór logicznego aksjomatu, pojęcia pierwotnego, które nie poddaje się procesowi dowodzenia, lecz przyjmuje z pokorą mnicha wsluchanego w głos mistrza. Talent, jakby od niechceństwa, nieśmiało rodzący się w umyśle i wyobraźni twórcy, część po części jak wirus opanowuje jego wolność. Każdego dnia przekonuje go, iż jest tylko gościem, przyjezdnym szukającym schronienia, ot żeby dać odpocząć zmęczonym koniom. Ale w tej subtelnej grze póz, min, ukłonów, zapewnień o lojalności, kryje się podstęp. Nie wiedzieć kiedy, twórca staje się jego niewolnikiem, galernikiem skutym łańcuchami jego technień, które przychodzą nagle, niepokojąco dojrzałe, jasne, pozbawione igły ironii.

3. Wracam do Mitologii. Książki ostatnich paru lat z różnym rzecz jasna powodzeniem próbują otrzeć się za każdym razem o inny Mit. Mamy zatem do czynienia z kreacjami chybionymi, w swojej masie treściowej artystycznie nieudanymi jak głośne (tylko) próby Manueli Gretkowskiej odwołujące się do postmodernistycznej manieri i epatujące zgola fałszywym intelektualizmem. Mamy Andrzeja Stasiuka z nieprzekonującym niżej podpisanego „zranionym” światem tzw. zwykłych ludzi z powieści „Biały kruk”, (wydaje się, iż tegoż „Opowieści galicyjskie” otworzyły nowe, o wiele ciekawsze możliwości), aż po pozycje dojrzałe, skupione, napięte, rzec by można wytrzymane do końca, przy lekturze których dostrzega się wysiłek zmierzający do opisanja Mitu. Myślę tutaj o „Paszji według świętego Jana” Krzysztofa Myszkowskiego, oraz „Zapiskach z nocnych dyżurów”, Jacka Baczaka.

Chciałbym zatrzymać się na moment przy ostatniej z wymienionych książek. Gdyby postawić pytanie, który z Mitów książka Baczaka tropi? Odpowiadam. To książka o Micie Życia. I nie jest to paradoks, że tak wiele w Baczakowej opowieści – dzienniku, śmierci. Życie i śmierć są bardzo blisko siebie, jak syjamskie siostry w których bije to samo serce bytu. Wielkim uproszczeniem byłoby twierdzenie: że oto książka Baczaka jest próbą opisu ostatnich godzin przed zgonem pensjonariuszy jednego z domów opieki. W „Zapiskach” nie ma cienia litości. Jest za to Oblicze – Życie, Oblicze – Trwanie. „Stałem przed Obliczem” – kończy swoją książkę Baczak. To w gruncie rzeczy pełna optymizmu opowieść, stojąca po stronie życia, spuszcza jąca zasłonę, przykrywającą śmierć, która i tak przyjdzie we właściwym czasie, nagle, jak złodziej. Ktoś kiedyś powiedział: „pisz o śmierci, a w ten sposób przysłużysz się życiu”. Jedynym godnym kontrastem dla Życia jest Śmierć. Staje się ona pryzmatem, perspektywą, bliskim kontekstem Życia. Stąd właściwym środowiskiem Baczakowej opowieści jest świat zanikania życia, kureczenia się tego żywiołu, w którym jak w wielkim oceanie toną wszystkie drobiny sensów, cała aksjologiczna nadbudowa. Nie można pisać o śmierci, jest ona rzeczywistością pozostającą poza intersubiektywnie sprawdzalnymi sposobami komunikowania się. Mówić o śmierci, to tyle, co dokonywać swoistej nadinterpretacji, pojęciowego nadużycia, przenoszenia sensów z rzeczywistości nie – dotykanej, na dyskurs posługujący się aparaturą zaczerpniętą z czasowo – przestrzennych doznań. To, co uderza u Baczaka to właśnie pewność, że można mówić tylko o Życiu, kruchym ale jedynie dającym się zwerbalizować. I być może właśnie ten fakt – dostarczający iluzji śmierci – jest ostatecznym, niepowątpiewalnym dowodem na to, że „Zapiski z nocnych dyżurów” są książką o Micie Życia.

4. Na zakończenie jeszcze raz wróć do „Wyspy dnia poprzedniego”, ostatniej książki Umberta Eco. Mamy w niej do czynienia z wieloma nakładającymi się na siebie warstwami narracyjnymi. Robert de la Grive nade wszystko jest pisarzem listów do damy swego serca, w których opowiada swoją własną Historię rozbitka.

Ta historia jednak tworzy wielowątkowy amalgamat, gdzie wciąż żywe wspomnienia z odbytej przed laty kampanii wojennej z Casale, łączą się z melancholią mieszkańca opuszczonego statku. To tam właśnie Robert rozpoczyna dalekie wędrówki własnej pamięci. Ostatecznie Mitem staje się tutaj list. Książka (co prawda podzielona na odcinki) w książce. To właśnie list ostatecznie funduje inne, zaistniałe w tekście Eco, płaszczyzny narracyjne. Robert żyje Mitem listu, który staje się dla niego bramą do innych komnat jego własnej Historii. Wypada zatem jeszcze raz zapytać: ale jak to wszystko się zaczęło?

Mirosław Dzień

Małgorzata Borkowska OSB

Rozpieszczone dziecko Pana Boga*

Kto ją pamięta z ostatnich tygodni życia, w szpitalu, ten zachował obraz drobniotki postaci, tonącej w jakiejś surrealistycznej machinie do naciągania wykrzywionych kości – i tylko oczy te same, co zawsze, okrągłe, promienne: „Koteńku! Tak mi dobrze! Jestem naprawdę rozpieszczanym dzieckiem Pana Boga!” Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem te słowa jej się wyrwały, może nie, bo ta deklaracja pochodziła z warstw zbyt głębokich, żeby się nadawała na codzienny użytek: ale właśnie w tych najgłębszych warstwach świadomości była chyba przez całe życie obecna i kształtowała postawę „Anakondy” wobec Boga i świata.

Przezwisko „Anakondy” przywiozła jeszcze z Wilna; mniejsza o kontekst, w każdym razie tak ją tu nazywaliśmy wszyscy i tak ją muszę nazywać, nawet teraz i przed takim audytorium, jeżeli mam mówić nie o jej pracach naukowych, tylko o jej osobie. Inaczej ryzykowałabym, że będę mówić o kimś zupełnie innym, a wcale nie jestem pewna, czy ona sama nie dalaby mi z tamtego świata jakiegoś wyraźnego znaku swojego niezadowolenia.

Więc „rozpieszczane dziecko Pana Boga”. Jak człowiek, żyjący w naszych czasach, może uważać, że Bóg go rozpieszcza? Dwie wojny światowe, podczas



Zofia Abramowiczówna
Fot. Archiwum „KA”

* Wspomnienie poświęcone prof. Zofii Abramowiczównie.

tej drugiej ponadto obóz, po niej przesiedlenie. W parę lat potem usunięcie z uniwersytetu, a po powrocie przez wiele lat, ze zmiennym nasileniem, ale i z nużącymi jednostajnymi nawrotami, przeróżne trudności i przykrości, „należne” osobie o bardzo zdecydowanych, a bardzo niemarksistowskich przekonaniach. A dalej wszelkie realia naszego codziennego, schodzącego na psy bytowania, a jeszcze ciężkie choroby bliskich i własne... Ale może wszystkie przykrości życia zewnętrznego były jej wynagradzane jakąś ekstatyczną radością w życiu wewnętrznym, w modlitwie, w łatwości stosowania się życiem i czynem do wymagań Ewangelii? I to nie: miała trudności te same, co wszyscy ludzie. Jej listy pełne są stwierdzeń w rodzaju:

„... próbowałam chodzić na rekolekcje, ale nie mogę niczego *sluchać*, zwłaszcza po południu, natychmiast zasypiam” (1974).

Albo, w sprawie kłopotliwego gościa:

„Co chwila muszę się brać za kark i mocno sobą potrząsać... ” (1973). Co zaś do liturgii, którą tak kochała, to ostatnie ćwierćwiecze zrobiły z tego miłość zupełnie bezinteresowną: reforma liturgiczna, napierw długie lata zamieszania, w końcu rozwlekła i nie zawsze gramatyczna polszczyzna w miejsce klarownych, ulubionych łacińskich tekstów... „Anakondzie” w kościele została – nie byle co, istota akcji liturgicznej: ale odpadła cała przyjemność.

A mimo to wszystko mało jest ludzi, którzy z równym jak ona przekonaniem potrafiliby powtórzyć słowa Staffa:

„Nic mi, świecie, piękności twej zmącić niezdolne” – co wśród przyjaciół wyrażano nieco krócej, mówiąc: „Anakonda sybarytka”. Po prostu miała jakąś zupełnie niebywałą zdolność znajdować i smakować każde dobro, małe, duże, jakie tylko stanęło na jej drodze. I być za nie wdzięczna. Gdyby tak szukać analogii i porównań pośród najlepiej znanych postaci świętych Pańskich, to można by powiedzieć, że „Anakonda” doskonale by się porozumiała ze św. Teresą z Avila, dla której wszystko było radością, nawet cierpienie – ale nie ze św. Janem od Krzyża, dla którego wszystko było cierpieniem, nawet radość.

Więc pewien typ psychiczny, niewątpliwie tak, co innymi słowami można wyrazić: ta zdolność do radości została jej dana od samego początku. Bardzo też wczesnie została pogłębiona przez odkrycie, że dobro może być chwilowo niedostrzegalne, a pozostawać dobrem; i nawet radość może być tak głęboko, że już nie jest odczuwalna, a pozostaje radością. 36 lat temu ogłoszono w *Tygodniku Powszechnym* ankietę pt. „Bezimienni mówią o modlitwie”, a z zebranych wypowiedzi powstał tomik wydany w *Znaku* (1973). „Anakonda” wzięła udział w tej ankiecie i ta anonimowa wypowiedź jest (o ile mi wiadomo) jedyną znaną jej relacją o dziejach własnej duszy. Okazuje się, że już jako kilkunastoletnia uczennica, „Anakonda” przeżywała coś w rodzaju wyzwolenia z subiektywizmu własnych uczuć i nastrojów, kiedy wyczytała w książeczce do nabożeństwa, że modlitwa jest sprawą nie wzruszeń i uniesień, ale umysłu i woli. Zdumiewająca dojrzałość! bo iluż ludzi nie tylko przed maturą, ale i nigdy w ogóle nie rozwiązuje tego problemu, choćby czytali nie tylko książeczki do

nabożeństwa, ale i dzieła mistyków. A po drugie mamy tu znowu całą „Anakondę”, dla której nawet stwierdzenie, że radość nie jest rzeczą ważną, okazuje się doskonałym powodem do jeszcze większej i jeszcze głębszej radości.

Ale spróbujmy jakoś sprawę usystematyzować. Naczelną, wielką miłością „Anakondy” był Bóg, całkiem po prostu, i tej jeszcze w szkolnych latach odkrytej zasadzie, że „najważniejszy w życiu jest Jezus Chrystus” pozostała zawsze wierna. Życie przynosiło jej mnóstwo okazji do potwierdzenia tej wierności, choćby wbrew ludziom i prądom. Cicha z natury i zupełnie nie czująca powołania do czynnego apostołstwa, była mimo to bezbłędnie rozpoznawana przez przychylnych i nieprzychylnych, jako coś w rodzaju lokalnej ekspozytury Pana Boga na Toruń i okolice: po prostu jakoś miała Go zawsze blisko. A z miłością do Dawcy życia łączyła się miłość do życia i do żywych. „Anakonda” kochała życie wieczne i życie doczesne; skoro Bóg dał jedno i drugie, to jedno i drugie zasługiwało, we właściwej mierze i kolejności, na pełne docenienie i wykorzystanie.

Jak? Cała „Anakonda” jest w tekście jej ulubionej kolekty mszальной: *Deus qui diligentibus Te facis cuncta prodesse, da cordibus nostris inviolabilem Tuae caritatis affectum, ut desideria de Tua inspiratione concepta nulla possint tentatione mutari*¹.

A co to były za „desideria Davina inspiratione concepta”?² Aż wyliczyć trudno. Praca badawcza i praca dydaktyczna, i wszystko, czego dla duszy, umysłu, ciała lub dobrego humoru potrzebowało jej otoczenie, ale także dla Lasek, ale także dla KUL-u, ale wreszcie także i kąpiel w jeziorze, i grzybobranie, i muzyka, i wino, bo przecież – jak mawiała – wszystkie te dobre rzeczy stworzył Bóg nie tylko dla tych, którzy Go nie znają. W dzieciństwie zapewne, wbrew jej naturze (czy wbrew danej jej łasce, to wychodzi na jedno) urabiano ją według innych idealów, ale to zostało przezwyciężone: „Miałam, jak większość ludzi, skłonność do przeświadczenia, że Bogu ofiarować można tylko to, co mnie kosztuje, tj. cierpienie, pracę, wysiłek. I musiałam się dopiero przyzwyczaić do świadomości, że także i odpoczynek i przyjemność może być modlitwą... Ofiarować można i nudną robotę i przyjemną robotę, i słuchanie pięknego koncertu, i słuchanie wrzeszczącego na cały regulator u sąsiadów radia...”

Jeszcze jedno odkrycie, które ją ukształtowało, czy może pozwoliło jej być sobą, rozwinąć własną, a nie cudzą tożsamość religijną. Zapewne też zgodziłaby się bez zastrzeżeń z twierdzeniem pewnej swojej bratniej duszy, iż walnym dowodem na istnienie Boga jest gorzka czekolada; tyle, że może zamiast czekolady, wymieniłaby swoje ulubione kartofle ze zsiadłym mlekiem?

Patrzyła więc „Anakonda” na Boga jako na Tego, który nie dość, że daje radość doczesną, to jeszcze prowadzi do wiecznej. Toteż dominantą jej stosunku do Niego była wdzięczność. Prawda, jednym z jej ulubionych aforyzmów był cytat z któregoś z angielskich pisarzy, że Boga łatwo ucieszyć, ale trudno

¹ łac. Boże, który kochającym Cię we wszystkim pomagasz, daj sercom naszym niewzruszone odczucie Twojej miłości, aby żadne pokusy nie mogły zwiść pragnień poczętych z Twego natchnienia.

² łac. pragnienie poczęte z Bożego natchnienia

zadowolić. Ale przynajmniej można było próbować, i sama taka możliwość była dla „Anakondy” nie obowiązkiem, ale szansą, i to szansą nie do zmarnowania. A zwłaszcza można było żyć w stałym kontakcie z Bogiem, bo cóż jeszcze pozostawało w życiu, czego by ten kontakt nie obejmował? Nawet wszelkie trudności, nawet winy:

„Myślę – pisze – że z pomocą Bożą można w sobie wyrobić przyzwyczajenie ciągłego zwracania się do Boga w życiu codziennym: zrobiłam głupstwo – przeprosić Go zaraz... dostałam pomyślną wiadomość – krótka myśl: «Boże, dziękuję!», a już co do prośb, to chyba z pięćdziesiąt razy na dzień można westchnąć: ześlij! pomóż! natchnij! daj! A nawet i to nie wszystko. Mamy przecież upomnienie św. Pawła, żebyśmy czy jemy, czy pijemy, czy pracujemy, wszystko robili w imię Boże... Jeżeli każda nasza czynność nie będąca grzechem, może być zasługą, o ile jest Bogu ofiarowana przez zasługi Chrystusa, to tu otwiera się możliwość nieprzerwanej w ogóle modlitwy, nieustannego kontaktu z Bogiem. A jednocześnie jest to bodziec do dobrego i porządnego wykonywania każdej czynności... ” A dalej: „Jakież mnóstwo czasu marnowanego na nie myślenie o niczym, w pociągu, w kolejce, w poczekalni, można obrócić na pożytek bliźnich i nasz własny”, na tę „wspaniałą możliwość” modlitwy.

Oczywiście w tak pojmowanym świecie nie było miejsca na strach, skoro rządził tu Bóg, który *facit cuncta prodesse*³. To nie znaczy, żeby wśród tych „cuncta” nie było rzeczy cięższych ani strasznych, jak zgon matki, albo żeby nie było przewidywania przykrych wydarzeń: nieraz w rozmowach i w listach „Anakonda” dawała wyraz różnym obawom, zwłaszcza o bliskich. Ale właśnie tym się dla niej różniła Boża moc od ludzkiej, że człowiek obraca na korzyść na ogół tylko wydarzenia miłe, a Bóg wszystkie. Więc nie było miejsca na strach taki, który by mógł zawrócić ją z obranej drogi.

Kochając Dawcę życia i dar życia, kochała także odbiorców takiego daru. Jej skargi na „swoje z natury skrajnie aspołeczne” usposobienie tłumaczyły się tylko nienasyconym potrzebą robienia dobra, przekonaniem, że zawsze można jeszcze trochę więcej. Było to u niej spontaniczne, nie wydedukowane: w życiu nie nawymyślałaby nikomu od „bliźnich”! Ale też w życiu nie odmówiłaby nikomu potrzebnej przysługi, o ile tylko była akurat na tyle zdrowa, żeby cokolwiek robić. Więcej: wychodziła naprzeciw. Podobno dla uczestników jej pogrzebu zaskoczeniem była obecność siostry bibliotekarki z Lasek i jej podziękowanie za pięćdziesiąt trzy przepisane Braillem książki. „Anakonda” wzięła na siebie to zobowiązanie i była mu wierna przez przeszło pół wieku, przyjmując w dodatku do przepisania teksty trudne lub obcojęzyczne, których inne kopistki nie chciały. W ogóle rzuciła się jak kot na mysz na każdą okazję podzielenia się z kimś tym, co posiadała: wiedzą, znajomością języków, książkami, zbiorami ikonograficznymi, czy choćby umiejętnością tkania krajki z barwnych nici systemem białoruskim na kolanach i patyku. Zupełnie w jej stylu było np. zaproponować naukę

³ łac. pomaga we wszystkim

greki komuś, kogo nie znała osobiście, a tylko okrężną drogą dowiedziała się, że pewnie miałby ochotę. I potem przez całe lata zawsze na to był czas.

Korzystal też, kto żyw. Iluż to historyków sztuki albo edytorów pytało ją na przykład o różne łacińskie zwroty! „Poczekalabyś na odpowiedź, nie ma co, tak jestem zavalona robotą, i to ciągle cudzą... Ale oczywiście skoro chodzi o konsultację, to odpisuję z miejsca, nie mogę ci kazać czekać...” (1983). Albo z wakacji: „A do mnie tu zjeżdżał dwukrotnie limuzyną rektorską sam Magnificencja! przywożąc czternaście dyplomów doktorskich honoris causa do przetłumaczenia na łacinę – *cito, cito, citissime*⁴, bo trzeba zdążyć wydrukować na 7 września...” (1973). W ostatnim roku jej życia tych prywatnych studentów było zdaje się kilku, w tym jakiś młody świadek Jehowy. „Anakonda” nie miała zaufania do ekumenizmu, ale ktokolwiek chciał się od niej czegoś uczyć, miał ją do dyspozycji. Od tego była. To było jedno z tych pragnień, co do których nie chciała, żeby je jakiegokolwiek pokusy odmieniły.

Ze swojej wielotematycznej biblioteki użyczyła też najrozmaitszych książek: filologia czy teologia, bibliistyka czy beletystyka, wszystko tam było i też było do dyspozycji. „Koteńku... ty byś pewnie chciała przeczytać...” i tu nagle znikła gdzieś za kanapą i z dolnej półki wyciągała proponowaną lekturę. Natomiast nie pamiętam, żeby kiedy próbowała cokolwiek z dziedziny religijnej wyjaśnić sama. Kryła się raczej za autorów, którymi zresztą szafowała bardzo trafnie; raz dlatego, że za nic w świecie nie weszłaby z butami do cudzej duszy, a dwa, że i dla niej samej mówienie o tym, co najgłębsze i najważniejsze było nieomal profanacją. Zresztą nie było potrzeby. Niosła to ze sobą bez słów.

Ale trzeba dodać, że wszechogarniająca życzliwość „Anakondy” nie była bynajmniej ślepotą na zło. Ludzie w jej oczach zasługiwali na pomoc, ale nie we wszystkim. Były bowiem i takie pragnienia, których niewątpliwie Bóg nie natchnął, i takim sprzeciwiała się, gdziekolwiek je znalazła, w sobie czy poza sobą, a potrafiła nie owijać rzeczy w bawelnę. Potrafiła nazwać kogoś „Nike z Chamodraki”, i wznosić polityczne toasty „na pohybel”, i zacytować bez żadnej litości:

„Senator wypadł z laski,
z laski, z laski, z laski!”⁵

W jej naturze nie leżała żadna angelologia, a przeciwnie, satyryczny humor, któremu dawała upust w rozkosznych balladach, rymach makaronicznych i różnej tego typu twórczości okolicznościowej. Dowcip, własnej czy cudzej produkcji, był najwyraźniej jeszcze jedną dobrą rzeczą, którą Bóg stworzył nie tylko dla swoich wrogów. „Anakonda” była cudownym odbiorcą żartu tam wszędzie, gdzie go znalazła, nawet tam, gdzie kto inny może by się już zdenerwował.

⁴ łac. szybko, szybko, jak najszybciej

⁵ cyt. z III Części „Dziadów” Adama Mickiewicza (o Nowosilcowie)(red.).

Pamiętam wyraz jej twarzy – niemal triumfalną radość – kiedy opowiadała, że na egzaminie student ze Sfinksa zrobił „skunksa”, albo kiedy któryś ze współpracowników *Słownika* przysłał hasło absurdalnie sformułowane. Kochała gry słów, zabawne przejęzyczenia, przewrotnie zastosowane cytaty i aluzje. I kochała pastisze, jak może je kochać tylko ktoś, kto zna doskonale teksty prawdziwe.

Ale śmiechem czy żartem reagowała także nieraz na wiadomości poważne i niepokojące. A nawet jeśli reagowała oburzeniem, to i jej śmiech, i jej oburzenie miały tę właściwość, że automatycznie kończyły wszelką możliwość dramatyzowania. Sprowadzała każdą rzecz do właściwych proporcji: trochę tak, jakby z międzygwiazdnej perspektywy historii, i to w dodatku historii mającej sens, uśmiechała się pobłażliwie nad nonsensem co niektórych ludzkich działań. Obce było jej wyolbrzymienie czegokolwiek, w tym także i problemów.

W ogóle świat przedstawiał się jej wszystkim jako ład, a tam, gdzie ten promieniujący od wewnątrz ład jeszcze nie całkiem dotarł, albo został zmaćcony, należało oczywiście go wprowadzić. I właśnie nie „porządek”, w takim znaczeniu, w jakim mówi się „porządek musi być” albo „robi się z kimś porządek”, oczywiście cudzym kosztem; ale ład, harmonia, proporcja, wprowadzane własnym kosztem i własnym nieustannym wysiłkiem. W pewnym stopniu to pojęcie proporcji i ład, to jej ukochane *meden agan*^o, utrudniało jej czasem zrozumienie innych typów ludzkich, dróg myślowych czy (w najszerszym rozumieniu) powołań. W liturgii na przykład niewiele jej dawały poetyckie teksty biblijne, zwłaszcza psalmy, pełne obrazów i przenośni: kochała natomiast rzymskie kolekty z ich intelektualną precyzją wyrazu. Za nieproporcjonalne, a tym samym sobie obce, uznawała także np. drogi świętości pustelników egipskich, a o pewnym współczesnym autorze włoskim pisała:

„Przerażający maksymalizm kogoś, kto nie tylko całe osobiste życie przekreślił, ale wygląda na to, że wymagałby tego od wszystkich! Prawdę mówiąc, taka integralna świętość mnie zniechęca...” (1975)

Miałam ochotę odpisać jej wtedy, że jeśli kto, to właśnie ona przekreśliła całe osobiste życie, poświęcając się służbie, i to służbie wyjątkowo ważnej i trudnej, bo na topniejącym szczyście tej nauki, która czyni człowieka człowiekiem. Ale dałam spokój, bo przecież odpisałaby mi natychmiast, że się niczego w życiu nie wyrzekła: ani borowików, które witała zawsze heksametrem greckim, ani nawet tej lnianej serwetki, którą w jej domu przykrywało się kartofle w salaterce, żeby dobrze parowały i smak miały dokładnie taki, jak trzeba. No i niby prawda, nie wyrzekła się. Ale gdyby odebrać jej to wszystko, jak swojego czasu odebrano jej wszystko w obozie, ona zaraz znalazłaby sobie tyle nowych wielkich, małych i całkiem malutkich powodów do radości i wdzięczności, że nadal byłaby pewna, że się niczego nie wyrzekła. Nikt by odbierać nie nadążył. „Anakonda sybarytka”.

^o gr. nic, ponad miarę

To umiłowanieładu wyrażało się też na co dzień w ogromnej systematyczności. Proszę pomyśleć; dzień w dzień przez przeszło pół wieku, świątek czy piątek, semestr czy wakacje, ona musiała swoją stronice Braille'a dziennie przepisać i przepisywała. Nie wiem, rano czy wieczorem, nigdy nie było widać tej roboty rozłożonej. Ale przepisywała. O tej systematyczności zresztą legendy krążyły, i to nieraz zgola ucieczne: było nawet specjalne pisemko wychodzące w jednym egzemplarzu i zatytułowane „Anakonda”, redagowane przez wdzięcznych przyjaciół w tym samym stylu, w jakim ona tychże przyjaciół opiewała w swoich balladach.

Jednego nie znosiła: wszelkiej nieprawdy i blagi. W tym więc na przykład podpisywania indeksów studentom, którzy na wykłady nie chodzili; a także oficjalnych przemówień w stylu, który się u nas właśnie kończy, ale ona niewiele już tego końca zdążyła obejrzeć. Pamiętam, jak kiedyś pojechała na inaugurację roku akademickiego na KUL-u i po powrocie pisała z entuzjazmem: „Dwie godziny przemówień i ani jednego kłamstwa!” To był rok 1979. Nieprawda uderzała ją jako rzecz i niechrześcijańska, i nieapollinińska; niestety, oba te systemy wartości, w niej tak dobrze połączone, były u nas oficjalnie w defensywie, i niestety, na jej stanowisku słuchania wielu błag nie można było uniknąć. Rantkiem wtedy stawał się żart: odtrutka skuteczna i bardzo w stylu „Anakondy”. A swoją drogą wspomagała KUL jak umiała, uważając go za to miejsce, gdzie chociaż też nie święci żyją, ale przynajmniej nie obowiązują oficjalne kłamanie.

Pokrewne kłamstwu, a w każdym razie przeciwne wszelkiej proporcji i harmonii, było dla niej czyjekolwiek mówienie o jej zasługach i osiągnięciach. Swój jubileusz skwitowała słowami: „Niestety, wszystko rozdmuchane”, uważając, że w porównaniu z innymi, zasłużonymi reprezentantami swojego pokolenia nie tylko nie ma czym się pochwalić, ale w ogóle nie powinna zwracać na siebie uwagi. Nie wiem, jak się to oblicza: czy na ilość wydanych arkuszy, czy na ilość doktoratów, czy godzin lekcyjnych. Wiem, że była dla nas ośrodkiem wiedzy, mądrości i radości.

Małgorzata Borkowska OSB

NOTA

Profesor dr hab. Zofia Abramowiczówna urodziła się 14 czerwca 1906 r. w Wilnie. Ukończywszy tamtejsze Państwowe Gimnazjum Humanistyczne im. E. Orzeszkowej podjęła studia filologii klasycznej na Uniwersytecie Stefana Batorego. Po ich ukończeniu w r. 1931 została tam zatrudniona w Katedrze Filologii Klasycznej, a dalej, jako stypendystka Funduszu Kultury Narodowej, wysłana do Berlina dla pogłębienia studiów. Doktoryzowała się w r. 1937 u prof. Stefana Srebrnego na podstawie opublikowanej po francusku pracy o epice grec-

kiej. W r. 1945 przybyła do Torunia, gdzie została adiunktem w kierowanej przez prof. Srebrnego Katedrze Filologii Klasycznej powstałego właśnie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, skąd zwolniono ją z powodów ideologicznych w 1949. Podjęła wówczas pracę w Toruńskim Towarzystwie Naukowym i habilitowała się w r. 1952 na podstawie komentarza krytycznego i egzegetycznego do pism Plutarcha. Na uniwersytet wróciła po Październiku 1956 r., gdzie wykładała jako docent w Katedrze Filologii Klasycznej. Z tychże samych powodów ideologicznych czekała na nominację profesorską do r. 1973. Na emeryturę przeszła w r. 1976. Zmarła 29 maja 1988 r. w Warszawie, została pochowana w Toruniu. Do ostatnich tygodni czynnie uczestniczyła w życiu naukowym i dydaktycznym Katedry Filologii Klasycznej UMK.

Fundamentalnym jej dziełem jest zredagowany przez nią czterotomowy *Słownik grecko-polski* (PWN 1958-1965). Praca nad nim zaowocowała licznymi jej *addenda et corrigenda* do renomowanego w świecie *A Greek-English Lexicon* wydawanego w Oksfordzie, którego redakcja je z wdzięcznością uwzględniła. Przystwoiła też kulturze polskiej *Bukoliki i Georgiki* Wergiliusza w przekładzie naśladującym rytm oryginału (Biblioteka Narodowa Ossolineum 1953) oraz większość *Moralionów* Plutarcha (Biblioteka Narodowa Ossolineum 1954, Biblioteka Klasyków Filozofii PWN: t. I-1977; t. II-1988).

Marian Szarmach



Zofia Abramowiczówna

Fot. Archiwum „KA”

RECENZJE

Grzegorz Kalinowski

Rozpraszenie mroku

Istotą literatury jest stawianie pytań i szukanie sensu – pisze Zbigniew Żakiewicz w swej ostatniej książce *Ujrzane, w czasie zatrzymane*. Być może ową próbę zatrzymania bogactwa i naporu tak złożonej, napastliwej i obłąkanej rzeczywistości umożliwia tylko literatura. Jedynie ta dziedzina sztuki stawiać może fundamentalne pytania i w sensowny sposób odpowiadać na nie. Tak chcą przynajmniej pisarze – profeci doświadczający metafizyczności świata i pojmujący, że *między otaczającym światem a nami istnieje tajemna tożsamość*.

Ujrzeć obraz, fragment rzeczywistości. Zatrzymać w czasie. Intryguje ten tytuł. To, co nieosiągalne, na szczęście pozornie, bo w końcu problem związany z próbą pochwycenia, zatrzymania umykającego czasu stanowi obsesję każdego twórcy, okazuje się możliwe tylko poprzez słowo zastygłe w formie, słowo ocalające, pozwalające trwać, niezniszczalne.

Wszystko, co najistotniejsze dzieje się w słowie. *Czasem modlitwą jest pisanie. Kiedy piszę odsłania mi się to, czego nie wiedziałem (...). Stajemy się, żyjąc, pisząc.* Pisanie jest objawieniem, gnostyckim doznaniem. Akt twórczości słownej, mistyczne skupienie, to to samo co bytowanie, chciałoby się przywołać Heideggera, ku śmierci. Ostateczność implikuje perspektywę tajemnicy, nadaje sens wszelkim doświadczeniom i wtajemniczeniom – czekaniu, miłości, cierpieniu, śmierci w końcu. Zbigniew Żakiewicz przygląda się sobie, swej wędrowce, którą rozpoczął w 1944 r. z epickiej perspektywy, *z głębości, do której wpadają wszystkie rzeki*. Ogląda się. Zstępuje w głąb. Próbuje odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: *jak odnaleźć swój los, swoje imię*. Czesław Miłosz w eseju *O wygnaniu* przywołuje pitagorejską zasadę – *Kiedy wyjedziesz z rodzinnego kraju, nie oglądaj się, Erynie za Tobą*. Złowieszco brzmiąco przestroga nie powstrzymuje autora *Białego karła*. Ogląda się, budzi przeszłość, wydając na pastwę Eryunii, ale też ulegając ocalającej mocy pamięci. Odczytuje teraźniejszość poprzez przeszłość, ale także odwrotnie.

Ujrzane, w czasie zatrzymane to forma quasi-dziennika, w którym autor-narrator, zanurzony w przeszłości, opowiada swoje dzieje, dramatyczną wędrowkę ze wschodu na zachód, z Wileńszczyzny na Wybrzeże. Odnajduje w tym, co minione – jakby powiedział Czesław Miłosz – *barwy, kształty, intonacje, szczegóły architektury, wszystko, co urabia nas w dzieciństwie*. Wielowątkowość, bogactwo refleksji, obrazów, rozmów, lirycznych fragmentów, impresji kreują złożony i wielowymiarowy świat. Proza Zbigniewa Żakiewicza rodzi się z zapatrzenia w raj utracony, mityczną arkadię dzieciństwa, strzępy obrazów. Z dru-

giej strony stanowi próbę rozpoznania i opisu rzeczywistości polskiej, która jest tłem wędrówki pisarza do exodusu z 1944 r. poprzez lata PRL-u, wybór Polaka na Papieża, obrazki z lat 80. po lata 90. Autor – narrator snuje swą opowieść o osobistych, często przejmujących doświadczeniach, świadom zamętu i chaosu wpisanych w świat na przełomie dwóch tysiącleci.

U źródeł tej prozy tkwi świadomość zbląkania, zagubienia w pełnym sprzeczności świecie, pośród mroku, który wywołuje naturalny lęk, zatrwożenie i próbę rozproszenia ciemności. Świat prozy Żakiewicza budują antynomie. Podstawowym doznaniem warunkującym jej kształt jest doznanie metafizyczności świata, jego dwoistości wynikającej z manicheistycznego sposobu postrzegania rzeczywistości. Dobro i zło. Światło i mrok. Życie i śmierć. Te opozycje można by mnożyć. Dzięki temu Zbigniew Żakiewicz zwraca uwagę na inny wymiar – metafizyczny, mistyczny porządek uniwersum, ukrytą nierozpoznawalną – tajemnicę. Owa tajemna konstrukcja uniwersum wspiera się na sprzecznościach i niczym Krzyż Chrystusowy rozpościera się w ludzkiej przestrzeni.

Ostateczną perspektywą, ku której zwraca się narrator jest tajemnica, przenikająca postać Chrystusa, który dla Żakiewicza jest przede wszystkim *Bogiem krzyczącym. To jest krzyk cierpienia. Właśnie Bóg na szubienicy. Bóg ukrzyżowany, to oznacza, że jest jakiś błąd w świecie, tym błędem jest Zło.* Istnienie Zła, dla autora – podstawowe doznanie świata, to właśnie tajemnica, o której *mało wiemy i w sensie racjonalnym my tego sobie nigdy nie wytłumaczymy. Ta odwieczna walka będzie trwała do końca świata. Ale to nie znaczy, że człowiek jest skazany.*

Motywnym wędrującym w ostatnim tomie prozy Zbigniewa Żakiewicza jest motyw ptaków. W myśl tradycji biblijnej należą one do świata powietrza i światła. Kontrapunktuje te obrazy motyw ciemnej wody, lasu, posępnego krajobrazu Kaszub, repliki Wileńszczyzny. Światło i mrok. Równocześnie.

Odczucie świata w książce *Ujrane, w czasie zatrzymane* jest intensywne i zmysłowe. Autor szczególnie wrażliwy na ból, cierpienie i śmierć próbuje rozproszyć mrok. Jest mistykiem zafascynowanym św. Faustyną Kowalską i św. Franciszkiem. To oni otwierają przestrzeń nadziei. *Trudno jest dojść do Chrystusa, bo trudno jest go pojąć i przyjąć Ewangelię.* Droga do Boga – człowieka prowadzi często przez cierpienie. I stąd być może urzeczenie wspomnianymi postaciami. Tęsknota za harmonią, którą uosabiają.

Precyzyjny i klarowny język Zbigniewa Żakiewicza kreuje spójny, pomimo całej złożoności, i wyrazisty świat. Budując przestrzeń egzystencji ludzkiej, szczerze ją zagęszcza. Dbą o szczegół, w którym – według Gustava Flauberta – kryje się dobry Bóg. Równocześnie ów język penetruje niejasne obszary doznań religijnych i mistycznych oraz doświadczeń egzystencjalnych. Świat prozy autora *Ujrane, w czasie zatrzymane* przenika światło sytuujące się naprzeciw tajemnicy.

Grzegorz Kalinowski

Zbigniew Żakiewicz, *Ujrane, w czasie zatrzymane*, Biblioteka Tytułu, Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1996.

Poszukiwanie dowodów

Najnowszy tom prozy Andrzeja Stasiuka otwiera autobiograficzne opowiadanie *Chodzenie do kościoła*, którego tytuł pokrywa się z tytułem wiersza Philipa Larkina. I choć z tego właśnie utworu wziął autor „Przez rzekę” motto do swego tekstu, to przecież całej książce patronuje raczej – choć w sposób nie do końca odkryty – inny wiersz angielskiego poety: „Woda”. Znajdujemy w nim słowa: „Gdyby mnie powołano/Do wymyślenia religii/, Jej podstawą uczyniłbym wodę. /Zamiast chodzić do kościoła, /Przeprawiano by się w bród przez rzekę, (...) Oparłbym całą liturgię/ Na symbolicznie przemoknięciu do nitki”.

Woda bowiem pojawia się w kolejnych opowiadaniach pełniąc wyraźne i ważne funkcje symboliczne. Jeśli za *Leksykonem symboli* Herdera przyjmiemy, że „jako bezkształtna, niezróżnicowana masa (...) symbolizuje m. in. pełnię wszelkich możliwości lub prapoczątek wszelkiej egzystencji”, to wtedy książkę Andrzeja Stasiuka zobaczymy przede wszystkim w perspektywie religijnej. O ile jednak trudno kwestionować tę perspektywę w trzech pierwszych tekstach (*Chodzenie do kościoła*, *Chodzenie do biblioteki* i *Chodzenie na religię*), to wypada się tym samym zapytać jak przejawiać się może w większości pozostałych, w których znajdujemy mroczne i nie raz brutalne (jakby rodem z debiutanckich *Murów Hebronu*) opisy ludzkiej egzystencjalnej nędzy?

Wszak bohater tych historii to człowiek oddający się pozornie ważnym czynnościom, podróżujący niby w interesach, jakichś Ważnych Sprawach (lub może Sprawach Ważnych Pozornie), ale tak naprawdę, jak się okazuje – po nic (*Na północ*, *Podróż*, *Zula Egipt*, *Ptyś*). Wszak goni za mirażem, za wspomnieniem, za imitacją doznań prawdziwych *Pościg*. Wszak spędza czas na picciu i hojnym trwonieniu chwil. Ale też właśnie *Pościg* jest obrazem nostalgii, niespełnienia i jednoczesnej pogonii za prawdziwym, pełnym, głębokim – można rzec, że do pewnego stopnia perwersyjnie fizjologicznym – związkiem z drugim człowiekiem. Za miłością, która – to truizm, ale trzeba chyba to wypowiedzieć – nie zna granic. Obok więc pojawi się natychmiast nieodrodna siostra miłości; śmierć: „ta atmosfera śmierci otaczała nas zawsze, po każdej miłosnej nocy, lecz wtedy odczułem ją niezwykle głęboko. Z lękiem i obrzydzeniem wciągnąłem powietrze. Zapach trupa. (...) Nadia po prostu cuchnęła. (...) Śmierdziałem podobnie”. (*Przez rzekę*).

Bohaterowie książki to ludzie pozostawieni sobie, samotni, nienasycony życiem. Desperacko poszukujący Sensu. Stąd być może głód mocnych wrażeń, przygody, dreszczu emocji. Czy tym właśnie moglibyśmy tłumaczyć nie do końca jasne i ledwo zarysowane wątki kryminalne (napady, ściąganie długów, pobicia)? Czyż bowiem ludzka agresja wobec innych i wobec samych siebie nie jest funkcją metafizycznego strachu, czyż nie rodzi się z pustki, czyż nie gra zastępnych ról na pustej scenie teatru życia?

Świat tych opowiadań jest ponury i nieoswojony. Pragnienie celowości istnienia nie zostaje zaspokojone. Ale to nie wyklucza potrzeby stawiania pytań najistotniejszych. Czyż błędzenie ludzkie nie jest wynikiem nie tyle braku odpowiedzi na pytanie o Sens, ile wynika właśnie z nieumiejętności postawienia go?

Woda jest więc tu znakiem tęsknoty za transcendencją, tęsknoty za pewnością (to właśnie owe intelektualne, emocjonalne „dowody na istnienie”, znaki metafizycznego głodu), że trwa gdzieś ponad nami wyższy porządek, który – choć niewidoczny i nie-do-odkrycia – pozwoli nam kiedyś, być może, odbudować cel istnienia, nadać naszej egzystencji pełniejszy wymiar. Ale są też opowiadania Stasiuka wyrazem tęsknoty za pełnią ludzkich doznań, za wyrazistszym, nie tylko zmysłowo, bytowaniem. By je tak odczytać, trzeba przebić się przez tę pierwszą – i atrakcyjną, i nieco zwodniczą jednocześnie warstwę ciemności: gdzie zdaje się królować naturalistyczny obraz człowieka. Alkohol, seks, włóczęga, zabijanie czasu. Jeśli to nam się uda, to ujrzymy, że *Przez rzekę* stanowi niejako uzupełnienie tych wszystkich wątków, które budowały powieść *Biały kruk* (występuje tu wszak Wasyl, jeden z charakterystycznych bohaterów książki), ale i wspomniane wcześniej *Mury Hebronu*. To tam Stasiuk odziera człowieka z pozorów, by przyjrzeć się jego włóknom egzystencji i jego rozpacz. Od tego dopiero miejsca można zacząć od nowa „poszukiwanie dowodów”. Wobec doświadczenia ostateczności stajemy obnażeni. Świadomość tego bynajmniej nie oznacza końca wędrówki, czyni ją tylko bardziej znośną.

Katarzyna Klejnocka

Andrzej Stasiuk, *Przez rzekę*, Wydawnictwo Czarne, Czarne 1996.

Henryk Dubowik

Eseje Artura Hutnikiewicza o Polsce

„To, co najpiękniejsze” – tak nazwał Marian Hemar cykl swoich jednoaktówek, których bohaterami są Kochanowski, Krasicki, Chopin i Norwid, Goszczyński i Fredro. Były one wyrazem nie tylko emigracyjnej nostalgii, lecz również próbą uchwycenia jakichś cech naszego narodowego charakteru. W roku 1996 ukazały się trzy eseje o Polsce, opublikowane przez Artura Hutnikiewicza pod podobnym tytułem: „To co najważniejsze”. Krótka nota biograficzna, zamieszczona na końcu wymienia wprawdzie podstawowe publikacje toruńskiego profesora, wśród nich jego prace o Żeromskim i Grabińskim, cieszące się znacznym powodzeniem (6 wydań) kompendium „Od czystej formy do literatury faktu”, czy wreszcie uniwersytecką syntezę „Młoda Polska”, której również ukazały się już dwa wydania, pomija jednak sprawę niezwykle istotną: profesor Artur Hut-

nikiewicz – to nie tylko wybitny uczony, lecz również autorytet moralny, traktujący swoją funkcję nauczyciela-polonisty jako swoiste powołanie. Literatura – podobnie jak historia – to dla niego „magistra vitae”, powinna być więc interpretowana nie tylko w kategoriach estetycznych, lecz także etycznych, patriotycznych.

Wykłady profesora Hutnikiewicza – tak uniwersyteckie, jak i otwarte dla szerszej publiczności – ukazywały dzieje literatury naszego stulecia na bogato zarysowanym tle historycznym, prostowały nieraz to, co było zamazywane i zniekształcane w obowiązujących podręcznikach szkolnych. W słowie wstępnym do swoich „Portretów i szkiców literackich” uczony podkreśla, że „łączy je jedna przede wszystkim intencja: w miarę możliwości odmiennego, niezależnego i krytycznego spojrzenia na interesujące autora zjawiska”, w szczególności zaś staranie o rewindykację tego, co dotąd było pomijane. W „Portretach” znajdziemy więc m. in. szkice o lekceważonych powieściach współczesnych Sienkiewicza, o Przybyszewskim, o niedostępnej wówczas w kraju twórczości Lechonia i Wierzyńskiego.

Wydana obecnie książka stanowi kontynuację tego nurtu. Opowiada, w jaki sposób literatura nasza w czasie pierwszej wojny i bezpośrednio po niej mówiła o tym, co najważniejsze, czyli o Polsce ówczesnej, a także jaką rolę odegrała w podtrzymywaniu ducha narodowego emigracja po drugiej wojnie. Autor sięga przy tym tak do wybitnych dzieł literackich, jak i do tekstów dziś już w pewnym stopniu zapomnianych, jak np. utwory Struga.

Pierwszy esej „Początek polski na progu niepodległości” ukazuje niechętny stosunek społeczeństwa polskiego (zwłaszcza w zaborze rosyjskim) do Legionów Piłsudskiego, stwierdzając, że „wśród powszechnej obojętności, lęku, małości i upadku ducha nie opuściła żołnierza tylko poezja”. Autor przytacza więc okolicznościowe wiersze Czerkawskiej, Słońskiego i Mączki, więcej miejsca poświęcając analizie utworów Lechonia: „Piłsudski” i „Herostrates”. Cytowane teksty są wtopione w doskonałą analizę sytuacji historycznej „na progu niepodległości”, w charakterystykę Legionów i ich Komendanta. „Stwarzając fakt dokonany – pisze Hutnikiewicz – czynny udział Polaków w wielkich zmaganiach historycznych, Piłsudski narzucił sprawę polską całemu światu, wydobył ją z archiwów kancelarii dyplomatycznych, gdzie ją usiłowano raz na zawsze pogrzebać, obudził w społeczeństwie polskim wolę państwową”.

Drugi esej „Trzy obrazy przedwiośnia niepodległości (Strug – Kaden – Żeromski)” polemizuje z tezą, że odzyskanie niepodległości nie zostało ukazane w należyty sposób przez polską prozę ówczesną. Przeczą temu takie teksty, jak „Pokolenie Marka Świdry” Andrzeja Struga, „General Barcz” Juliusza Kadena Bandrowskiego, czy wreszcie „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego. Szczególnie wiele do myślenia daje zapomniana dziś prawie zupełnie powieść Struga. „Obraz wylaniający się z powieści – zdaniem Hutnikiewicza – jest ponury i przygnębiający. Jakby wszystkie upiory starej, szlacheckiej, przedrozbiorowej Polski z czasów jej najgłębszego moralnego i politycznego upadku wychynęły

z otchłani i rozpanoszyły się bezczelnie wśród nowego, wątłego życia”. Powieść Kadena zaś – to nie tylko dość wierny obraz sytuacji w Polsce w latach 1918-1919, lecz również analiza mechanizmów władzy. „Polityka jest walką, w której zwycięstwo odnosi jednostka silna, nie cofająca się, jeśli nie ma innego wyjścia i wyboru, przed działaniem trywialnym. Polityka nie podlega wartościowaniu moralnemu, jedyną miarą jej wartości jest sukces lub klęska.”

Część trzecia „Przedwiośnia” Żeromskiego jest wprawdzie „słaba pisarsko i literacko anemiczna”, znajdujemy w niej jednak najwięcej „materii historycznej” owego okresu. Hutnikiewicz dostrzega analogie między poglądami Gajowca i Adama Skwarczyńskiego, nienawiść zaś Lulka do Polski odrodzonej wiąże z teoriami SDKPiL oraz organizującej się Komunistycznej Partii Polski. Ostatnia scena powieści była nieraz fałszywie interpretowana. Powołując się na słowa Żeromskiego Hutnikiewicz podkreśla, że scena ta „miała być alarmem, krzykiem przestrogi”. Wszystkie trzy analizowane powieści nie były pisane „ku pokrzepieniu serc”, ukazywały całą prawdę „bez najmniejszej skłonności do idealizacji, upiększania rzeczywistości”.

Trzeci esej „Historyczne i ideowe przesłanki ostatniej emigracji polskiej” w mniejszym stopniu dotyczy literatury, powołuje się częściej na publicystykę emigracyjną. Autor przedstawia na wstępie, na czym polega – nie nowe bynajmniej – zjawisko emigracji politycznej, charakteryzując w szczególności rolę Wielkiej Emigracji w wieku XIX. Emigracja ostatnia powstała w wyniku konferencji jaltańskiej. „Dla setek tysięcy emigrantów decyzja pozostania oznaczała bardzo często swoistą degradację społeczną, najcięższą pracę, której unikali tuziemcy, biedę, samotność, opuszczenie. Poczucie zagubienia i rozpacz, z którą nie sposób było żyć.” Emigracja starała się o zachowanie – choćby symbolicznych – struktur państwowych, ponadto jako ośrodek niezależnej myśli „wyznaczała wyjątkową znaczącą rolę prowadzeniu badań nad historią Polski”, zwłaszcza „na odcinku naszych dziejów najnowszych wobec istotnych ograniczeń swobody badań nad tym właśnie okresem w historiografii krajowej”. Rozwinęła się ponadto literatura pamiętnikarska, dotycząca głównie losów Polaków na wschodzie. Liczne dokumenty historyczne, pamiętniki i cenne dzieła literackie ukazywały się nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu, przeciwko któremu władze krajowe stosowały nieraz propagandową nagonkę „w rodzaju osławionej księżczyny Witolda Fillera”. Twórczość literacka na emigracji mogła rozwijać się swobodnie, mimo ograniczonego kręgu czytelników, w kraju natomiast była „zależna przez swe dostosowanie się do ściśle określonych i nieprzekraczalnych granic wolności, przez poruszanie się po obszarach i tematach «bezpiecznych»”.

Krytyczne uwagi pisarzy o wadach naszego społeczeństwa można wprawdzie uznać za ostrzeżenie, Hutnikiewicz nie szuka jednak łatwych analogii do współczesności, nie posługuje się tonem mentorskim. Jego niewielka książeczka pokazuje, że o literaturze można pisać pięknie, językiem obrazowym, nawiązującym do najlepszej tradycji retorycznej, pozbawionym hermetycznej terminologii. „Trzy

eseje o Polsce” poświęcił profesor swoim studentom, jest to jednak lektura dla wszystkich, którym bliskie są sprawy ojczyzny i jej literatury.

Henryk Dubowik

Artur Hutnikiewicz, *To co najważniejsze. Trzy eseje o Polsce*, Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1996.

Leszek Szaruga

Wyjście z PRL

Mieczysław Orski jest krytykiem, który szczególnie wiele uwagi poświęca debiutom prozatorskim. Jak się zdaje, autor jest przekonany, że właśnie w debiutach najwyraźniej odciska się literackie piętno czasu. Tak było w jego poprzednich książkach, tak jest i obecnie, w tomie szkiców „Autokreacje i mitologie”, w którym podejmuje się, podobnie jak w zbiorze „A mury runęły” (1995), opisać sytuację debiutantów w początkach nowej fazy polskiej historii. Jest w tym być może pewna skaza, jakieś piętno poprzednich okresów, gdy socjologiczne spojrzenie na literaturę dominowało i gdy wciąż na nowo właśnie od debiutantów oczekiwano „nowego słowa”, przewartościowania dotychczasowej sytuacji, zmiany hierarchii. Dlaczego akurat to „nowe słowo” ma być wypowiedziane przez debiutantów, na dobrą sprawę nie wiadomo. Dlaczego nie próbować odnaleźć go w nowych książkach autorów starszych generacji: w poezji Różewicza czy Szymborskiej, w prozie Konwickiego lub Wojciechowskiego? Tu wszakże również mamy do czynienia z próbą opisu nowego świata, usytuowania się w nowych warunkach bytowania. I zapewne więcej o okolicznościach funkcjonowania literatury w nowej rzeczywistości mówi szkic Miłosza „Życie na wyspach” – wzbudził wszak zaraz po publikacji ożywioną dyskusję – niż manifestacje młodoliterackie. Zresztą – te głosy wzajem się na siebie nakładają, współistnieją w czasie, przenikają i warto zawsze widzieć je razem, a nie osobno. Przy czym nie chciałbym, by powyższe uwagi potraktowane zostały jako zarzut wobec krytycznej pracy Orskiego – wskazują po prostu inną nieco perspektywę niż ta, którą przyjmuje autor „Kontestatora wśród narodowych znaków”.

Najnowszy zbiorek Orskiego, szczupły wprawdzie, ale treściwy, jest próbą rozpoznania przede wszystkim sytuacji i postaw debiutantów po roku 1989. Książeczka składa się z dwóch części – pierwszą jest szkic poświęcony poezji autorów związanych przede wszystkim z „bruLionem”, druga to recenzje kolejno się pojawiających tomów prozy, przede wszystkim (wyjąwszy może Feliksa Netza, autora o większym nieco dorobku) młodej. Młodą poezję, biorąc niejako w nawias bulwersujące czasami czytająca (lub nawet nie czytająca publicz-

ność, skandale i inne zachowania pozaliterackie wyznaczające strategię tej grupy debiutanckiej, stara się autor potraktować poważnie. Stwierdza więc przede wszystkim, że do jej opisu nie wystarcza już wprowadzona przez Balcerzana w opisie poezji roczników 50-tych (dla których za najbardziej reprezentatywną uznał poznański badacz lirykę Antoniego Pawlaka) kategoria „samopoczucia”. Stwierdza Orski, że cechą charakterystyczną poezji roczników 60-tych jest odwracanie się od problematyki społeczno-politycznej, rezygnacja z zakorzenienia w polskiej rzeczywistości. „Nowa prywatność” opisywana przez Chwina i Rośka w tomie „Bez autorytetu” (1980), pozostając w opozycji do tego, co krytyka nazywa „poetyką nowofalową”, w jakiś sposób jednak, choć eksponowała przede wszystkim swe „ja” przeciwstawiane „my” poetów „pokolenia 68”, przejmowała się Polską. Tymczasem, jak pisze Orski: *W dokonaniach drużyny „bruLionu” i jej bardzo obszernej lawki rezerwowych, owo „ja” pozostało, przybierając nawet u niektórych formę natrętnego ekszhibicjonizmu, ale nie siada ono na ogół „w kraju”, tylko we własnym pokoju i deklaracyjnie stara się nie obserwować tego, co wykracza poza przenośnie pojmowany widok z własnego okna.*

Można z tą tezą dyskutować. Nie wydaje się bowiem, by poezja trzydziestolatków rzeczywiście rezygnowała z szerszej perspektywy, skoro przejmuje się, jak to deklarował Marcin Świetlicki tym, że z podziemia wyprowadzono nas w przestrzeń „ogrodu koncentracyjnego” (ta prowokacyjna metafora stała się nawet tytułem płyty zespołu „Świetliki”). Usytuowana w momencie debiutu, a więc u schyłku PRL, między podszytą kłamstwem retoryką oficjalną a nieznosnym, kombatanckim patosem podziemia (tak wykpiwany „ethos”!), poszukiwała dystansu, możliwości usytuowania się ponad owymi podziałami, ogarnięcia całości. Możliwe to było jedynie poprzez sprawdzenie realiów, w których przyszło żyć, rozpoznanie ich na nowo, z własnej, nie narzuconej perspektywy. Jednocześnie wydaje się, że – odrzucając wszelkie „usługowe” funkcje literatury – poezja ta postanowiła sprawdzić samą siebie. Z jednej strony mamy więc próbę ogarnięcia tych doświadczeń, które są weryfikowalne na poziomie osobistego przeżycia, z drugiej zwrot ku estetyce, przy czym obie te perspektywy nie wykluczają się wzajemnie, lecz uzupełniają tworząc komplementarny system obserwacji rzeczywistości. Deklaracje o „barbaryzmie” miały też od początku estetyczne korzenie: to wyraźne odmótanie się do Kawafisa, przy czym tytuł głośniejszej antologii, recenzowanej swego czasu przez Jacka Łukasiewicza („Przyszli barbarzyńcy”) wyłożyć można na dwa co najmniej sposoby: pierwszy powiadamia, że oto barbarzyńcy nadeszli (i są jakimś rozwiązaniem), drugi – że ci poeci staną się dopiero barbarzyńcami (co by może i groziło kolejnym nawrotem hasła „palenia bibliotek”). W każdym razie już w odniesieniu do tego tytułu antologii promującej poetów kręgu „bruLionu” trudno mówić o redukcji socjofery – to, że rzeczywiście nastąpiło odejście od p o l i t y k i, wcale jeszcze nie znaczy, że z pola uwagi umykają problemy życia s p o ł e c z n e g o, których wszak do samej polityki sprowadzić się nie da. Więcej: wydaje się, że właśnie owo odejście to demonstracja utraty zaufania do „gry politycznej”, do regul działania ignorujących sferę wartości. Powiedzieć można chyba więcej: ta poezja to próba ukazania autokompromitacji polityki.

Najbardziej interesujące wydają się uwagi Orskiego dotyczące „klasycyzmu” tej poezji. Stwierdzając, że „nie jest to klasycyzm, jaki znamy ze szkół” pisze: *Niech nie myli nas pieczołowicie klasyczna forma utworów np. Andrzeja Sosnowskiego: klasycyzm ze swym znakomitym, wyrafinowanym laboratorium jest tu medium artykulacji moim zdaniem najbardziej awangardowej poezji w liryce ostatnich kilku lat. Klasyczna dykcja rzucająca się w oczy u wielu autorów – paradoksalnie – dostarcza bazy i «paliwa» do rewolucji poznawczej i estetycznej, do fundamentalnej, dociekliwej rewizji języka pojmowanego w duchu Wittgensteinowskim jako główny horyzont człowieczego świata.* Tezata, niesłychanie wyrazista i ostra, zasługuje na baczny uwagę. Po pierwsze – zakorzenia poezję tej generacji (abstrahując już od jej związków z „bruLionem”) w głębokiej tradycji polskiej poezji tego stulecia, pod drugie zaś – otwiera nowe perspektywy awangardy uznawanej za doświadczenie „przezwycięzone” i martwe. Warto jednak od razu powiedzieć, że – jeśli przyjąć założenie o awangardowych korzeniach – nie jest to awangardyzm bazujący na optymistycznej wierze w utopię postępu. Pisze Orski: *Młodzi raczej z przykrością i niepokojem postrzegają, że są wpisani w określony zamknięty krąg idei oraz emocji estetycznych tudzież sposobów wyrażania, którym po tysiącokroć dawano wyraz w mowie wiązanej.* Pisze autor o „klasycyzmie” *nowoczesności*, a więc klasycyzmie uwikłanym w świadomość braku centrum, skazania na „peryferyjność” i przygodność. O tyle to prawdziwe, że poezja z natury rzeczy jest peryferyjna, co usiłował uprzytomnić w przywołanym już tutaj szkicu Miłosz, zaś samo życie, choć przygodne, jest jednak, skoro już jest, koniecznością – to wszak przygoda niepowtarzalna.

Z peryferyjności nadto można uczynić atut. Widać to – i tu przechodzimy do drugiej części tomu – w prozie. Tę część trzeba jednak czytać łącznie ze szkicami składającymi się na poprzedni zbiór Orskiego, w którym z dokonuje on dość jednostronnej w moim przekonaniu oceny prozy z „okolicy «Twórczości»” (przyjęta od dłuższego czasu w krytyce postawa nakazująca „szkołę Berezy” – ale jakaż to „szkoła”: na dobrą sprawę mieści się tu wielu bardzo różnych pisarzy, w tym także i Janusz Rudnicki, jeden z bohaterów „Autokreacji i mitologii” – traktować jako etatowego już niemal chłopca do bicia) i podejmuje rozpoznania nowych propozycji. Prezentowany obecnie zestaw recenzji domaga się jednak szkicu podsumowującego i szkoda, że Orski ograniczył się do kilku tylko uwag wstępnych, w których jednak artykułuje swą tezę główną: *Proza zdaje się w swej zbiorowej tendencji ewoluować ku magicznym i mitologicznym sposobom postrzegania i interpretacji świata często sięga po wysublimowane, liryczne u swych podstaw środki wyrazu (...) bądź po narzędzia postmodernistycznie traktowanej groteski.* Zauważa też Orski, że *przeważają teraz «kulturowe», a nie poliyczne bądź socjologiczne kryteria oceny i doboru materiału pamięci.* To ostatnie spostrzeżenie zdaje się potwierdzać kompromitację polityki jako punktu odniesienia w kreacji świata wartości. Nie znaczy to jednak, że nie mamy tu do czynienia z politycznym kontekstem.

Zgadzać się w zasadzie z Orskim, gdy chodzi o wskazanie mitologicznych korzeni i poetyzację prozy (pisał o tym zresztą przed laty Tomasz Burek, tendencja ta więc nową nie jest) oraz groteskowość (tu dopatrywałbym się „ob-

ciążenia Gombrowiczem”, z którego proza polska od lat nie potrafi się uwolnić), chciałbym wskazać, że nie jest ta literatura wolna od chęci określenia miejsca – miejsca przede wszystkim – swych bohaterów w świecie. Można wskazać szereg rozpoznai budujących „mitologię własnej peryferii” – czy będzie to Gdańsk, Śląsk, czy inny jeszcze region. Uwolnienie od *polityki* ma tu konsekwencje zbawcze. Wiele utworów – trudno wszak mówić o całości zjawiska – sygnalizuje wykorzenienie z tradycji (m. in. kresowej) i problemy z zakorzeniem w nowym świecie: konieczność nazwania wreszcie swego „nowego miejsca” (Netz, Huelle, Chwin, Stasiuk, Tokarczuk, Tulli – w tym ostatnim wypadku rzecz wydaje się absurdalna, wszak chodzi o Warszawę, warto jednak pamiętać o tym, że Warszawa powojenna jest, jeśli chodzi o zakorzenie w niej jej mieszkańców, literacką „terra incognita”). Pisałem o tym w innym miejscu, nie będę się więc powtarzał – nie ulega jednak wątpliwości, że w bardzo wielu utworach zwłaszcza młodej prozy mamy do czynienia z próbą pisania Polski – a właściwie jej „miejsce” – na nowo, inaczej niż to było czynione (lub ze względu na cenzurę – nie czynione) dotychczas. Dotyczy to także prozy autorów żyjących poza krajem, dla których jednak Polska jest wciąż punktem odniesienia (problemy katolicyzmu choćby, zagadnienia obyczajowości) – tak dzieje się w prozie Filipiak, Rudnickiego czy Goerke (chyba nieuwadze przypisać trzeba zdanie Orskiego mówiące, że w prozie tej ostatniej *nie pojawia się w ogóle wątek, który można by w jakikolwiek sposób powiązać z kwestią czy zwłaszcza dylematami emigracji*). Jedno nie ulega wątpliwości – proza ta bez wątpienia stara się zbudować dystans wobec sfery życia politycznego, przy czym czyni to w sposób zasadniczo odmienny niż autorzy okresu „małego realizmu” – wówczas nie mieliśmy do czynienia z dystansem, lecz z ucieczką od „zadanego tematu”: dziś nikt nikomu nie „zadawać” nie może, na szczęście.

Jak widać z powyższych uwag, tomik Orskiego nie tylko zasługuje na lekturę, lecz także pobudza do dyskusji. Warto, myślę, zwrócić nań uwagę z innej jeszcze perspektywy: autor należy do nielicznych krytyków, którzy od lat sumiennie i żmudnie starają się towarzyszyć nowym zjawiskom literackim. Doła takich recenzentów do wesółych nie należy, traktowani są jako „publicyści”, zaś ich odkrycia – jak choćby wspomniane uwagi o awangardowym charakterze nurtu klasycznego w młodej poezji – umykają uwagi. A swoją drogą byłby już chyba czas na to, by Orski dokonał krytycznego wyboru z całości swych publikacji – zyskalibyśmy wówczas szerszą perspektywę, łatwiej byłoby też odbudować jego system krytycznoliterackich punktów odniesienia.

Leszek Szaruga

Mieczysław Orski, *Autokreacje i mitologie*, Wydawnictwo OKiS, Wrocław 1996.

Aneks do *Chwilowego zawieszenia broni* czyli uwagi o Arystotelesie i *Nowym turnieju pokoleń*.

Książka Jarosława Klejnockiego i Jerzego Sosnowskiego *Chwilowe zawieszenie broni* wprowadziła mnie w duże zakłopotanie. Podejmuje ona bowiem pierwszą – jak powiadają Autorzy (bez skrywanego zadowolenia) – próbę krytycznoliterackiego spojrzenia na zjawisko, które zyskało sobie miano pokolenia tzw. *bruLionu*.

Dawno temu Arystoteles napisał, że mały błąd na początku, okazuje się wielkim błędem na końcu. Myślę, że formuła ta w pełni pasuje do wyżej wymienionej książki. Trudno odmówić Klejnockiemu i Sosnowskiemu wysiłku, jak również wielu interesujących i wnikliwych spostrzeżeń. Jednak cały szkopol w tym, że źle nawleczoną nicią trudno utkać tkaninę. Proszę zatem mój głos potraktować jako mały przyczynek w pewnej – w moim przekonaniu – istotnej sprawie, przebiegającej w poprzek dyskusji na temat młodoliterackiego pokolenia. Ale do rzeczy. Poczulem się osobiście wywołany do tablicy, kiedy to na początku książki przypomniano polemicznie fragment mojej wypowiedzi z dyskusji jaka miała miejsce na łamach „TP” w 1995 roku. Pisałem wówczas, iż „nie do przyjęcia jest patrzenie na pokolenie dekady lat 60. przez pryzmat *bruLionu*”. Owszem, zdania swojego nie zmieniłem – powiem więcej – utwierdzam się, że moja teza niesie ze sobą o wiele większy stopień podobieństwa do prawdy, niż jej przeciwna – której rzecznikami pozostają Autorzy książki. Klejnocki i Sosnowski powołują się na jeden z głosów w toczącej się dwa lata temu dyskusji na temat *bruLionu* mianowicie na artykuł Jerzego Jarzębskiego. W tym właśnie miejscu proponuję się zatrzymać, aby skonsumentować trafną tezę Stagiryty. W moim przekonaniu właśnie ten artykuł mógłby posłużyć niejednemu za przykład wzorcowego zastosowania technik propagandowych i manipulacyjnych w dyskusji dotyczącej pokolenia *bruLionu*. Dziwię się Autorom *Chwilowego zawieszenia broni*, że postanawiają wykorzystać ten co najmniej niepewnej jakości klucz interpretacyjny. Klejnocki i Sosnowski (czy do końca świadomi, tego nie umiem powiedzieć) wybiórczo i tendencyjnie dobrali cytaty z artykułu krakowskiego krytyka: *zdawałoby się, że losy owej literatury rozgrywają się przede wszystkim na wydawniczym rynku; albo: szkopol tkwi też jednak, gdzie indziej: trzydziestolatkowie, wyrzekając się „narodowej sprawy”, stanęli przed dramatycznym wyborem, czy są w ogóle potrzebni* (s.38-39.), tylko po to aby uwiarygodnić żywione przez siebie poglądy. Z socjologicznego punktu widzenia takie wypowiedzi raz po raz przytrafiające się zarówno Klejnockiemu / Sosnowskiemu, jak również w jeszcze większym stopniu Jarzębskiemu, są niczym innym jak – proszę mi wybaczyć za szczerłość – zgrabnym połączeniem kilku technik propagandowych. Ale by bliżej całej sprawie się przyjrzeć posłużmy się, wzorcowym jak się wydaje, artykułem Jerzego Jarzębskiego *Nowy turniej pokoleń* „TP”, nr 10/95.

W przywołanym tekście znaleźć można elementy kilku technik propagandowych. Na początek przywołajmy technikę propagandy towarzyszącej. Zakłada ona nadszajającą za faktami optymalną interpretację zarówno z punktu widzenia celów jakie stawia sobie *propagandzista*, jak i możliwości akceptacyjnej odbiorców. Kiedy zatem Autor *Nowego turnieju pokoleń* stwierdza, iż *temat dojrzał do podjęcia*, to przypominam sobie od razu, że propaganda towarzysząca musi opierać się na błyskawicznie aktualizowanej i bardzo precyzyjnej diagnozie istniejącego stanu rzeczy. Wynika z tego konieczność trafnego wyboru tzw. czasu optymalnego do rozpoczęcia akcji propagandowej. Miarą trafności jest osiągnięcie celu głównego – to znaczy przekonanie czytelników (dwóch od razu przekonano – JK & JS) do przedstawionych argumentów.

Przyjrzyjmy się bliżej merytorycznej zawartości artykułu, z nieukrywaną szczyptą krytycyzmu, której widać zabrakło Autorom *Chwilowego zawieszenia broni* twierdzącym, że jest to *najciekawszy bodaj spośród sprowokowanych przez Musiała tekstów* (s.38). Jerzy Jarzębski – jak przystało na człowieka o z góry ugruntowanym zdaniu – zgrabnie pogrupował wszystkie wcześniejsze wypowiedzi, aby zanim przejdzie do wykładu własnych poglądów, troskliwie podsumować innych dyskutantów na „cacy” i „be”. Tak więc Kornhauser i Grupiński nie są do końca „cacy”, zwłaszcza ten pierwszy – należy zatem poprawić krytyczną ocenę „bruLionowców” przeprowadzoną przez Autora „Barbarzyńców i wypełniaczy” („TP” nr 3/95), i powiedzieć, że mamy do czynienia z *nieporozumieniem*, a „choroba” na którą cierpią twórcy z kręgu *bruLionu* nie prowadzi do śmierci, tylko jest cudownym lekarstwem na długowieczność. Pomyślałem sobie, no, no, bardzo ładnie to brzmi. Teraz to już można napisać wszystko. Najpierw dowiedziałem się, że na próżno nam „chłopakom z prowincji” pukać do wysokich drzwi, bo i tak *bruLion* jest najlepszy, choć krakowski krytyk był łaskaw wymienić tytuły kilku innych pism literackich. A jeżeli tak, to zajmijmy się tylko nim jako *grupą nadającą ton epoce*. Mocno powiedziane! Potem usłyszałem tkliwą historię o zbuntowanych studentach i o wręcz ojcowskiej opiece Jerzego Jarzębskiego nad *bruLionem*. Nawet antysemickie teksty Celine’a drukowane onegdaj w *bruLionie* nie wzbudziły sprzeciwu Jarzębskiego, który ograniczył się jedynie do stwierdzenia, iż jest on *istotnie wredny*, a redaktorów pisma wziął pod ojcowskie skrzydła jak nierozzgarnięte dzieci, które nie mogą odpowiadać za swoje okrutne kaprysy. Zabrnęliśmy już tak daleko, że takie zdanie iż w dwóch lechtaczkach Beby Mazeppo *nie ma (...) żadnej obścieniczności, żadnego odoru podniecenia czy zepsucia* wydaje się pestką. O czym my mówimy? Ano o tym, że wtedy kiedy nie ma żadnych wartości, bo wszystkie odrzucono, Jerzy Jarzębski doszukuje się wbrew wszystkiemu „wartości”. A swoją drogą kłania się tutaj cień kolejnej techniki propagandowej, mianowicie technika socjologiczna. Wykorzystując tę technikę, propagandzista narzuca określone wzory postępowania, wyrażające pewien styl życia wynikający z ram ustrojowych. Jego cechą jest pozorny indyferentyzm polityczny, lansowanie stylów mody i obyczajów, a także – a może nade wszystko! – idealizo-

wanie pewnych typów osobowości i dróg do kariery. Byłaby to z pewnością w odniesieniu do pisarstwa Gretkowskiej technika skandalu obyczajowego tym samym łamania wszelkich przyjętych przez społeczeństwo norm postępowania.

Artykuł Jarzębskiego, biorąc pod uwagę jego pokaźne rozmiary, miał być studium o literaturze 30-tych latków, a okazało się, że wciąż stoi przed oczyma *bruLion*. To, że tak widzi Jerzy Jarzębski literaturę pokolenia twórców urodzonych w latach 60-tych, nad tym można tylko ubolewać. Ale przecież *de gustibus non est disputandum*. Szkoda, że nie dowiedziałem się dlaczego twórcy zgromadzeni wokół *bruLionu* są bardziej interesujący od innych? Nie posądzam Jerzego Jarzębskiego o to, że zafascynowała go kontestacja – któż dziś czegoś nie kontestuje? Albo jaskrawa obrazoburczość i żywiołowy erotyzm. A więc co? Nieznośnie nasuwa mi się jeszcze jedna technika manipulacji, mianowicie technika irradacji. W wielkim skrócie w technice tej oddziaływanie się przez kontekst w jakim ukazuje się dany obiekt. Przykładem mogą być zagubieni młodzi twórcy stojący wobec na ich oczach dokonujących się przemian społeczno-kulturowych. Poszukując punktów wspólnych, twórców z kręgu *bruLionu*, Autor *Nowego turnieju pokoleń* powiada: *łączy ich zaledwie pewien wspólny gest i może wspólna fobia: odrzucenie „moralności”, która zatraciła swój wymiar praktyczny, przestała cokolwiek kosztować, stając się czymś w rodzaju kotylionu, wyróżnika lokującego pisarza w społecznym stadzie, w domyśle też: decydującego o jego pozycji i układach. Tej „moralności” przeciwstawia się zatem swoistą dezynwolturę, sarkazm, brak odpowiedzialności za słowo*. Warto w tym miejscu postawić wreszcie pytanie, które nie pada (niestety) z ust Jarzębskiego. Czy odrzucenie „pseudo-moralności” i zastąpienie jej „swoistą dezynwolturą”, to odkrycie wspaniałej recepty na nową epokę w moralności i literaturze? Czy na „braku odpowiedzialności za słowo” można budować? Ano można, ale chyba tylko wieżę Babel własnych fobii.

Pytam i zastanawiam się wciąż czemu pisanie „bruLionowców” służy? (Wiem, że to ostatnie słowo jest już obrazoburcze). Nie służy uniwersalnym wartościom (z nawróceniami, których obawia się Jerzy Sosnowski trzeba być ostrożnym, nie każdemu bowiem dane jest przeżyć to, co stało się udziałem świętego Pawła pod Damaszkiem), nie służy tradycyjnie pojętej moralności, nie służy społeczeństwu. Czy służy zatem literaturze? Jerzy Jarzębski wydaje się odpowiadać: tak. Bądźmy cierpliwi, wsłuchajmy się w głos tej literatury. Jedna rzecz wydaje się bezsprzeczna: karty zostały rozdane, stoliki zajęte, kanon nazwisk ustalony. Przez następne dwadzieścia lat będę czytał w magazynach literackich wiersze wciąż tych samych poetów, a krytycy tropem Jerzego Jarzębskiego – nie sposób w tym miejscu nie wymienić naszych dzielnych Autorów *Chwilowego zamieszczenia broni* – z wrodzoną przenikliwością i nabytą erudycją na łamach tychże samych periodyków będą udowadniali wielkość „bruLionowców”, aż w końcu odkryją (bo nikt nie przyzna się, że stworzą) cały świat wartości, który ostatecznie przekona o ich niekwestionowanym talencie, nawet takich niepokornych jak ja. Jerzy Jarzębski powiada: *Literatura w końcu kształtuje się stosownie do pytań, które jej zadaje rzeczywistość – w tym sensie można powiedzieć,*

sytuacja społeczna i media istotnie kreują młodych pisarzy, narzucając im pewien ton i pewien język z pomocą którego próbują oni wypowiedzieć swoje „ja”. Bardzo mi przykro ale to zupełnie do mnie nie trafia. Czy literatura jest próbą penetracji rzeczywistości? Próbą zbliżenia się, pełniejszego poznania i opisu za pomocą artystycznych środków wyrazu jej wewnętrznej złożoności, czy też jawi się jako odpowiedź na doraźną chwilę, moment dziejowy którego ważność komunikują wysokonakładowe gazety codzienne? Nie wiem, czy „bruLionowcy” zgodziliby się z tym, że są poddawani procesowi systematycznej manipulacji w mediach. A jeżeli tak, to tylko należy im współczuć. Tym zaś, którzy nie dostąpili tego wątpliwego zaszczytu, oklaski za nieobecność.

Nie od dziś wiadomo o metodologicznych kłopotach humanistyki, ale artykuł Jerzego Jarzębskiego – skądinąd wybitnego krytyka literackiego – odznacza się takim stopniem mętności, który nawet wśród humanistów powinien wzbudzać grymas dezaprobaty na twarzy. Jeśli bowiem pytając o kryteria, dzięki którym można wartościować dokonania artystyczne Jarzębski pisze: *ale skąd takie kryteria wziąć nie bardzo wiadomo*, to, po co tyle słów, a już zupełnie nie rozumiem na kogo Autor *Nowego turnieju pokoleń* czeka, skoro *nie potrzebujących ani „słusznej sprawy” rozgrzeszającej z nieporadności czy banału ani „generacyjnych” podpórki i taryfy ulgowej*, ma wśród „bruLionowców” pod dostatkiem.

Na zakończenie stajemy przed zaiste salomonowym wyborem: albo przypiszemy krakowskiemu krytykowi świadomą manipulację, albo uznamy, że pisząc tak mało przekonywujący pod względem merytorycznym artykuł, miał po prostu zły dzień. Chciałbym, aby ta druga ewentualność odpowiadała prawdzie. Tak oto przedstawia się *najciekawszy bodaj artykuł* zdaniem JK & JS w dyskusji na temat pokolenia *bruLionu*. I jeszcze jedno. Okazuje się, że jesteśmy tak przyzwyczajeni do – zasłużonych – nazwisk, że zbyt często opuszcza nas poczucie zdrowego rozsądku, a wtedy tym łatwiej dopaść nas może bezlitosne ostrze Stagiryty. Na szczęście (przez przypadek, albo zrządzeniem Opatrzności) mamy jeszcze słówko „bodaj”. Dobrze, że jest.

Mirosław Dziwił

Jarosław Klejnocki, Jerzy Sosnowski: *Chwilowe zawieszenie broni. O twórczości tzw. pokolenia „bruLionu” (1986-1996)*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 1996.

Wojciech Tomasik

Pan Barbarus

Twórczość Zbigniewa Herberta doczekała się dotąd dwóch poważnych ujęć monograficznych. Obie monografie (pióra Andrzeja Kaliszewskiego i Stanisława Barańczaka) uwzględniają oczywiście także dorobek eseistyczny autora *Sturyny światła*, ale rozpatrują go nie jako całość odrębną i względnie autonomiczną

lecz jako szczególny stan skupienia materii poetyckiej, rolę eseisty zaś jako wtórną względem roli poety. Książka Piotra Siemaszki jest śmiałą i w pełni udaną próbą zakwestionowania takiej optyki. Spojrzenie na „eseje poety” usiłuje uzupełnić autor perspektywą, w której utwory poetyckie postrzega się w kategoriach podsuwanych przez analizę tekstów eseistycznych, a ściślej – gdzie patrzy się na poezję i esej jak na dwie w pełni równorzędne i wzajemnie się dopełniające sfery pisarskiej aktywności Herberta.

Interpretując eseje Herberta Siemaszko usiłuje znaleźć kompromis między nowością perspektywy badawczej a tradycyjnym zestawem narzędzi opisowych. W zestawie tym szczególnie miejsce zajmuje kategoria „antynomiczności”, której operatywność w sposób najbardziej przekonujący zademonstrował przed laty, Stanisław Barańczak w *Uciekinierze z Utopii*. Trudno dziś wyobrazić sobie pisanie o Herbercie bez ustosunkowania się do głównej tezy Barańczaka głoszącej, iż dzieło autora *Elegii na odejście* zbudowane jest na wszystkich piętrach organizacji z elementów krańcowo niejednorodnych, że – innymi słowy – dzieło to cechuje semantyczna opalizacja, którą tłumaczy, z jednej strony, naznaczona ironicznym dystansem postawa podmiotu mówiącego, z drugiej – obecność w tkance myślowej wierszy pierwiastków sprzecznych i pozornie wykluczających się.

Siemaszko bierze tę tezę, poddając ją jednak istotnemu przemodelowaniu. Przypomnijmy, że antynomiczne napięcia opisywane przez Barańczaka ogniskowały się w przeciwstawieniu „dziedzictwa” i „dziedziczenia”, to zaś miało przede wszystkim dawać wyraz „sytuacji duchowej współczesnego Polaka”. Przypomnijmy też, że takim postawieniem sprawy: książka o *Uciekinierze z Utopii* przywrócić chciała należną rangę metodzie interpretacji, która z różnych – także politycznych – względów; funkcjonowała na obrzeżu PRL-owskiego mówienia o Herbercie. Siemaszko – pisząc o „filozofii” Herberta, odrywając pisarza od „tu” i „teraz” i tłumiąc polityczne akcenty jego głosu, wraca niejako do niegdysiejszego sposobu mówienia, ale robi to ze świadomością pisania „po” Barańczaku, a raczej – „obok” Barańczaka. Przedmiotem zainteresowania jest więc znów Herbert-myśliciel i Herbert-„olimpijczyk”. Sposób rozumienia twórczości, którego skrótem są obie przywołane formuły, nie jest jednak już tym, czym był przed pojawieniem się *Uciekiniera*, co nie znaczy wcale, by osłabiona została jakoś jego prawomocność. Rzecz w tym, że pisać o filozofii Herberta jest dziś po prostu trudniej, bo trzeba niejako na nowo sprawdzić siłę argumentów, które o lekturze polemicznej książki Barańczaka mogły wydawać się mniej przekonujące.

Zmiany, jakim w pracy Siemaszki podlega teza o „antynomiach” Herberta, idą w dwu kierunkach. Po pierwsze, „antynomiczność”, będąca kategorią wywiedzioną z analizy tekstów poetyckich, zostaje użyta jako klucz do interpretacji tekstów eseistycznych; w tej funkcji okazuje się ona instrumentem nadzwyczaj sprawnym, pozwalającym odsłonić i objaśnić złożoność struktur znaczeniowych, jakimi operuje autor „Barbarzyńcy w ogrodzie”. Po drugie, „antynomiczność”, obsługująca u Barańczaka odczytanie polemiczne wobec interpretacji „filozoficznych”, tu staje się najważniejszym składnikiem opisu, który bierze za przedmiot bardziej uniwersalną (a więc – właśnie „filozoficzną”) część Herbertowego przesłania.

Podając temat eseistyki Herberta Siemaszko wiedział, że decyduje się na pewną niewygodę. Komfort poznawczy zapewniałaby mu bowiem twórczość zamknięta, gdzie zmiany opisywanego układu następują dużo wolniej i dokonują się za sprawą przyrastania komentarzy krytycznych, a także wraz z pojawieniem się tekstów, które z badaną twórczością wchodzić chcą w artystyczny dialog. Eseistyka Herberta jest układem otwartym w sensie bardziej elementarnym; jest tworem dynamicznym i do końca jeszcze nie uformowanym. Każdy opis tę otwartość musi respektować, choć – rzecz jasna – nie wolno mu przed nią kapitulować.

Opis Siemaszki został tak obmyślany, by uwzględnić otwartość eseistyki Herberta, a to znaczy też – by do pewnego stopnia móc przewidzieć teksty, które dotąd nie powstały. Jest to opis zatrzymujący się na rysach na tyle trwałych, aby można je było rozpoznać pomimo tego, iż pojawiają się one wyłącznie w złożonych kombinacjach, zwykle jednorazowych i niepowtarzalnych. Warunkiem rozpoznania takich rysów jest przywołanie w charakterze kontekstu interpretacyjnego nie tylko całej twórczości Herberta i dorobku powojennej eseistyki polskiej, lecz także wiele innych układów, wziętych spoza literatury i spoza sztuki. Siemaszko umie pokazać, że temu, co na pierwszy rzut oka wydać się może układem nie zamkniętym, a zatem także – nie w pełni czytelnym, nadać można sens przez wprowadzenie w bogatą sieć powiązań ze strukturami już domkniętymi i obdarzonymi znaczeniem.

Jednym z takich nadrzędnych układów, wyjaśniających twórczość Herberta, czyni Siemaszko współczesną eseistykę polską. Esej jest trybem wypowiedzi wyceLOWANEJ w myślenie dogmatyczne, formą, której ważne ogniwa rozwojowe zbiegają się z okresami historycznych zawirowań i intelektualnych przesileń. Jedno z takich ogniw bez wątplenia formacja nazywana dość nieprecyzyjnie „współczesnością”, a łączona zazwyczaj z powszechnym odczuciem kryzysu, w jakim znalazła się kultura śródziemnomorska. Autor *Barbarzyńcy w ogrodzie* jest dla Siemaszki reprezentantem tych postaw pisarskich, które najsilniej zespala diagnoza kryzysów tradycyjnych porządków wartości, a które najsilniej różnicuje styl literackiego moralizowania.

Siła książki Siemaszki bierze się – powtarzam – stąd, że stara się ona przełamać dokuczliwą jednorodność występującą w dotychczasowych opisach twórczości Herberta, redukujących wielość ról pisarskich autora *Strumy światła* do jednej – poety. Forma eseistyczna interesowała dotąd badaczy głównie jako rodzaj przebrania dla treści rozpoznawanych w poezji autora *Pana Cogito* i kojarzonych przede wszystkim z tą poezją. Dlatego symbolem filozoficznego przesłania Herberta stała się figura „Pana Cogito”, a nie postać „barbarzyńcy”. „Pan Cogito” przyszedł na świat po „barbarzyńcy”, ale kiedy opisuje się twórczość Herberta, to ten porządek masek zwykle się odwraca. Siemaszko upomina się swą książką o prawa dla wydziedziczonego „barbarzyńcy”. I proponuje takie widzenie Herbertowego dzieła, w którym obie figury-maski ulegają połączeniu.

Wojciech Tomasiak

Piotr Siemaszko, *Zmienność i trwanie. O eseistyce Zbigniewa Herberta*, Instytut Wydawniczy Świadectwo, Bydgoszcz 1996.

NOTY O KSIĄŻKACH

*

Spójny i wyrazisty jest świat poetycki ostatniego tomiku Janusza Stycznia *Groza wtajemniczenia*. Rozbłyśka w nie kończącym się bogactwie archetypicznych i symbolistycznych obszarów, znaczeniowo migotliwych i niejasnych. Drapieżny, zmysłowy język, zaskakujące skojarzenia, obsesyjne motywy – śmierć, miłość, w której nie brak perwersji, a wszystko to głęboko zanurzone w oniryczno-mitycznej czasoprzestrzeni. Zjawiają się w niej abstrakcyjnie pojęte istoty – dziewczyna, chłopak, kobieta i mężczyzna. Wiersze mają strukturę fabularną. Liryczna sytuacja to najczęściej zwykłe, może nawet banalne wydarzenia. Ale to początek, inicjacja, najważniejsze rozgrywa się już w zupełnie innej rzeczywistości. Zatrzaśnięta niejasna brama, tajemnicze wrota, i czytelnik zstępuje w głąb fantastycznej, baśniowej czasoprzestrzeni, może nawet nieco przypominającej liryczne obszary utworów Leśmiana.

Obserwator, liryczne „ja”, skrywa się gdzieś głęboko, nie ujawnia swej obecności. Dokonuje opisu świata, chciałoby się powiedzieć, podgląda go, docierając w rejony odarte z ciężkiej materii i w końcu wkracza w sferę złożonych i skomplikowanych procesów psychicznych w literacki sposób przetworzonych. Z poetyckim obrazowaniem, drapieżnym, makabrycznym i okrutnym, doskonale harmonizują przerzutnie. Patronuje tej poezji księżyc, którego obecność w świecie poetyckim implikuje motywy symboliki lunarnej, przenika go śmiercią i jej atrybutami, miłością, światłem odbitym, wprowadza natłok poetyckich obrazów.

Trudno tę poezję jednoznacznie klasyfikować, przypinać etykiety. Pod powłoką dusznej, mrocznej atmosfery, zagęszczonej znaczeniami pulsuje liryzm. Fantasmagoryczną wędrówkę kończy muzyczny wiersz *Pada śnieg* i przywraca zburzony spokój.

Za tomik *Groza wtajemniczenia* Janusz Styczeń otrzymał wyróżnienie Fundacji Kultury za rok 1996.

G.K.

Janusz Styczeń, *Groza wtajemniczenia*, Wydawnictwo *Przedświt*, Warszawa 1996.

*

W Polsce twórczość Richarda Caddela jest zupełnie nieznana. Leszek Engelking dokonał wyboru jego wierszy i nadał im formę tomiku poetyckiego zatytułowanego *Mały atlas klimatyczny duszy*. Tytuł może być mylący. Niechaj nikt nie oczekuje drobiazgowych opisów duchowej osnowy ludzkiej, precyzyj-

nego opisu tego, co nazywa się duszą. Aby mówić o Bogu, niekoniecznie trzeba używać słowa „Bóg”.

Wybór dokonany został na podstawie trzech tomików *Słodki marchewnik*, *Niepewny las*, *Ziemia* oraz utworów nie publikowanych w formie książkowej. Niezwykła to poezja. Wiersze porzypominają, oczywiście z wielkimi zastrzeżeniami, poezję Mirona Białoszewskiego. Caddel bawi się, tak jak poezja lingwistyczna, językiem, możliwościami jego przekształcania, poszukuje nowych sensów, przestrzeni znaczeniowych. Autor *Ziemi* – jak twierdzi Leszek Engelking – *stara się kontynuować tradycję, którą zapoczątkowuje poezja Williama Butlera Yeatsa i dzieło Ezry Pounda*. Językowym eksperymentom patronuje przede wszystkim ten ostatni. Inna wyraźna inspiracja to poezja amerykańskiej szkoły obiektywistów. Stąd szczególne znaczenie ma w twórczości Caddela muzyczność, możliwa tylko dzięki specyficznemu sluchowi literackiemu. Wiersze są skomponowane na wzór utworów muzycznych – porządek, transpozycja zjawisk, rzeczy, emocji na dźwięk. Budowa wierszy zebranych w tomiku oparta jest na dysonansie. Inna cecha tej twórczości to próba uchwycenia obrazu plastycznego, który umożliwiałby oddanie nastroju sytuacji, klimatu.

Nie można zapominać, że cały czas czytelnik obcuje z przekładem i dlatego konieczne wydaje się porównanie tłumaczenia z angielskim oryginałem. Książka Leszka Engelkina to wydawnictwo dwujęzyczne.

G.K.

Richard Engelking, *Mały atlas klimatyczny duszy*. Wiersze wybrane. Wybrał, przełożył i posłowiem opatrzył Leszek Engelking, Wydawnictwo *Miniatura*, Warszawa 1996.

*

„Ex oriente lux”, „Światło przychodzi ze wschodu”, powiada dawna mądrość. Bede Griffiths, benedyktyn, pisarz i myśliciel przez 35 lat przebywał w Indiach, gdzie uczestniczył w próbach prowadzenia wspólnoty chrześcijańskiej, naśladowującej zwyczaj hinduskiego aśramu.

W nowej książce Griffithsa, w *Zaślubinach Wschodu z Zachodem*, czytamy o konieczności połączenia cech kultury euroamerykańskiej i azjatyckiej, „jeśli świat ma przetrwać”. Zachód jest agresywny, racjonalny, męski; Wschód – żeński, bierny, intuicyjny. Męczyzna potrzebuje kobiety, „rozum bez intuicji jest inteligentny, lecz jałowy; z kolei nieracjonalna intuicja bywa płodna, ale ślepa” wnioskuje autor książki.

Europa potrzebuje mitu; powinniśmy dziś czytać Biblię mitologicznie, z zastosowaniem zasad psychologii głębi. Dosłowna, literalna egzegeza tej świętej księgi spłaszcza jej treści. Od Tomasza z Akwinu chrześcijanin wierzy naukowo; rozchodzą się religia umysłu i ciała. Prowadzi to do praktycznego materia-

lizmu; Bóg znika z przyrody. Rośliny i zwierzęta stały się rzeczami bez duszy; wolno je eksterminować. Skutki są wiadome. Dziś wierzymy, że wierzymy; mnożymy dowody na istnienie Stwórcy, zamiast go szukać w swoim sercu, w tęsknocie, w przerażeniu, w kompleksach, i także w źródłach radości istnienia, po stronie jasnej i ciemnej.

„Mniej umysłu, więcej zmysłów”, pisze Griffiths. „Nie jest jeszcze za późno na taki rozwój nauki i technologii, który nie szukałby dominacji nad naturą, lecz współdziałał z nią w harmonii i przyjaźni”. Zmysłowość nie jest bezbożna; np. dla Hindusa męski „lingam” i kobieca „joni” nie są wyobrażeniami obscenicznymi; spotyka się je w miejscach publicznych. „Bóg daje o sobie znać we wszystkich swych dziełach – powiada autor *Zaślubin Wschodu z Zachodem*. – „Płciowość jest jednym z przejawów boskiej mocy »śakti«, podtrzymującej świat i mającej charakter sakramentalny”.

Mądrość zmysłów bywa powszechna w kulturach plemiennych, gdzie np. ruch taneczny wspomaga rozsądek mózgu. Na Zachodzie unieć taką uprawia młodzież, zanim zostanie wtłoczona w sztywne struktury państwowe. Myśli ręką i nogą, nie tylko głową, jakby przeczuwała, że każda komórka ciała zna i pamięta cały świat, jego historię, życie sprzed życia i po życiu.

„Wszystkie cząstki materii są psychiczne”, podkreśla Griffiths. „Nie ma czegoś takiego, jak przedmiot tylko fizyczny”. Zachód zlikwidował już zresztą newtonowski obraz przyrody, gdzie duch i ciało były rozdzielone i gdzie obserwator mógł sobie wyobrażać, że jest „obiektywny”, niezależny od rzeczy obserwowanej.

Na Wschodzie byt i wiedza są odwiecznie tym samym. Griffiths wydobywa tutaj tradycyjny „niedualizm” Indii. „Tat tvam asi”, „ty jesteś tym”, napisano w *Upaniszadach*. Intuicję jedności świata przeżywamy intensywnie w otwarciu medytacyjnym. Umysł Zachodu pragnie podporządkować sobie rzeczywistość. Umysł Wschodu uprawia „wu-wei”, działanie w niedziałaniu, „Obserwuje-obserwowany”, uzgadnia się z umysłem Brahmana i stąd czerpie oświecenie, energię i spokój.

Wśród licznych wątków *Zaślubin Wschodu z Zachodem* wspomnijmy na koniec o jeszcze jednym, związanym z instytucją Kościoła. Pisałem o „mitologicznym” czytaniu Biblii. „Niedosłownie należy traktować też samo imię boże”, pisze Bede Griffiths. „Ostateczna rzeczywistość nie może być do końca zdefiniowana”. Tym, co odpycha dzisiejszych Europejczyków od religii bywa jej triumfalizm i zbyt duża urzędowość. Kościół jest metaforą, nie urzędem, „pasterskim” czy „nauczycielskim”. Buddyści mówią: „Palec, który pokazuje księżyc, nie jest księżycem”. I oto jeszcze jedna mądrość, którą zaczerpnęliśmy ze spotkania Zachodu ze Wschodem. Ex oriente lux!

Maciej Cisto

Bede Griffiths, *Zaślubiny Wschodu z Zachodem*, Przełożył Grzegorz Jasiński, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Warszawa 1996.

II Toruński Festiwal Książki

Od 18 do 24 listopada 1996 roku odbył się w Toruniu, zorganizowany przez Wydział Kultury Turystyki i Sportu Urzędu Miejskiego oraz Centrum Kultury Dwór Artusa po patronacie *Kwartalnika Artystycznego* II Festiwal Książki.

Po raz pierwszy przyznana została Nagroda im. Samuela Bogumiła Lindego, ufundowana przez miasta Toruń i Getyngę, którą otrzymali: Wisława Szymborska oraz Günter Grass.

Odbyły się spotkania autorskie: na otwarcie Festiwalu, w Sali Wielkiej Dworu Artusa, z Andrzejem Szczypiorskim, następnie, w różnych punktach miasta, z Józefem Baranem i Adamem Ziemianinem, Marianem Grześczakiem i Leszkiem Szarugą, Mieczysławem Orskim i Zbigniewem Zakiewiczem, Kazimierzem Brakonieckim, Markiem Adamcem, Andrzejem K. Waškiewiczem, Stefanem Chwinem, Krystyną Lars, Aleksandrem Jurewiczem i Grzegorzem Musiałem, a na zakończenie, w Sali Wielkiej Dworu Artusa, z Urszulą Koziół, Adrianą Szymańską, Julianem Kornhausserem i o. Wacławem Oszajcą SJ.

Odbyły się także: sesja naukowa, wystawy i kiermasze książek, projekcje filmów będących adaptacjami dzieł literackich, spektakle i koncerty, a także *Zaduszki poetyckie* oraz finał jubileuszowego X Konkursu Literackiego *O Liść Konwalii* (wyniki podajemy poniżej). Zwieńczeniem Festiwalu był prowadzony przez Janusza Kryszaka panel literacki – *Kryzys moralności w świecie i jego odbicie w sztuce*, w którym wystąpili, prowokując do dyskusji: Aleksander Fiut i Aleksander Jurewicz oraz Stefan Chwin i Mirosław Dzień (red.).

X Ogólnopolski Konkurs Literacki *O Liść Konwalii*

Komunikat –

Jury w składzie: prof. Janusz Kryszak, Grzegorz Musiał, o. Wacław Oszajca SJ po zapoznaniu się z 820 wierszami nadesłanymi przez 164 autorów postanowiło przyznać:

- I nagrodę w wysokości 900, – zł za prace z godłem „Marcin” panu Marcinowi Hamkało z Wrocławia
- II nagrodę w wysokości 700, – zł za prace z godłem „Szczur” pani Jagodzie Cieszyńskiej z Krakowa
- III nagrodę w wysokości 500, – zł za prace z godłem „Ona” panu Romanowi Honetowi z woj. krakowskiego.

Punkty sprzedaży Kwartalnika Artystycznego

Białystok	Księgarnia „Kontrakt”, Rynek Kościuszki 17
Bielsko-Biała	Galeria Bielska BWA, ul. 3 Maja 11
Bydgoszcz	Księgarnia „Naukowa”, ul. Jezuicka 6/10 Księgarnia „Współczesna”, ul. Gdańska 5 Księgarnia „Powszechna”, ul. Broniewskiego 1 Biuro Wystaw Artystycznych, ul. Gdańska 20 Galeria „Kantorek”, ul. Gdańska 3 Księgarnia „Maria”, ul. Gen. Berlinga 3
Częstochowa	Księgarnia „Klubowa”, ul. Dąbrowskiego 1
Gdańsk	PP Dom Książki – Księgarnia nr 5, ul. Długa 62/63 Księgarnia „Bestseller”, ul. Cieszyńskiego 36/38
Gdynia	EMPIK S-ka z o.o., ul. Świętojańska 68
Giżycko	Księgarnia „Bestseller”, ul. Armii Krajowej 1a
Gliwice	PUH „Mercurius” – Andrzej Warth, ul. Konstytucji 146
Hamburg	Księgarnia Polska „Arkady”, ul. Alter Steinweg 11
Katowice	KMPiK, ul. Teatralna 8 KMPiK, ul. Rynek 18 Księgarnia „Libella”, Plac Sejmu Śląskiego 1
Kraków	Galeria Sztuki Współczesnej „Bunkier Sztuki”, Plac Szczepański 3a Księgarnia „Znak”, ul. Sławkowska 1 Księgarnia „Okapi”, ul. Stradomska 23 Księgarnia „Skarabeusz” s.c, ul. Bosaków 11
Kalisz	Klub EMPIK S-ka, ul. Aleje Wolności 6
Lublin	„ART” Galeria ZPAP, ul. Krakowskie Przedmieście 62 Księgarnia „Awro”, ul. Narutowicza 27
Łódź	Galeria 86, ul. Piotrkowska 86 Łódzki Dom Kultury, Galeria FF, ul. Traugutta 18 Księgarnia „Ossolineum”, ul. Piotrkowska 181 Księgarnia „Niezależna”, ul. Piotrowska 102
Olsztyn	PHD „Książnica Polska”, Plac Wolności 2/3
Opole	Księgarnia „Akademička”, ul. Matejki 12
Piła	KMPiK, ul. Śródmiejska 1
Płock	Księgarnia „Antykwariat”, ul. Narutowicza 1
Rzeszów	Księgarnia Akademička „Libra”, ul. Rejtana 16b
Sopot	Księgarnia Artystyczna „Galeria”, Plac Powstańców Warszawy 2/4/6 EMPIK, ul. Bohaterów Monte Cassino 57
Tarnów	Księgarnia „Pan Tadeusz”, ul. Krakowska 47
Toruń	„Index-Books” Księgarnia Promocyjna, Rynek Staromiejski 10 Księgarnia „A. Bednarek”, ul. Szeroka 46 KMPiK, ul. Wielkie Garbary 18
Warszawa	Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa, ul. Krakowskie Przedmieście 7 Księgarnia Uniwersytecka „Liber”, ul. Krakowskie Przedmieście 24 Księgarnia „Reprint”, ul. Krakowskie Przedmieście 11 Księgarnia „Odeon”, ul. Hoża 19
Wrocław	Księgarnia Wydawnictwa Dolnośląskiego, ul. Świdnicka 28
Włocławek	EMPIK S-ka z o.o., ul. Warszawska 11/13

